

Juli Zeh

Corpus delicti



Ekscytująca
jak thriller,
mądra jak
intelektualna
debata.

„Neue Zürcher Zeitung”



Juli Zeh

Corpus delicti. Proces

Przełożyła
Sława Lisiecka



Ten projekt został zrealizowany przy wsparciu finansowym Komisji Europejskiej. Projekt lub publikacja odzwierciedlają jedynie stanowisko ich autora i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczoną w nich zawartość merytoryczną.



Tytuł oryginału: *Corpus Delicti. Ein Prozess*

Copyright © GmbH Schöffling & Co. Verlagsbuchhandlung GmbH, Frankfurt am Main 2009 Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2011

Wydanie I

Warszawa 2011

Przekład: Sława Lisiecka

Redaktor serii: Karolina Iwaszkiewicz

Redakcja: Donata Lam

Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Katarzyna Pawłowska

Redakcja techniczna: Marta Nowakowska

Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Gidlewski

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Herb Watson/Corbis/FotoChannels

Fotografia autorki: © David Finck

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład: Tekst – Małgorzata Krzywicka,

Piaseczno ul. Żółkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7747-270-5

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o.

virtualo.eu

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow



Juli Zeh (ur. 1974) ukończyła prawo, studiowała w Instytucie Literatury Niemieckiej w Lipsku. Pracowała m.in. w Nowym Jorku i Krakowie. Jej debiutancka powieść *Orły i anioły* (W.A.B. 2004), nagrodzona w 2002 roku prestiżową Deutscher Bücherpreis, została przetłumaczona na ponad dwadzieścia języków. *Instynkt gry* (W.A.B. 2007) był bestsellerem w Niemczech i ukazał się w dwunastu krajach, prawa do *Ciemnej materii* (W.A.B. 2009) kupili wydawcy z siedemnastu krajów. W 2005 roku Juli Zeh została uhonorowana międzynarodową nagrodą dla młodych autorów – Per Olov Enquist Prize. *Instynkt gry* nominowano

do Literackiej Nagrody Europy Środkowej ANGELUS 2008.

Powieść *Corpus delicti* z 2009 roku ma już wydawców
w Brazylii, Bułgarii, Chorwacji, Danii, we Francji,
w Hiszpanii, Holandii, Szwecji, na Tajwanie, w Turcji, na
Ukrainie, w Wielkiej Brytanii i we Włoszech.

www.juli-zeh.de

Spis treści

[Przedmowa](#)

[W y r o k](#)

[W środku dnia, w środku stulecia](#)

[Pieprz](#)

[Idealna kochanka](#)

[Ładny gest](#)

[Genetyczny odcisk palca](#)

[Żadnych dziwacznych ideologii](#)

[Przez szybę z pleksi](#)

[Szczególna zdolność odczuwania bólu](#)

[Puszka groszku](#)

[Wyciskarka do soku](#)

[Stworzone nie po to, żeby ktokolwiek je zrozumiał](#)

[Sprawa prywatna](#)

[Sierść i rogi, część pierwsza](#)

[Dym](#)

To już nie jest rozprawa pojednawcza

Miły chłopak

Strażniczki

W centrum dowodzenia

RAK - prawo do choroby

Koniec ryby

Młotek

Which side are you on

Niedopuszczalne

Ślimaki

Ambiwalencja

Bez płaczu

Nasz dom

Zagrożenie wymaga czujności

Czarownica jeżdżąca na płocie

Sierść i rogi, część druga

Prawo do milczenia

Sprawa wyjątkowa

To cała Mia

Największy triumf

Druga kategoria

Jak brzmi pytanie

Kwestia zaufania

[Poduszka z sofy](#)

[Statua wolności](#)

[Zdrowy rozum](#)

[Bezwonne i przejrzyste](#)

[Larwer](#)

[Żadna miłość świata](#)

[Średniowiecze](#)

[Trzeba, można, wolno](#)

[Rozrzedzone powietrze](#)

[Patrz wyżej](#)

[Na koniec](#)

[Recenzje](#)

Przedmowa

Zdrowie to stan pełnego dobrego fizycznego, psychicznego i społecznego samopoczucia, a nie tylko nieobecność choroby.

Zdrowie można by zdefiniować jako niczym niezakłócony przepływ życia przez wszystkie części ciała, jego organy i komórki, jako stan harmonii ciała i duszy, jako swobodny rozwój biologicznego potencjału energii. Zdrowy organizm znajduje się w dobrej relacji z otoczeniem. Zdrowy człowiek czuje się świeży i wydajny. Jest pełen optymizmu i ufności, ma siłę psychiczną i ustabilizowane życie duchowe.

Zdrowie nie jest czymś statycznym, zdrowie to dynamiczny stosunek człowieka do samego siebie. Należy dbać o nie codziennie i codziennie je poprawiać, przez lata i dziesięciolecia, aż do późnej starości. Zdrowie nie jest wartością przeciętną, lecz zwiększoną normą i najwyższą jednostkową wydajnością. Zdrowie to uwidoczniła wola, wyraz jej nieustającej mocy. Wiedzie ono przez doskonałość jednostki do doskonałości współżycia społecznego. Zdrowie jest celem naturalnej woli życia, a tym samym naturalnym

celem społeczeństw, prawa i polityki. Człowiek, który nie dąży do zachowania zdrowia, nie staje się chory, lecz już nim jest.

(Z przedmowy do: Heinrich Kramer, *Gesundheit als Prinzip staatlicher Legitimation* [Zdrowie jako zasada legitymizacji państwa], Berlin-München-Stuttgart, wydanie XXV)

Wyrok

W IMIENIU METODY!
WYROK
W SPRAWIE KARNEJ PRZECIW

Mii Holl, obywatelce niemieckiej, biolożce,
z powodu zachowań wrogich METODZIE

II Wydział Karny Sądu Przysięgłych na publicznym posiedzeniu, w którym udział wzięli:

1. sędzia Sądu Przysięgłych dr Ernest Hutschneider jako przewodniczący, 2. sędzia Sądu Przysięgłych dr Hager i sędzia Stock jako asesorzy, 3. ławnicy:

a) Irmgard Gehling, gospodyni domowa,

b) Max Maring, kupiec,

4. prokurator Bell jako przedstawiciel oskarżenia,

5. adwokat dr Lutz Rosentreter jako obrońca,

6. asystent prawny Danner, pracownik wymiaru sprawiedliwości, jako sekretarz sądu, orzeka co następuje:

I. Oskarżoną uznaje się za winną wrogich metodzie zachowań w zbiegu z przygotowywaniem działań terrorystycznych, zbieżnym rzeczowo z zagrożeniem pokoju

w państwie, operowaniem substancjami toksycznymi i celową odmową obowiązkowych badań na rzecz dobra ogólnego.

II. Skazuje się ją za czyn ujęty w punkcie I na karę ogólnego zamrożenia na czas nieokreślony.

III. Oskarżona ponosi kosztą postępowania i nawiązki.

A to z powodów...

W środku dnia, w środku stulecia

Las otaczający zrosnięte ze sobą miasta pokrywa łańcuchy wzgórz. Wieże nadajników celują w miękkie obłoki, których brzuchy już od dawna nie są szare od nieprzyjemnego odoru cywilizacji, wierzącej niegdyś, że swojej obecności na tej planecie musi przede wszystkim dowodzić wydalaniem potężnej ilości zanieczyszczeń. Tu i ówdzie spogląda w niebo ogromne oko jeziora, porośnięte rzęsami trzciny – nieczynne kopalnie żwiru i węgla, zalane przed dziesiątkami lat. Nieczynne fabryki znajdujące się nieopodal jezior kryją centra kultury; fragment nieczynnej autostrady stanowi wraz z dzwonniami kilku nieczynnych kościołów malownicze, choć rzadko odwiedzane muzeum.

Tu już nic nie cuchnie. Tu się już niczego nie wydobywa, nie wytwarza się sadzy, nie rozwala i nie pali; ludzkość, która odzyskała spokój, przestała tutaj zwalczać naturę, a tym samym siebie. Stoki wzgórz są nakrapiane sześcianami domków z otynkowanymi na biało fasadami. Domki te tłoczą

się i w końcu zrastają ze sobą w tarasowate kompleksy mieszkaniowe. Płaskie dachy tworzą bezkresny pejzaż, który ciągnie się hen po horyzont i odbijając błękit nieba, upodabniają się do znieruchomiałego oceanu: miliony sąsiadujących ze sobą komórek solarnych.

Las przecinają ze wszystkich stron proste jak strzelił trasy kolei magnetycznej. Nasza opowieść zaczyna się w jednym z miejsc ich przecięcia, gdzieś w centrum lśniącego morza dachów, a więc w środku miasta, w środku dnia, w połowie dwudziestego pierwszego wieku.

Pod szczególnie podługowatym płaskim dachem sądu rejonowego wymiar sprawiedliwości oddaje się rutynowym zajęciom. Powietrze w sali 20/11, gdzie odbywają się rozprawy pojednawcze dla nazwisk zaczynających się na litery F-H, jest klimatyzowane do wartości 19,5 stopnia, w której to temperaturze człowiek najlepiej myśli. Sophie przychodzi do pracy zawsze w swetrze i nosi go pod togą nawet podczas rozpraw sądu karnego. Na prawo od pani sędzi leży stos akt, z którymi się już uporała; po lewej ręce czeka mniejszy stos wymagający jeszcze opracowania. Sophie ma jasne włosy, wysoko upięte w koński ogon. W tej fryzurze nadal wygląda jak pilna studentka z aul wydziału prawa, którą niegdyś była. Spoglądając na ekran, pogryza ołówek. Wyjmuje go jednak z ust, kiedy napotyka wzrok rzecznika interesu publicznego. Studiowała z Bellem, który już osiem lat temu wygłaszał w stołówce irytujące odczyty o infekcjach gardła, spowodowanych kontaktem warg z pełnymi zarazków ciałami obcymi. Jakby w jakimś

publicznym miejscu tego kraju istniały zarazki!

Bell siedzi naprzeciw niej, w pewnej odległości, a jego papiery zajmują większość blatu stołu, na którego krótszą stronę wycofał się adwokat. Aby podkreślić powszechną zgodę, oskarżyciel i obrońca dzielą ze sobą stół, co dla obu stron jest wprawdzie dość niewygodne, niemniej jednak stanowi piękną tradycję prawniczą. Bell podnosi palec wskazujący prawej ręki, a na ekranie zmienia się obraz, na którym ukazuje się młody mężczyzna.

- Drobne wykroczenie - mówi Sophie. - A może już jakieś uprzednie skazania? Wyroki?

- Nie ma - śpieszy zapewnić obrońca.

Rosentreter jest miłym młodzieńcem. Kiedy popada w zakłopotanie, przeczesuje ręką włosy, po czym te wyrwane próbuje niepostrzeżenie strząsnąć na podłogę.

- Zatem jednorazowe przekroczenie poziomu kofeiny we krwi - mówi Sophie. - Pisemne ostrzeżenie, i tyle. Jasne?

- Nie widzę przeszkód.

Rosentreter odwraca głowę, aby zmierzyć wzrokiem oskarżyciela, który potakująco kiwa głową. Sophie przekłada kolejne akta z lewego stosu na prawy.

- No, moi drodzy - mówi Bell. - Następna sprawa nie jest niestety taka prosta. Przede wszystkim jednak, Sophie, nie ucieszysz ciebie.

- Sprawa o dziecko?

Bell podnosi palec i obraz na ekranie się zmienia. Pojawia się zdjęcie mężczyzny w średnim wieku. Od stóp do głów nagi. Z przodu i z tyłu. Z zewnątrz i od wewnątrz. Zdjęcia

rentgenowskie, USG , rezonans magnetyczny mózgu.

- To ojciec - mówi Bell. - Już kilkakrotnie karany za nadużywanie substancji toksycznych w rodzaju nikotyny i etanolu. Dzisiaj jest u nas ze względu na wykroczenie przeciw ustawie o wczesnym wykrywaniu chorób u niemowląt.

Sophie robi zatroskaną minę.

- W jakim wieku jest to maleństwo?

- Półtora roku. Dziewczynka. Ojciec nie dopilnował obowiązku badań stopnia Z2 i Z5-Z7 . A jeszcze bardziej dramatyczne jest to, że u dziecka nie wykonano badań przesiewowych. Nie zostały więc wykluczone zaburzenia pracy mózgu ani nie zrobiono odczynu.

- Co za niechlujstwo! Jak to się mogło zdarzyć?

- Właściwy lekarz urzędowy wielokrotnie zwracał obwinionemu uwagę na jego obowiązki, aż wreszcie ustanowił kuratora. A teraz najważniejsze: kiedy kurator uzyskał dostęp do mieszkania, zobaczył, że to biedne stworzonko jest zupełnie zaniedbane. Niedożywione i cierpiące na wirusowe zakażenie przewodu pokarmowego. Leżało dosłownie we własnych ekskrementach. Jeszcze kilka dni, a prawdopodobnie byłoby za późno.

- Takie maleństwo nie potrafi zatroszczyć się samo o siebie!

- Ten mężczyzna ma problemy osobiste - wtrąca Rosentreter. - Sam wychowuje dziecko i...

- Rozumiem. Ale mimo wszystko. To jego córka.

Ruchem ręki Rosentreter pokazuje z rezygnacją, że

w istocie podziela mniemanie Sophie. Właśnie zdążył dokończyć gest, gdy drzwi sali posiedzeń się otwierają. Wchodzący nie puka ani nawet nie zadaje sobie trudu, żeby uniknąć niepotrzebnego hałasu. Porusza się swobodnie jak ktoś, kto wszędzie ma wstęp. Garnitur leży na nim nienagannie, z ową leciutką dozą nonszalancji, bez której nie może się obyć prawdziwa elegancja. Mężczyzna ma ciemne włosy, czarne oczy, długie kończyny, ale nie jest drągalem. Jego ruchy przypominają złudny spokój drapieżnego kota, który choć jeszcze wyleguje się z półprzymkniętymi powiekami w słońcu, w następnej chwili natychmiast może przejść do ataku. Tylko ktoś, kto lepiej zna Heinricha Kramera, wie, że ma on niespokojne palce, których drzenie stara się ukryć, chowając ręce w kieszeniach spodni. Na ulicy nosi białe rękawiczki, które teraz ściąga.

- *Santé*, proszę państwa.

Kładzie aktówkę na jednym ze stołów dla gości i przysuwa sobie krzesło.

- *Santé*, panie Kramer! - woła Bell. - Znowu poluje pan na ciekawe historie?

- Oko czwartej władzy zawsze czuwa.

Bell się śmieje, ale milknie, uświadomiwszy sobie nagle, że Kramer nie żartuje. Pochyliła się bowiem do przodu, marszczy czoło i lustruje wzrokiem obrońcę, jakby go nie rozpoznawał.

- *Santé*, Rosentreter - mówi, wymawiając każdą sylabę z osobna.

Zagadnięty odpowiada zdawkowo i zagłębia się w aktach. Kramer skubie zaprasowane kanty spodni, wygładza je,

zakłada nogę na nogę, muska palcami policzków i ćwiczy się w pozie obojętnego słuchacza, co w przypadku człowieka jego formatu jest przedsięwzięciem zupełnie beznadziejnym.

- Wróćmy do sprawy - mówi Sophie z demonstracyjną rzeczowością. - Co proponuje obrońca?

- Trzy lata.

- Trochę za dużo - oponuje Rosentreter.

- Nie sądzę. Musimy uzmysłować temu facetowi, że doprowadził do zagrożenia życia własnej córki.

- Kompromis - proponuje szybko Sophie. - Dwa lata leczenia psychiatrycznego, które może odbywać w domu. Ustanowienie kuratora medycznego dla dziewczynki, medyczne i higieniczne szkolenie dla ojca. W ten sposób dziecku nie stanie się krzywda, a rodzina zyska jeszcze jedną szansę. Co o tym myślicie?

- O to właśnie chciałem wnioskować - mówi Rosentreter.

- Cudownie - uśmiecha się Sophie i zwraca się do Bella: - Pańskie uzasadnienie?

- Zaniechanie opieki medycznej i higienicznej zagraża dobru dziecka. Kodeks rodzinny nie zezwala na przysparzanie dziecku cierpień. Świadome dopuszczenie do zagrożenia równa się według prawa celowemu przysparzaniu cierpień. Dlatego też wymierza się karę jak za ciężkie zranienie ciała.

Sophie coś notuje.

- Zgoda - mówi i odkłada akta na bok. - Miejmy nadzieję, że tym samym ta sprawa została załatwiona zgodnie z najlepszą wiedzą.

Kramer krzyżuje nogi odwrotnie i znów siedzi bez ruchu.

– No to dalej. – Bell podnosi palec. – Mia Holl.

Kobieta, która pojawia się na ekranie, może równie dobrze mieć czterdzieści, jak i dwadzieścia lat. Data urodzenia dowodzi, że prawda, jak to często bywa, leży pośrodku. Twarz kobiety emanuje ową szczególną czystością, której wyraz możemy również zaobserwować u obecnych w sali osób i który wszystkim fizjonomiom przydaje czegoś dziewiczego, bezczasowego, nieomal dziecinnego. Jest to wyraz twarzy ludzi, którym życie przez cały czas oszczędzało bólu. Mia ufnie spogląda w stronę widzów. Jej nagie ciało jest szczupłe, a mimo to stanowi żyłastą strukturę o wielkiej odporności. Kramer się podnosi.

– Pewnie znowu jakieś drobne wykroczenie.

Sophie zagląda do nowych akt i powściąga ziewanie.

– Proszę powtórzyć nazwisko.

To Kramer. Chociaż nie mówi donośnie, jego głos ma moc natychmiastowego zrzucenia dowolnej kotary w sali. Trzej zaskoczeni prawnicy podnoszą wzrok.

– Mia Holl – mówi Sophie.

Kramer, wykonując ruch, jakby chciał przepłoszyć muchy, daje pani sędzi do zrozumienia, żeby kontynuowała postępowanie mediacyjne. Równocześnie wyciąga z kieszeni elektroniczny kalendarz i zaczyna robić notatki. Sophie i Rosentreter szybko wymieniają spojrzenia.

– O co chodzi? – pyta Sophie.

– Zaniedbanie obowiązku stawiania się – mówi Bell. – W bieżącym miesiącu nie dostarczyła raportu o śnie ani

raportu o żywieniu. Nagłe załamanie profilu sprawności sportowej. Nie przeprowadzała w domu pomiarów ciśnienia krwi ani badania moczu.

- Proszę mi pokazać dane ogólne.

Za sprawą gestów Bella przez ekran przewijają się długie listy. Wartości analizy krwi, informacje o zużyciu kalorii i procesach przemiany materii, do tego kilka wykresów krzywych informujących o sprawności fizycznej.

- Przecież ona jest w dobrej formie - mówi Sophie, zachęcając tym samym Rosentretera do wystąpienia.

- Nie ma wcześniejszych przewinień. Odnosząca sukcesy biolożka o idealnym życiorysie. Żadnych oznak zaburzeń fizycznych czy socjalnych.

- Czy zwracała się do CMP ?

- W Centralnym Pośrednictwie Partnerów nie ma do tej pory jej wniosku.

- Trudny okres. Prawda, chłopcy? - Pani sędzia śmieje się na widok kwaśnej miny Bella i wystraszonej Rosentretera. - W tym przypadku chętnie zrezygnowałabym z ostrzeżenia i zaproponowałabym pomoc. Zaproszenie na rozmowę wyjaśniającą.

- Nie widzę problemu.

Bell wzrusza ramionami.

- Trudny okres. - Kramer z uśmiechem wystukuje coś na ekranie swojego kalendarza. - Tak też można to wyrazić.

- Czy zna pan obwinioną? - pyta uprzejmie Sophie.

- Cenię dyskrecję sądu. - Kramer z szarmancką drwiną mruga do niej. - Sophie, pani już także kiedyś spotkała tę

osobę. Chociaż w innej sytuacji.

Sophie się zamyśla. Gdyby nie miała cery o zdrowej barwie, moglibyśmy zobaczyć, że się czerwieni. Kramer chowa kalendarz i wstaje.

- Już koniec? - pyta Bell.

- Wręcz przeciwnie. To dopiero początek.

Podczas gdy Kramer kiwa ręką na pożegnanie i wychodzi z sali, Sophie składa akta i wyjmuję nowe.

- Następny, proszę.

Pieprz

To dochodziło z pokoju dzieciennego! O tak! – Lizzie puszcza poręcz schodów, pochyla się do przodu i odgrywa przesadne kichanie. – A psik! Aaa... psik!

– Nie mówisz poważnie. – Pollsche rozgląda się, jakby właśnie jakiś duch przemknął klatką schodową. – Przecież to brzmi jak...

– No, nie bój się tego powiedzieć!

– Jak kichanie!

– Właśnie! Z pokoju dzieciennego! Żebyś wiedziała, jak biegłam.

– Co za bzdura!

Driss jest trzecia w tej kompanii, strzelista niczym młode drzewko, z którym łączy ją brak kobiecych zaokrągleń. Płaska twarz balansuje nad kołnierzykiem białego fartucha, w dużych oczach odbija się wizerunek osób lub przedmiotów, które akurat znajdują się naprzeciw niej. Nawet gdyby nie miała piegów, trudno byłoby dać wiarę, że dziewczyna z takim wyglądem jest pełnoletnia.

– Co jest bzdurą? – pyta Pollsche.

- Przeziębienia wymarły dwadzieścia lat temu.

- Panno Blitzmerker.

Lizzie wywraca oczami.

- Ostatnio przecież znowu pojawiło się ostrzeżenie - szepcze Pollsche.

- Widzisz, Driss, Pollsche czyta na zdrowy rozum. No to ja z duszą na ramieniu gwałtownie otwieram drzwi. I co widzę? Na podłodze siedzi moja mała ze smarkaczem Uty i wsuwa nosek do torebki z pieprzem. A potem kicha jak mistrzyni świata.

- Bawili się w lekarza!

Pollsche zaczyna się śmiać.

- A twoja mała była pacjentką.

Teraz śmieje się również Driss.

- Rozumiecie... dzieci. Ale to ja prawie się pochorowałam ze strachu.

Stoją we trzy w grupce, jakby chciały naśladować wczorajszą i przedwczorajszą sytuację, a także wszystkie wcześniejsze dni, kiedy też tak stały. Również łańcuch powtórzeń ciągle tego samego obrazu sięga w przyszłość: Lizzie wspiera się na węzu maszyny dezynfekcyjnej, Pollsche jest oparta o pudło bakteriometru, a Driss trzyma ręce na poręczy schodów. W chwili gdy otwierają się drzwi wejściowe do domu, kobiety milkną jak na komendę. Znów przyszedł ten facet w ciemnym garniturze. Pół twarzy ma zasłonięte białą chustką, ale wystarczy spojrzeć mu w oczy, żeby zobaczyć, jaki jest piękny.

- *Santé!* Dzień dobry paniom.

- Dzień dobry - odpowiada Lizzie, wystawia biodro i opiera na nim rękę - dzień byłby dobry, gdybyśmy nie miały już nic do roboty.

- Ależ, proszę pana, nie musi pan...

Driss wyciąga palec ku twarzy mężczyzny.

- Ona ma na myśli maseczkę ochronną - mówi Lizzie. - Wewnątrz domu nie jest panu potrzebna.

- Jaki ze mnie dureń. - Kramer odwiązuje tasemki z tyłu głowy. - Przecież w bramie była plakietka.

Wsuwa maseczkę do kieszeni kurtki. Czasu, kiedy panuje milczenie, wystarczyłoby na wygłoszenie referatu o „domach pod opieką”. W kompleksach mieszkaniowych, których wspólnoty wyróżniają się szczególną niezawodnością, mieszkańcy mogą sami zawiadywać zadaniami profilaktyki higienicznej. Są to zarówno regularne pomiary wartości powietrza, jak też kontrola śmieci i ścieków oraz dezynfekcja wszystkich stref dostępnych publicznie. Domy, w których funkcjonuje taka forma samorządności, wyróżnia się plakietką i przyznaje się im zniżki na prąd i wodę. Inicjatywa o nazwie „domy pod opieką” odnosi ogromne sukcesy na wszystkich polach. Fiskus oszczędza pieniądze na profilaktyce zdrowotnej, ludzie zaś wyrabiają w sobie ducha solidarności. Ktokolwiek w zamierzonych czasach twierdził, że naród jest zbyt leniwy albo zbyt głupi, aby oddolnie i demokratycznie współuczestniczyć w życiu publicznym - nie miał racji. „Domy pod opieką” dowodzą, że ludzie znakomicie potrafią pracować dla powszechnego dobra. Sprawia im to radość. Spotykają się, dyskutują, podejmują

decyzje. W najprawdziwszym sensie tego słowa mają ze sobą do czynienia.

Heinrich Kramer, który otoczony przez trzy panie w białych fartuchach stoi na klatce schodowej niczym dumny ogier wśród kóz, w znacznej mierze przyczynił się do upowszechnienia idei „domów pod opieką”. Ale sławny był już wcześniej. Wszyscy w kraju wiedzą, kim jest. To powód utrzymującego się milczenia, podobnie jak i wybuchającej nagle paplaniny.

– A niech mnie wirus!

– To przecież jest...

– Czy pan nie jest...?

– Driss, nie gap się tak na niego, to okropne.

Kramer przykłada rękę do piersi i nisko się kłania.

– Drogie panie, najserdeczniejsze dzięki. Proszę mi powiedzieć, czy mieszka tutaj niejaka pani Holl?

– Mia! – woła Driss i klaszcze w dłonie.

Gdyby to była zgadywanka, Driss trafnie odgadłaby, że spośród wszystkich sąsiadów zainteresuje Heinricha Kramera właśnie Mia Holl. Chociaż Driss nie umiałaby wytłumaczyć dlaczego. Dla niej jednak Mia Holl jest kimś szczególnym.

– Pani Holl mieszka na samej górze. Taras na tyłach domu.

– Wspaniałe mieszkanie – mówi Pollsche. – Na biologii można się dorobić.

– I słusznie – karci ją surowo Lizzie.

– Świetnie – mówi Kramer. – Czy pani Holl jest może w domu?

- Zawsze! - woła Driss. - To znaczy, obecnie. - Pochyliła się ku Kramerowi, jakby chciała wyjawić mu jakąś tajemnicę. - Już w ogóle jej nie widzimy.

- Pani Mia Holl - poprawia ją Lizzie - obecnie nie chodzi do pracy.

- To znaczy, że ma urlop?

- Ależ skąd! - wyrzuca z siebie Pollsche. - Taka ładna osóbka i ciągle sama! Przegląda oferty.

- Myślimy - mówi Lizzie poufale do Kramera - że pani Holl szuka partnera.

Kramer kiwa potakująco głową.

- No to pójde do niej.

- Mia jest porządną kobietą.

- Driss, to przecież zrozumiałe samo przez się.

- W takim domu jak ten.

- Dziękuję. - Kramer, przerywając krąg sąsiadek, kiwa im głową. - Bardzo mi panie pomogły. Serdecznie gratuluję tego pięknego domu.

Usta kobiet odprowadzających wzrokiem wchodzącego po schodach Kramera, jego nogi i całą elastyczną postać, pozostają otwarte, ale nieme.

Idealna kochanka

Ponieważ życie jest takie bezsensowne – mówi Mia – a mimo to trzeba je jakoś wytrzymać, mam nieraz ochotę zespawać ze sobą miedziane rury. W dowolny sposób. Aż się może upodobnią do żurawia. Albo po prostu będą tylko splątane jak siedlisko larw. Zamontowałabym taki twór na cokole i nadała mu nazwę „Budowle przenośne” albo „Idealna kochanka”.

Podczas gdy Mia siedzi przy biurku plecami do drzwi, mając przed sobą kilka kartek, na których od czasu do czasu coś notuje, idealna kochanka leży na sofie, przyodziana we własne włosy i światło popołudniowego słońca. Ani jednym gestem nie zdradza, czy rozumie, co mówi Mia. Moglibyśmy zadać sobie pytanie, czy w ogóle ją widzi. A może raczej istnieje w innym wymiarze i tam patrzy w próżnię, gdy tymczasem Mia zupełnie przypadkowo znajduje się na wysokości jej oczu, w punkcie przecięcia się światów. Wzrok idealnej kochanki przypomina nieruchome spojrzenie wodnego zwierzęcia bez powiek.

- Tylko po to, żeby coś przetrwało - mówi Mia. - Żeby stworzyć coś, co nie ma celu. Wszystko, co ma cel, dopnie go pewnego dnia, i tym samym się zużyje. Nawet Bogu, chcącemu nieść pociechę ludziom, przyświecał cel, i co: niezbyt daleko zaszedł z tą swoją wiecznością. Rozumiesz?

W mieszkaniu panuje bałagan. Wygląda tak, jakby nikt od wielu tygodni w nim nie sprzątał, nie wietrzył ani niczego nie mył.

- Oczywiście, że rozumiesz. To słowa Moritza, który mawiał: „Kto chce wieczności, nie może nawet śledzić celu własnego przetrwania”.

Ponieważ idealna kochanka nie reaguje, Mia razem z krzesłem odwraca się w jej stronę.

- Kiedy chciał mnie rozzłościć, mówił, że powinnam była zostać artystką. Jego zdaniem zgubiło mnie myślenie matematyczno-przyrodnicze. Jak, pytał, można patrzeć na dany przedmiot albo wręcz na ukochaną istotę, myśląc ciągle, że nie tylko to, na co patrzymy, ale także my sami jesteśmy częścią gigantycznego wiru atomów, z którego wszystko się składa? Jak można znieść to, że mózg, jedyny nasz instrument postrzegania i rozumienia, składa się z takich samych cegiełek jak wszystko, co widzimy i rozumiemy? Co to niby jest, pytał Moritz: materia gapiąca się sama na siebie?

Idealna kochanka ma niewiele wspólnego z materią. Może dlatego rozmowa z nią dobrze Mii robi.

- Najpierw poznanie matematyczno-przyrodnicze zniszczyło boski obraz świata i przesunęło człowieka do

centrum zdarzeń. Potem zostawiło go tam w doprawdy śmiesznej sytuacji, nie udzielając mu żadnych odpowiedzi. Moritz często to powtarzał, a ja w tej kwestii przyznawałam mu rację. Nasz sposób rozumowania wcale aż tak bardzo się nie różni. Tyle że wyciągaliśmy inne wnioski.

Mia wskazuje ołówkiem idealną kochankę, jak gdyby był jakiś powód, żeby ją oskarżyć.

- Chciał żyć dla miłości, a kiedy się słuchało jego słów, można było pomyśleć, że miłość to po prostu inne słowo na wszystko, co mu się podoba. Natura, wolność, kobiety, wędkowanie, wzniecanie niepokoju. Bycie innym. I wzniecanie jeszcze większych niepokoju. To wszystko było dla niego miłością.

Mia odwraca się znowu do biurka i mówiąc dalej, robi notatki.

- Muszę to zapisać. Muszę jego zapisać. Pamięć ludzka po kilku dniach wyrzuca dziewięćdziesiąt sześć procent wszystkich informacji. Cztery procent Moritza to za mało. Nie zdołam dalej żyć z czterema procentami Moritza.

Przez chwilę pisze zapamiętane, a potem unosi głowę.

- Kiedy rozmawialiśmy o miłości, zaczynał mnie obrażać. Ty, mówił do mnie, jesteś przyrodniczką. Swoich przyjaciół i wrogów widzisz wyłącznie pod mikroskopem elektronowym. Gdy wymawiasz słowo miłość, brzmi ono tak, jakbyś miała w ustach jakieś ciało obce. Twój głos brzmi wtedy inaczej. O pół oktawy wyżej. Krtań ci się zwęża, Mia, i wydaje przenikliwy dźwięk - miłość. Jako dziecko nawet ćwiczyłaś to słowo przed lustrem. Miłość. Patrzyłaś sobie wtedy

w oczy i szukałaś powodu, dla którego jest ono takie trudne: miłość. A to po prostu dlatego, Mia, że nie potrafisz go wymówić jak trzeba. Według ciebie to słowo należy do obcej mowy, w której język musi się znaleźć w nienaturalnej pozycji. Mia, powiedz: kocham cię! Powiedz: najważniejsza w życiu jest miłość. Mój kochany, najukochańszy. Kochasz mnie? Widzisz, Mia? Już spuszczasz wzrok! Rezygnujesz!

Mia ponownie obraca się razem z krzesłem, tym razem gwałtownie.

- A jakie było jego ostatnie zdanie? „Życie to oferta, którą można również odrzucić”. I gdzie wtedy była ta jego miłość? Są zdania, które odciskają się w mózgu jak przy użyciu metalowej sztancy, tak że od tej chwili można myśleć już tylko jednotorowo. Jak mam o tym zapomnieć? Jak mam o tym nie zapomnieć? Znałaś go zapewne lepiej niż ja. Nie mam pojęcia, czy wiedział, jak bardzo go kochałam. Nie wiem nawet - krzyczy Mia - czy w ogóle potrafię odpowiednio za nim tęsknić!

- Nie gadaj bzdur - mówi idealna kochanka. - Przecież dniami i nocami nie robimy nic innego. Tęsknimy za nim. Obie. Chodź do mnie.

Jednak właśnie w chwili, kiedy Mia wstaje i idzie w stronę wyciągniętych ramion idealnej kochanki, rozlega się dzwonek u drzwi.

Ładny gest

Są takie chwile, kiedy czas się zatrzymuje. Dwoje ludzi patrzy sobie w oczy: materia gapiąca się sama na siebie. Wokół powstałej osi spojrzeń, którą za głowami tych dwojga można przedłużać w nieskończoność, przez kilka sekund kręci się cały świat. Aby uniknąć nieporozumień, zwróćmy uwagę na to, że nie ma tu mowy o miłości od pierwszego wejrzenia. To, co właśnie dzieje się między Kramerem a Mią, nazwalibyśmy raczej bezgłośnym hałasem u progu pewnej historii.

Mia otwiera mu drzwi. Przez chwilę ani jedno, ani drugie nie odzywa się słowem. Trudno zgadnąć, o czym myśli Kramer; prawdopodobnie czeka po prostu na to, żeby Mia odkryła w sobie panią domu. Kramer jest człowiekiem cierpliwym. Może ma na nią wzgląd, stoi z szacunkiem na progu i postanawia dać jej trochę czasu, rozumie bowiem, w jakiej osobliwej sytuacji nagle się znalazła. W końcu nie co dzień się zdarza, że mężczyzna, którego już tyle razy i w tak różnorodny sposób zadreńczyło się w duchu na śmierć, nagle staje przed nami we własnej osobie.

- Dziwne - mówi Mia, odzyskawszy mowę. - Wcale nie włączałam telewizora. A mimo to pana widzę.

Na te słowa Kramer uśmiecha się niezwykle serdecznym i czarującym uśmiechem, którego nie spodziewałby się po nim nikt, kto zna tego dziennikarza jedynie z mediów. To uśmiech prywatny. Uśmiech człowieka, który mimo wielkiej sławy w ogóle się nie zmienił.

- *Santé* - mówi i zdejmuje rękawiczkę z prawej ręki, którą wyciąga do Mii.

Mia patrzy na nią jak na egzotycznego owada, potem jednak z wahaniem wsuwa w nią palce.

- Ładny gest, jak ze starego filmu - zauważa. - Ale, moim zdaniem, niezbyt do pana pasuje. Nie boi się pan mojego potencjału infekcyjnego?

- Pani Holl, najważniejszy w życiu jest styl. A histeria to najgorszy wróg dobrego stylu.

- Pana twarz - mówi Mia w zamyśleniu - jest chyba swego rodzaju etykietką. Można nalepiać ją na najróżniejsze poglądy.

- Czy mogę wejść?

- Żąda pan, żebym mordercy mojego brata podała coś do picia?

- Ależ skąd. Na taką prostacką ocenę jest pani zbyt inteligentna. Jednak istotnie chętnie bym się czegoś napił. Poproszę o filiżankę gorącej wody.

Kramer przechodzi obok Mii do mieszkania i kieruje się w stronę sofy, na której idealna kochanka szybko odsuwa się na bok. Ledwie dziennikarz siada, sofa już wydaje się

stworzona dla niego. On nie dostrzega jednak pełnego niechęci spojrzenia idealnej kochanki, co tym razem wyjątkowo w mniejszym stopniu wynika z jego pewności siebie, bardziej zaś z faktu, że nie widzi tej osoby.

- Tylko gwoli dokładności: nie zamordowałem pani brata. Może raczej powinniśmy zapytać, skąd wziął w więzieniu żyłkę wędkarską, na której się powiesił.

Mia stoi pośrodku pokoju. Ręce ma skrzyżowane, palce wbija w przedramiona, jakby chciała przytrzymać się własnego ciała albo zapobiec temu, żeby jej ręce się usamodzielniały i udusiły Heinricha Kramera.

- Pan... - wyrzuca z siebie Mia - nawet nie stara się stłumić mojej nienawiści.

Kramer umie również śmiać się przymilnie, przy czym gładzi się po włosach.

- Ależ niech mnie pani nienawidzi - mówi. - Jestem tutaj po to, żeby z panią porozmawiać. Nie musi pani brać ze mną ślubu.

- Mam nadzieję, że uniemożliwiłyby to nasze układy odpornościowe.

- Ciekawe - Kramer kładzie palec na nosie - chyba istnieje między nami zgodność immunologiczna.

- Ciekawe - mówi idealna kochanka i również przykłada palec do nosa - jest pan jeszcze większym skurwielem, niż myślałyśmy.

- Spróbujmy posłużyć się logiką. - Mia odzyskuje kontrolę nad głosem. - Gdyby pan i szwadron pańskich cholernych szczekaczy nie przeprowadzili całej tej kampanii przeciw

Moritzowi, prawdopodobnie nie zostałby skazany. A nie mając wyroku, nie odebrałby sobie życia.

- Taka już bardziej mi się pani podoba. - Kramer prawym łokciem opiera się o bok sofy, jakby chciał objąć idealną kochankę. - Logiczne myślenie bardzo do pani pasuje, zupełnie jak do mnie. Dlatego też bez trudu dostrzeże pani swój błąd logiczny. Przyczynowość w żadnym razie nie jest tożsama z winą. Inaczej musiałaby pani odpowiedzialnością za śmierć brata obarczyć również Wielki Wybuch.

- Może to robię. - Ziemia mknąca po swojej orbicie wpada na wybój, Mia się chwieje, chce się oprzeć o biurko, ale chwyta ręką próżnię. - Potępiam Wielki Wybuch. Potępiam wszechświat. Potępiam naszych rodziców za to, że wydali na świat Moritza i mnie. Potępiam wszystko i wszystkich, którzy stali się przyczyną jego śmierci!

- Proszę. Pomogę pani.

Kramer podnosi się, pomaga wstać Mii, która padła na kolana, i prowadzi ją na sofę. Delikatnie odgarnia jej włosy z czoła.

- Nie dotykaj jej! - syczy idealna kochanka.

- Pójdę przygotować nam gorącą wodę.

Kramer znika w kuchni.

Genetyczny odcisk palca

Do incydentu, o którym tu mowa, doszło w nieodległej przeszłości. Spojrzenie na fakty odsłania zdumiewająco proste wydarzenie. Moritz Holl, lat dwadzieścia siedem, łagodny i zarazem uparty mężczyzna, nazywany przez rodziców „marzycielem”, przez przyjaciół „wolnomyślicielem”, a przez siostrę na ogół „szpanerem”, pewnej zwyczajnej sobotniej nocy zgłosił na policji straszliwe znalezisko. Młoda kobieta o imieniu Sybille, z którą według jego własnych zeznań umówił się przy Moście Południowym na randkę w ciemno, nie była w chwili spotkania ani sympatyczna, ani niesympatyczna, tylko martwa. Zaprotokołowano zeznanie zupełnie wytrąconego z równowagi Moritza jako świadka i odesłano go do domu. A już dwa dni później siedział w areszcie śledczym. W ciele zamordowanej kobiety znaleziono bowiem jego spermę.

Badanie DNA położyło kres dochodzeniu. Każdy normalny człowiek wie, że genetyczny odcisk palca jest niepowtarzalny. Nawet bliźniacy nie posiadają takiego samego materiału genetycznego, a Moritz miał jedynie

zwyczajną siostrę, która jako przyrodniczka sama najlepiej wiedziała, co znaczy niepowtarzalność genetyczna. Wydanie wyroku skazującego na podstawie takiego dowodu jest rutyną. W podobnych sprawach mordercy przyznają się do winy. Robią to wcześniej albo później, w każdym razie jednak się przyznają. Może przynosi to ulgę ich sumieniom, a może w ten sposób proszą opinię publiczną o rozgrzeszenie. Moritz natomiast ignorował fakty. Utrzymywał, że ani nie zgwałcił, ani nie zabił Sybille. Podczas gdy publiczność siedząca przed telewizorami i oglądająca program popołudniowy oczekiwała szybkiego śledztwa, Moritz, z szeroko otwartymi niebieskimi oczami i z bladą twarzą o rysach zhardziałych od siły własnych przekonań, zapewniał o swojej niewinności. Przy każdej okazji powtarzał zdanie, które wpadało w ucho niczym szlagier: „Składacie mnie w ofierze na ołtarzu waszego zaślepienia”.

W najnowszych dziejach prawa żaden morderca nigdy się tak nie zachowywał. Obywatele sprawnie działającego państwa przywykli do tego, że dobro publiczne jest równoznaczne z dobrem prywatnym, również, albo zwłaszcza, w mrocznych zakamarkach ludzkiej egzystencji. Wystąpienia Moritza przed sądem wywołały skandal. Coraz donośniej odzywały się w prasie głosy świadczące o sympatii dla jego konsekwencji i domagające się odroczenia wykonania wyroku. A część dziennikarzy zaczęła go tym bardziej nienawidzić, nie tylko za ten krwawy czyn, ale przede wszystkim za zatwardziałość.

W centrum tej powszechnej wrzawy znalazła się Mia. Jej

pokrewieństwo z Moritzem stało się nagle mroczną tajemnicą, której władze wymiaru sprawiedliwości musiały strzec. W dzień Mia chodziła do pracy i wypełniała obowiązki mające na celu utrzymanie ciała w sprawności, a wieczorami jeździła do więzienia. Zamiast spać, wymiotowała w nocy do miski, której zawartość wylewała następnie do ulicznego rynsztoka, żeby sensory w toalecie nie zarejestrowały zwiększonego stężenia kwasów żołądkowych w rurze kanalizacyjnej. Reportaże Kramera stanowiły oczywiście ważną, może nawet najważniejszą część dyskusji w mediach. Mówił on i pisał tylko to, co musiał mówić i pisać trzeźwy pozytywista i zdeklarowany obrońca METODY – a co teraz, krzątając się w kuchni, powtarzał Mii.

Żadnych dziwacznych ideologii

Jako społeczeństwo dotarliśmy do celu – mówi Kramer, napełniając wodą czajnik elektryczny. – W przeciwieństwie do wszystkich systemów z przeszłości nie dajemy posłuchu rynkowi ani religii. Nie musimy wyznawać żadnych dziwacznych ideologii. Ażeby uprawomocnić nasz system, nie potrzeba nam nawet zakłamanej wiary we władzę ludu. Powołując się na fakt bezpośrednio wynikający z istnienia życia biologicznego, dajemy posłuch wyłącznie rozumowi. Każdej żyjącej istocie jest bowiem właściwa jedna cecha. Wyróżnia ona wszystkie zwierzęta, rośliny, a w najwyższym stopniu człowieka. Bezwarunkowa, indywidualna i zespołowa wola przetrwania. To ją właśnie ustanawiamy fundamentem wielkiej umowy, na której opiera się nasze społeczeństwo. Stworzyliśmy METODĘ dążącą do zagwarantowania każdej jednostce jak najdłuższego, niezakłóconego, a to znaczy zdrowego i szczęśliwego życia. Wolnego od bólu i cierpienia. W tym celu zorganizowaliśmy nasze państwo niezwykle

kompleksowo, bardziej kompleksowo niż każde, które je poprzedzało. Nasze zasady działają z drobiazgową wręcz dokładnością, porównywalną z systemem nerwowym danego organizmu. Nasz system jest perfekcyjny, w cudowny sposób żywotny i silny jak ciało – jednakże równie kruchy. Najdrobniejsze wykroczenie przeciw jednej z podstawowych zasad może ciężko uszkodzić ten organizm albo nawet go zabić. Cytryny?

Mia z chęcią przystaje na jedno tryśnięcie cytryny, a gorąca woda, którą podaje Kramer, dobrze jej robi. Kramer siada w fotelu naprzeciw Mii i dmucha do swojej filiżanki.

– Czy pani wie, co chcę przez to powiedzieć?

– Że nie ma żadnego racjonalnego sposobu, żeby zakwestionować wiarygodność badania DNA – odpowiada cicho Mia.

Kramer potakująco kiwa głową.

– Badanie DNA jest nieomyłne. Nieomyłność zaś stanowi główny filar METODY. Jak mielibyśmy ludziom wyjaśnić daną zasadę, gdyby nie była ona rozumna, obowiązująca we wszystkich przypadkach, a co za tym idzie, nieomylna? Nieomyłność wymaga konsekwencji, do której obliguje nas zdrowy rozum.

– Mia – odzywa się idealna kochanka – ten facet wygłasza same czcze formułki. Ten facet jest maszyną!

– To możliwe.

– Z myśleniem zdroworozsądkowym – woła idealna kochanka – mamy do czynienia wtedy, gdy ktoś chce mieć rację, a nie potrafi uzasadnić dlaczego!

- Chwileczkę.
- Słucham? - pyta Kramer.
- Co w obliczu tego, co ludzkie - pyta Mia, zwracając się w jego stronę - oznacza nieomyślność?
- Wiem, do czego pani zmierza.
- Jak - pyta Mia - mają być nieomyślne różne zasady, środki i zachowania, skoro przecież to wszystko wymyślili tylko ludzie? Ludzie, w których przypadku co kilkadziesiąt lat dochodzi do kompletnej wymiany przekonań, poglądów naukowych i całej ich prawdy? Nigdy nie zadał pan sobie pytania, czy mój brat mimo wszystko nie mógł być niewinny?
- Nie - odpowiada Kramer.
- Dlaczego nie? - pyta idealna kochanka.
- Dlaczego nie? - pyta Mia.
- Co ma na celu to pytanie? - Kramer odstawia filiżankę i pochyla się do przodu. - Rozstrzygnięcia uwzględniające jednostkowe przypadki? Despotyczne rządy serca, które mogłyby sprawować król, w zależności od swojego widzimisię łaskawy albo surowy? Czyje serce miałoby rozstrzygać? Moje? Pani? Jakie prawo miałoby za tym stać? Władza ponadnaturalnej sprawiedliwości? Pani Holl, czy pani wierzy w Boga?
- Ani ja nie wierzę w niego, ani on we mnie. Opiera się to na wzajemności.
- A na co zamierza powołać się pan Kramer? - pyta idealna kochanka. - Na racjonalny obiektywizm, w który sam nie wierzy? Ani on w niego?
- No tak - mówi Mia. - Uczucie to w każdym razie zły

doradca. *Per definitionem* nie jest ono powszechnie obowiązujące.

- Rozum natomiast to złudzenie - odpowiada szybko idealna kochanka. - Zaledwie kostium, w który człowiek wciska sumę swoich uczuć.

- Posługujesz się romantycznymi anachronizmami! - woła Mia.

- A ty intelektualnymi sofizmatami, przez które zginął Moritz!

- Pani Holl! - Kramer kiwa do niej kształtną ręką, jakby odpędzał welony mgieł. - Niechże pani przestanie mówić sama do siebie. Straciła pani człowieka. Ale nie przekonania.

- Przekonania, którymi Moritz pogardzał za życia - przypomina idealna kochanka.

Mia rzuca jej ostrzegawcze spojrzenie i wstaje, aby podejść do okna. Jest piękny dzień, dzień jak z reklamy wysokobiałkowych produktów fitness. Mia z trudem opiera się pragnieniu zasunięcia kotar. Słońce odsłania opróżnione w połowie pudełka z obiadem dostarczonym przez firmę cateringową, rzucone byle gdzie części garderoby i kłęby kurzu we wszystkich kątach. Cuchnie dwudziestym wiekiem. Jasne światło z każdą minutą zdaje się powiększać nieład w pokoju.

- Patrzę na skrzyżowanie dwóch dróg - mówi Mia. - Jedna nazywa się nieszczęście, druga zniszczenie. Albo przeklnę system, wobec którego METODY nie ma alternatywy, albo sprzeniewierzę się miłości do brata, w którego niewinność wierzę równie mocno, jak we własne istnienie. Rozumie pan?

- Odwraca się gwałtownie. - Wiem, że on tego nie zrobił. Co mam teraz począć? Jaką powziąć decyzję? O runięciu czy upadku? O piekle czy czyścicu?

- Ani tej, ani tej - odpowiada Kramer. - Są sytuacje, w których błędem byłby nie wybór tej czy innej możliwości, ale samo podjęcie decyzji.

- Czy to znaczy... że to pan, właśnie pan przyznaje, że istnieją luki w systemie?

- Oczywiście. - Śmiech Kramera jest w tym momencie rozbijający. Siedząc w fotelu, dziennikarz podnosi ku niej wzrok. - System jest ludzki, sama to pani przed chwilą stwierdziła. Oczywiście, że wykazuje luki. To, co ludzkie, jest czarnym jak noc pokojem, w którym pełzamy dookoła, ślepi i głusi niczym noworodki. Można się tylko starać, żeby w trakcie tego pełzania jak najrzadziej zderzać się głowami. To wszystko.

- Zderzać się głowami? Moja głowa jest już roztrzaskana.

- Widzę to inaczej, czyli na własne oczy. - Kramer wyciąga rękę i wskazuje sam środek czoła Mii. - Należy wznieść się ponad to wszystko. Mia, niech pani opłakuje brata. Niech go pani opłakuje z całych sił. A w tym czasie proszę wracać do normalności. Wskutek pewnych zaniedbań zwróciła pani na siebie uwagę władz.

- Są sytuacje, kiedy... - zaczyna Mia, ale Kramer tylko macha ręką.

- Proszę oszczędzić sobie usprawiedliwień, to się pani na nic nie zda. Zostanie pani zaproszona na rozmowę wyjaśniającą, nic ponadto. Proszę przyjąć to zaproszenie.

Niech pani tu posprząta. A przynajmniej niech pani wymaże ze swojego życia zewnętrzne oznaki beznadziei. To nadal jest pani życie. Proszę je wziąć w swoje ręce.

- Nie mam żadnych innych zamiarów - mówi cicho Mia.

- Bardzo mnie to cieszy.

Kramer zrywa się z fotela z taką energią, jakby osobiście chciał przystąpić do sprzątanía. Mia przygląda mu się podejrzliwie.

- I przyniósł pan szczotkę? Żeby pozamiatać tę beznadzieję?

Dziennikarz natychmiast koryguje swoją postawę i wsuwa ręce do kieszeni spodni.

- A to nasuwa mi interesujące pytanie - mówi Mia. - Pan jest bardzo zajęтым człowiekiem. Nie wydaje mi się, żeby brakowało panu kompetentnych partnerów do rozmów. A może zamierza pan mnie zaadoptować?

- Innymi słowy - odzywa się idealna kochanka - czego tu szukasz, do diabła?

- Przyszedłem złożyć pani pewną propozycję.

Kramer zaczyna przechadzać się po pokoju, odczytując mimochodem nieprawidłowe wskazania na hometrainerze.

- To wszystko, o czym przed chwilą rozmawialiśmy, obchodzi nie tylko panią, ale cały kraj. Już niedługo ukazą się pierwsze prace doktorskie poświęcone sprawie pani brata - prace z dziedziny prawa, socjologii, psychologii i politologii. *Causa* Moritz Holl awansuje na prawdziwą królową przypisów. Jak to możliwe, że METODA stwierdza bezsprzeczną winę oskarżonego, a on mimo to uważa się za

niewinnego? Dlaczego powszechne oraz osobiste dobro tak bardzo rozmiągają się w tym przypadku? To są fundamentalne kwestie naszego współistnienia. Fundamentalne kwestie METODY , które raz po raz trzeba stawiać na nowo i na nowo rozpatrywać.

Mia z zadziwieniem przygląda się krążącemu po pokoju Kramerowi.

- Stawiać? Rozpatrywać? Czy pan może chce ode mnie... krytycznego wywiadu?

- Zróżnicowanej rozmowy. Chętnie bym panią sportretował. Dla pisma na NA ZDROWY ROZUM . Dziennikarstwo już dawno przestało być cyrkiem wędrownym, który po skończonym widowisku rusza dalej w drogę.

- Bo parsknę śmiechem - mówi idealna kochanka. - Chociaż w ogóle nie umiem tego zrobić.

- Moglibyśmy pokazać, ile tragedii i sprzeczności kryje się nawet w tak nieskazitelnym systemie jak METODA . I dlaczego mimo to istnieje konieczność podążania drogą rozumu. Dobry obywatel to nie ktoś, kto niczym owca tupta w stadzie. Dobry obywatel potrafi przetrwać kryzysy i wątplenia, aby potem w jeszcze bardziej zdecydowany sposób opowiadać się za wspólną sprawą. Pani Holl, to właśnie mogłaby pani pokazać ludziom. Proszę się nad tym zastanowić. Nie byłoby to z niekorzyścią dla pani.

- Jeśli to zrobisz - mówi idealna kochanka - opuszczę cię.

- Nie możesz tego zrobić - odpowiada Mia. - Moritz mi cię podarował.

Kramer się zatrzymuje.

– Pani Holl, w pani obecności niemal ogarnia człowieka strach.

Przez szybę z pleksi

Pragnęłabym, żebyśmy się jeszcze uporali przynajmniej z tym – mówi Mia.

Jeśli spojrzymy przez tkanę czasu niczym półprzezroczystą szatę na ciele wieczności, w pustym pomieszczeniu aresztu śledczego zobaczymy Mię i Moritza przed niespełna miesiącem. Przyglądają się sobie badawczo, jakby widzieli się po raz pierwszy.

– Uporali się z czym? – pyta Moritz.

– Ze znalezieniem ci zony.

Dzieli ich szyba z pleksi, której środek zdobią otworki w kształcie gwiazdki. Przez te otworki słyszą się oboje i kiedy przysuną twarze do szyby tak blisko, że zaraz nastąpi upomnienie ze strony wartownika, mogą się nawet poczuć.

– Nic nie szkodzi – mówi przeszły obecnie Moritz. – Już sobie jedną taką znalazłem.

– Jedną jaką?

– Idealną kochankę. Jest trochę kapryśna, ale ogólnie rzecz biorąc, dobrze nam ze sobą. Nie jestem samotny.

Kiedy Moritz się porusza, szeleści na nim białe papierowe

ubranie, które od pół roku zastępuje mu normalną odzież.

Przykłada dwa palce do szyby, a siostra dotyka tego miejsca po swojej stronie. Na tyle im pozwalają, od kiedy Mia, chcąc sprawić strażnikom przyjemność, przynosi z laboratorium proszek kofeinowy w plastikowych torebkach. Mia i Moritz uśmiechają się do siebie. Nauczyli się uśmiechać, chociaż właściwie mają tylko ochotę krzyczeć, rozwalić coś lub po prostu się rozpłakać.

- Wiesz co? - mówi Moritz. - Pożyczę ci ją. Weź ją sobie.

- Ja mam wziąć do siebie twoją wyimaginowaną kochankę?

- Uważam, że to dobry pomysł. Łatwiej byłoby mi wtedy uwierzyć, że wkrótce znów się zobaczymy. Idealna kochanka przyprowadzi cię z powrotem do mnie. Nie wyobrażam sobie, żeby długo u ciebie wytrzymała.

- Brak mi wyobraźni do takich gier.

Moritz, jak to ma w zwyczaju, marszczy czoło, przy czym cała jego twarz zdaje się piętrzyć wokół jednego punktu między oczami.

- Masz jej więcej niż wystarczająco dużo - mówi. - Całe życie spotykaliśmy się w królestwie fantazji.

- To było twoje królestwo.

- To było nasze królestwo. To jest nasze królestwo. To zawsze będzie nasze wspólne domostwo. Nie zapominaj o tym.

Przez chwilę patrzą na siebie jak wrogowie, kowboje na gościńcu, którym wiatr zaczesuje wszystkie włosy w tę samą stronę. Krótka walka. Mia czuje, że się poddaje. Właściwie od samego początku nie potrafi stawić tej walce czoła.

- Okay - mówi. - Niech to diabli, wezmę do siebie tę twoją chimere.

Czoło Moritza wygląda się bez trudu. Ukryty w głębi czaszki umysł przywykł do tego, że dzieje się jego wola.

- Będzie czekała na ciebie w twoim mieszkaniu - szepcze Moritz. - Jeszcze nauczysz się cenić ten dar. A teraz... teraz poproszę cię o przysługę.

Między palcami Mii znajduje się przezroczysta żyłka, przechodząca przez jeden z otworków. Drobnymi ruchami kciuków i palców wskazujących Moritz przeciąga ją na swoją stronę. Trwa to dobrą chwilę. Wartownik przygląda się swoim paznokciom i ziewa. Kiedy żyłka jest już po drugiej stronie, Moritz i Mia wstają.

- Życie - mówi cicho Moritz - to oferta, którą można również odrzucić.

Wyobrażają sobie, że się obejmują, zachowując niewielki dystans, dokładnie taki, żeby mostki i brzuchy obojga się nie dotykały.

- Cześć - żegna się Mia.

Szczególna zdolność odczuwania bólu

Podjęła próbę. Zebrała z szafek i półek brudne naczynia i puste szklanki, ale potem znów zostawiła całą stertę na biurku. Przygotowała narzędzia do pobrania próbek krwi, ustawiła w łazience pojemniki na mocz i zapomniała o nich. Odkurzyła jeden róg dywanu i porzuciła odkurzacz. Miała zamiar umyć okna, ale tylko ochuchała szybę i w skroplonej smudze brudu wystukała czubkiem palca otworki w kształcie gwiazdki. Przyłożyła dwa palce do szyby, po czym się uśmiechnęła, chociaż właściwie miała tylko ochotę krzyczeć, rozwalić coś lub się po prostu rozpłakać. Teraz bałagan w mieszkaniu jest większy niż przedtem, a Mia, z zamkniętymi oczami, jakby spała, leży na sofie w ramionach idealnej kochanki.

- Już nie poznaję tego mieszkania - mówi. - Wydaje mi się ono obce jak słowo, które długo powtarzane traci wreszcie wszelki sens i staje się zwykłym ciągiem różnych dźwięków. Obce stało mi się także przemijanie dni. Już nie poznaję

swojego życia, jest ono zwykłym ciągiem różnych czynności. Wszystko to bez znaczenia. Bez sensu.

- Ten Kramer to fanatyk - mówi idealna kochanka i kołysze Mię niczym matka.

- Jestem kobietą posiadającą penthouse nad dachami miasta i szczególną zdolność do odczuwania bólu. Od miesiąca nie wychodzę z domu. To wszystko, co o mnie wiadomo. Kiedy zwracam wzrok w głąb siebie i nasłuchuję, czy coś się tam porusza, delikatny trzask czy szept, zdradzający obecność mojej osobowości, niczego nie znajduję. Jestem słowem, które długo powtarzane traci wreszcie wszelki sens.

- Kramer czerpie rozkosz z bezwarunkowego posłuszeństwa - mówi idealna kochanka. - Z bezwarunkowego oddania zasadzie.

- Mówił rozsądnie.

- Jest nader zręcznym fanatykiem.

Idealna kochanka unosi ręce i trzymając je w powietrzu tuż obok siebie, potrząsa nimi, jakby chciała naśladować kąpiącego się ptaka. W taki właśnie sposób się śmieje.

Puszka groszku

Do środka wprowadzili ją dwaj ubrani w szare mundury strażnicy służby bezpieczeństwa, którzy niezwykle uprzejmie przeprosili za wszelkie niedogodności, a opuszczając pomieszczenie, cicho zamknęli za sobą drzwi.

Teraz Mia z pustym spojrzeniem siedzi rozebrana do pasa w fotelu przeznaczonym do badań. Z jej nadgarstków, pleców i skroni zwieszają się przewody. Słyszeć uderzenia serca, szum krwi w żyłach, elektryczne impulsy synaps – orkiestra szaleńców strojących instrumenty. Lekarz orzecznik jest dobrodusznym panem o wypielęgnowanych paznokciach. Skanerem przesuwają po ramieniu Mii, jakby była ona puszką groszku stojącą na taśmie kasy w supermarkecie. Na ekranie pojawia się zdjęcie, któremu towarzyszy długi szereg informacji medycznych.

– Widzi pani, pani Holl, to naprawdę cudowne. Wszystko w najlepszym porządku. Nie ma powodu do przyczyny, jak zwykłem mawiać.

Mia podnosi wzrok.

– Myślał pan pewnie, że jestem chora? I nie oddaję

wyników badań, bo mam coś do ukrycia? Czy wyglądam na przestępczynię?

Lekarz zaczyna odłączać przewody od ciała Mii.

- Wszystko już się zdarzało, pani Holl. To smutne, ale prawdziwe, jak zwykłem mawiać.

Mia pospiesznie wciąga sweter przez głowę.

- Pani Holl, życzę pani miłego dnia! - woła lekarz.

Wyciskarka do soku

Warkocz Sophie podskakuje radośnie jak u studentki, podczas gdy ona sama, przeglądając orzeczenia lekarskie, kiwa potakująco głową. Jest w dobrym humorze, bez szczególnego powodu. Dobry humor to nawyk Sophie, podobnie jak ludzie nerwowi obgryzają paznokcie. Sophie studiowała prawo, ponieważ je kocha. Stało się ono dla niej zawodem, w którym może zrobić coś sensownego. Ludzie jej dziękują. Z paroma wyjątkami. Mia Holl – Sophie czuje to wyraźnie – nie należy do tych wyjątków. Jasne oczy i inteligentna twarz spodobały się jej już w chwili wejścia obwinionej do sali. Może Mia ma trochę za duży nos. Zbyt duże nosy świadczą o upartym charakterze, ale całkowicie łagodzą to miękkie usta, niewzruszenie i niemo proszące o spokój. Sophie ma wysokie mniemanie o swojej znajomości ludzi.

– Świetnie – mówi, zamyka raport dotyczący badań i odsuwa go na bok. – Znakomicie.

Sophie wzrusza sposób, w jaki obwiniona wsysa dolną wargę między zęby. Mia jest o kilka lat starsza od niej,

a mimo to siedzi bezradnie jak dziecko.

- Miło panią widzieć, pani Holl. Mniej miłe jest to, że musiałam tu panią zawezwać. Powinna pani była dobrowolnie przyjść na rozmowę wyjaśniającą. Teraz jest to przesłuchanie, muszę więc pouczyć panią o pani prawach. Zgodnie z paragrafem 50 ustawy o ochronie zdrowia ma pani prawo milczeć. Ja jednak zakładam, że porozmawiamy sobie. Czy mam rację?

Również Sophie umie robić minki jak dziecko, dziecko, które chce się pogodzić. Na widok takiej miny obwiniony może tylko potakująco skinąć głową. Tak też dzieje się w przypadku Mii.

- Dobrze - uśmiecha się Sophie. - Niech więc pani opowiada, pani Holl. Co w pani mniemaniu wiąże się z pojęciem zdrowia?

- Człowiek - mówi Mia do czubków swoich palców - jest skonstruowany zdumiewająco niepraktycznie. W przeciwieństwie do niego każdą wyciskarkę do soku można otworzyć i rozłożyć na części. Wyczyścić, naprawić i na powrót złożyć.

- Wobec tego rozumie pani, dlaczego publiczna profilaktyka nie troszczy się o wyciskarki do soku, tylko o ludzi.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Jak to się więc dzieje, że od wielu tygodni w ogóle nie poddaje się pani obowiązkowym kontrolom?

- Bardzo mi przykro - mówi Mia. - W pewien sposób.

- W pewien sposób? - Sophie odchyła się i poprawia sobie

koński ogon. – Pani Holl, pani mnie pewnie nie pamięta, ale ja panią znam. Byłam referentką w procesie przeciw... to znaczy, przeciw Moritzowi Hollowi. Znam szczegóły tej sprawy. Wiem, co pani przeżywa.

Przez chwilę Mia patrzy nieruchomo w oczy pani sędzi, a potem opuszcza wzrok.

– Nie cofniemy tego, co się stało – mówi Sophie. – Ale ustawa o ochronie zdrowia oferuje szereg możliwości przyścia pani z pomocą. Mogę ustanowić dla pani opiekuna medycznego. Można by również pomyśleć o kuracji. Znaleźlibyśmy jakieś piękne miejsce w górach lub nad morzem. Tam ktoś pomógłby pani uporać się z całą tą sytuacją. A później, w chwili ponownego włączenia pani do pracy zawodowej i życia codziennego...

– Nie, dziękuję – mówi Mia.

– Co ma znaczyć „nie, dziękuję”?

Mia milczy. Pani sędzia była w błędzie, mniemając, że obwiniona sobie jej nie przypomina. Pamięć Mii ukazuje Sophie jako jeden z wielu ubranych na czarno manekinów w kulisach zamku strachów, figur siedzących całkiem z tyłu, na zawietrznej sądu przysięgłych, na poły ukrytych przed przewodniczącym sądu, ławnikami i protokolantami. Ładna, młoda, z jasnym końskim ogonem i właśnie dlatego uosabiająca upiора doskonałego, z dużymi oczami i z zatroskaną miną spoglądającego w dół na oskarżonego, który utracił dawny wymiar fizyczny i zapadłszy się w sobie, kuli się teraz przed czarnymi manekinami. Ta blondyna to chodząca dobroć, mówił Moritz. Nie chce mnie skrzywdzić.

Prawdopodobnie nikt z nich nie chce mnie skrzywdzić. Jaką decyzję ty byś podjęła, właśnie ty, gdybyś siedziała tam na górze, a ja nie byłbym twoim bratem?

- Pani Holl - mówi Sophie, marszcząc ładny noseć. - Organicznie jest pani zupełnie zdrowa. Ale pani dusza cierpi. Zgoda co do tego?

- Tak.

- Dlaczego więc nie chce pani pozwolić sobie pomóc?

- Swój ból uważam za sprawę prywatną.

- Sprawę prywatną? - pyta zdumiona Sophie.

- Proszę posłuchać.

Nagle Mia sięga po rękę pani sędzi, co stanowi wykroczenie przeciw zasadom. Sophie wzdryga się i rozgląda, po czym z ociąganiem pozwala obwinionej zatrzymać swoje palce w dłoni.

- Nikt - mówi Mia - nie potrafi zrozumieć, co przeżywam. Nie rozumiem tego nawet ja sama. Gdybym była psem, szczekałabym na siebie, nie pozwalając sobie podejść bliżej.

Stworzone nie po to, żeby ktokolwiek je zrozumiał

Mia ścisza głos, wie bowiem, że takie zdania jak to o szczekającym psie nie powstały po to, aby ktokolwiek je zrozumiał. Wszystko, co Mia chce właściwie wyrazić, nie daje się tak po prostu ująć w słowa, lepiej też, że w obecności pani sędzi obwiniona dalej w to nie brnie. Gdybyśmy na miejscu Mii próbowali to zrobić, musielibyśmy sobie wyobrazić, jak w nocy skopuje z siebie kołdrę i wstaje. Brzask poranka za oknami rozgadnia głęboką czerń nocy na niebie. Jest to ta chwila, kiedy wczoraj staje się jutrem i przez krótką chwilę nie istnieje żadne dzisiaj. Chwila, której lękają się ludzie cierpiący na bezsenność. Mia tkwi we własnej skórze niczym w sieci. Również na twarzy zrobiło się jej za ciasno; opuszkami palców próbuje wymacać minę, której nie poznaje, brzydki grymas, z jednym kącikiem ust podciągniętym w uśmiechu do góry, ale to nie jest jej mina.

Opuszczając sypialnię, Mia na chwilę opiera się ramieniem o futrynę drzwi. Widzimy, jak potem przemierza przedpokój

i wchodzi do jadalni, uruchamia pilotem odtwarzacz muzyki i podkręca głośność. Nie słyszymy krzyku, widzimy tylko otwarte usta i moment potknięcia. Wydaje nam się wręcz, że Mia za chwilę upadnie. Ale ona tylko podchodzi do okna, uniesionymi rękami wali z impetem w szybę, odbija się od niej, jeszcze raz bierze rozbieg i znów uderza w nią obiema dłońmi. Muzyka jest tak głośna, że nawet nie słychać rozpryskującego się szkła. Gnana do przodu własnym impetem, Mia z wyciągniętymi rękami wpada na pękającą szybę, sięga w próżnię, wychyla się i nieruchomieje na chwilę, zanim klatką piersiową dotknie sterczących w górę szklanych zębów, które jeszcze tkwią w ramie. Sięga ku odłamkom i – z zamkniętymi oczami – zaciska pięści. Widzimy, jak drżą jej wargi i jak spoza zaciśniętych powiek kieruje wzrok ku górze. Widzimy bielejące kostki palców i wypływającą spomiędzy nich krew, jakby Mia rozgniatała w garściach coś miękkiego i czerwonego. Potem otwiera dłonie, potrząsa obiema rękami, a odłamki spadają na podłogę. Kiedy podnosi złożone ręce, krew ścieka w stronę łokci. „Zabierzcie to ode mnie”, czytamy z jej ust, „zabierzcie to ode mnie!”, po czym wydaje z siebie jęk, jakby chodziło o jakiś potężny ciężar, który mielibyśmy z niej zdjąć. Raz po raz podnosi ręce w błagalnym geście. Przez sekundę grozy moglibyśmy rzeczywiście uwierzyć, że przemawia do nas.

Jeżeli teraz wyobrazimy sobie, że Mia tej i wszystkich podobnych nocy nie wykopuje się dobrowolnie spod kołdry, nie wstaje i nie podchodzi do okna, nie rozbija szyby, lecz po prostu leży, nie śpiąc, ale w pozycji osoby śpiącej – wtedy

będziemy mniej więcej wiedzieli, co przeżywa.

Sprawa prywatna

Pani Holl – mówi Sophie i wierzchem dłoni przesuwając po oczach – muszę panią prosić, aby wyjaśniła mi pani, co ma pani na myśli, mówiąc: sprawa prywatna .

Mia zrywa się z miejsca i zaczyna chodzić po sali, jakby szukała okien, których tu nie ma.

– Chcę tylko spokoju – oświadcza w końcu.

– Proszę usiąść.

– Nie jestem uczennicą. Są sprawy, które wymagają czasu. O nic innego pani nie proszę. Jedynie o spokój i czas.

– A ja proszę, aby nie zmuszała mnie pani, żebym zadzwoniła do prokuratora – surowo odpowiada Sophie. – Proszę usiąść.

W chwili gdy Mia wykonuje polecenie, z twarzy pani sędzi natychmiast znika wyraz surowości. Złe oblicze można było dostrzec zaledwie przez chwilę, krótkotrwałą niczym pomyłka.

– Proszę teraz uważnie posłuchać – mówi Sophie. – Co by się stało, gdyby pani zachorowała?

– Zająłby się mną jakiś lekarz.

- A kto poniósłby koszty?
- Ja... ja sama mogłabym za wszystko zapłacić.
- A gdyby pani nie miała takich środków? Czy wspólnota miałaby pozwolić, żeby się pani wykończyła?

Mia milczy.

- Pomyślmy rozumnie - mówi Sophie - w razie konieczności wspólnota jest pani winna opiekę. Wobec tego jednak pani jest winna wspólnocie dbałość pozwalającą takiej konieczności uniknąć. Czy to rozumiałe?

- Poradziłabym sobie z chorobą - oponuje krnąbrnie Mia.

- Pani Holl - woła Sophie - czy pani wie, o czym pani mówi? Czy zna pani ból fizyczny, który mógłby odebrać pani rozum? Czy pani wie, co przeżywali ludzie w dawnych czasach? Życie oznaczało wtedy przyglądanie się swojej powolnej agonii. Każdy krok w świat mógł okazać się krokiem ku zgubie, każde rwanie w klatce piersiowej albo łaskotanie w ramieniu początkiem końca. Lęk przed samoistnym unicestwieniem siebie był nieodłącznym towarzyszem człowieka. Lęk stanowił istotę ludzi. Czyż nie jest wielkim szczęściem, że już przezwyciężyliśmy ten stan?

Mia milczy.

- Pani Holl, zgadza się pani ze mną, widzę to po pani. W pani interesie leży unikanie wszelkich postaci choroby. W tej kwestii pani interesy łączą się z interesami METODY, a na takim porozumieniu opiera się cały nasz system. Istnieje ścisły związek między dobrem osobistym i powszechnym, co w takich sytuacjach nie pozostawia miejsca na sprawy prywatne.

- Przecież wiem o tym - mówi cicho Mia.

- Zatem nie chodzi pani o kwestionowanie zasad METODY ?

- Wysoki Sądzie, jestem przyrodniczką. Nikt nie wie lepiej ode mnie, że wszelkie życie biologiczne ma na celu osiągnięcie dobrego samopoczucia i unikanie bólu. Uprawniony jest jedynie system służący temu celowi. - Mia wyciera ręce o spodnie. - Bardzo panią proszę, aby nie uznawać mojego stanu za pieniactwo. Nie jestem w pełni sobą. Może mówię bełkotliwie. Ale nie jestem przeciwniczką METODY .

Sophie znów robi pojednawczą minę.

- Wcale pani tak nie oceniałam. Jaki jest pani wniosek?

- Chcę, aby zostawiono mnie w spokoju.

- Czy jest pani tego całkiem pewna? - Sophie z westchnieniem otwiera akta i sięga po ołówek. - Mogę odstąpić od doprowadzenia pani do instytucji udzielającej pomocy.

- Byłaby to dla mnie ogromna pomoc.

- Tylko pod jednym warunkiem. - Sophie podnosi wzrok, trzymając ołówek w gotowości. - Od tej pory niczym więcej pani nie zawini.

- Postaram się.

- Nie, pani Holl. Nie tylko się pani postara . To jest oficjalne ostrzeżenie. W najwyższym stopniu zobowiązujące.

Mia unosi najpierw jedną brew, a potem dwa palce do przysięgi.

- Rozumiem - mówi.

Sierść i rogi, część pierwsza

Wyberzmy na kilka minut formę czasu przeszłego. W odróżnieniu od Mii nam myślenie w taki sposób o jej bracie nie przysparza bólu.

- Daję sobie radę - powiedział Moritz.

- Dziwnie pachniesz - powiedziała Mia.

- Pachnę dobrze . Człowiekiem.

- Nie wiem, czy to się spodoba twojej przyszłej najukochańszej.

- Zdradzić ci pewną tajemnicę? Wszystkim dawnym przyszłym najukochańszym nawet się to dość podobało. - Chwycił ją za ramię. - Chodź!

- Moritz! Droga kończy się tutaj .

- Zawsze tak było. Chodź już!

Ponieważ Mia się broniła i zapierała piętami o ziemię, Moritz posłużył się także drugą ręką i zaczął wlec siostrę za sobą, aż wreszcie podążyła za nim sama. Pochyleni, przedzierali się wśród zwieszających się nisko gałęzi w stronę zarośli. Wydeptana ścieżka należała wyłącznie do nich obojga. Nad brzegiem rzeki ukazała się niewielka

polana, ocieniona koronami drzew. Moritz nazywał to miejsce „naszą katedrą”. Chętnie twierdził, że tutaj człowiek się modli. Rozumiał przez to rozmowę, milczenie i wędkowanie. Mia uważała szastanie takimi pojęciami za zbędne. Potrafiła rozmawiać z bratem ot tak, po prostu, i nie musiała robić z tego religii.

Moritz wyciągnął z kieszeni żyłkę i odłamał gałąź z krzaka. A potem już siedział w trawie i zarzucał wędkę, Mia zaś nadal była zajęta rozkładaniem chusteczki do nosa, na której chciała usiąść. Przez chwilę oboje patrzyli na wodę bez przerwy przepływającą obok nich i niczego, ale to niczego niezmieniającą w rzece.

- Claudia? - zapytała Mia.

- Tak miała na imię.

- I co?

- Super. Znała się na *deep throat*. Wiesz, co to jest?

- Nie chcę wiedzieć! - Mia w obronie machnęła ręką. - Ile właściwie jeszcze ich jest w twojej grupie immunologicznej?

- 3,4 miliona. Centralne Pośrednictwo Partnerów to największa burdelmama na świecie. Skorumpowana strażniczka bram rajów.

Trzymając prymitywną wędkę w jednej ręce, Moritz rozpostarł ramiona i cukierkowym damskim głosem ciągnął dalej:

- Proszę podejść bliżej! Główny układ zgodności tkankowej klasy B-11. Wąskie biodra, brązowe włosy, dwadzieścia cztery lata. Zdrowa jak rydz. Najlepszy towar.

- A jak nazywa się następna?

- Kristine. Czarująca.

- Obiecay mi, że podejmiesz poważną próbę.

- Ależ oczywiście. - Moritz uśmiechnął się kwaśno. - Powaga to imię przyjemności. A co tam słyszeć u twoich dziesięcioramiennych mikrobów?

- Mikroby nie mają ramion. - Mia odtrąciła go na bok. - Projekt posuwa się do przodu. Gdybym jednak...

- Uwaga!

Moritz upuścił wędkę, a gdy chwycił ją za ramiona, Mia się przeraziła. Na drugim brzegu rzeki zaszeleściło coś w poszyciu.

- Tam! - wykrzyknął Moritz z udawaną paniką. - Olbrzymia bakteria. Z sierścią i rogami!

- Idiota. - Mia roześmiała się i osuszyła sobie czoło. - To była sarna.

- Mówię przecież.

- Chyba nigdy nie zrozumiem, czego ty chcesz od życia.

- Dobrze, że mi o tym przypominasz. Mam coś nowego. Specjalnie dla ciebie. Uważaj.

W charakterze przepaski Moritz nasunął na czoło maseczkę ochronną dyndającą mu wokół szyi i ponownie wziął do ręki wędkę.

- W snach widzę miasto, w którym chciałbym żyć - zacytował. - Gdzie domy mają fryzury z zardzewiałych anten. Gdzie sowy mieszkają w popękanej wieźbie dachowej. Gdzie z górnych pięter zrujnowanych zakładów przemysłowych przenika głośna muzyka, rzeźby z dymu papierosowego i mocne uderzenia kul bilardowych. Tam gdzie każda latarnia

wygląda tak, jakby oświećlała więzienny spacerniak. Gdzie, żeby odstawić rower, rzuca się go w krzaki, i pije się wino z brudnych kieliszków. Gdzie wszystkie dziewczyny noszą takie same kurtki dżinsowe i chodzą, trzymając się za ręce, jakby ze strachu. Ze strachu przed innymi. Przed miastem. Przed życiem. Chodzę tam bosą po budowach i przyglądam się, jak błoto tryska mi pomiędzy palców.

- Infantylnie i okropne - powiedziała Mia. - Poetę trzeba by zamknąć.

- To się już stało - odparł Moritz. - Osiem miesięcy za podżeganie ludzi.

Wygrzebał papierosa z kieszonki koszuli i wsunął do ust. Ręka Mii natychmiast pośpieszyła, by mu go wytrącić.

- Skąd to wzięłeś?

- Ach, daj spokój. Niby skąd? - powiedział Moritz. - Masz ogień?

Dym

Kiedy Driss była mała, pragnęła, gdy dorośnie, być taka jak Mia. Teraz jest dorosła i siedzi na ostatnim schodku klatki schodowej, w odległości zaledwie dwóch kroków od mieszkania Mii, przed którym – z czysto nostalgicznych powodów – leży wycieraczka. Driss wie, jak usiąść, żeby móc wyglądać przez okno na najwyższym piętrze. Dom stoi na zboczu wzgórza, tak że miasto rozpościera się u jego stóp. Tu, na górze, można cudnie marzyć. Na wypadek gdyby ktoś zabłądził tak daleko, Driss ma obok siebie wiadro i butelkę środka dezynfekcyjnego.

Marzenia Driss są różnobarwne i dwuwymiarowe jak stare filmy. Główną rolę gra w nich przeważnie Mia. Dzisiaj na przykład Driss widzi, że Mia i Kramer po raz pierwszy spotykają się za tymi drzwiami. Najpierw rozmawiają o sprawach, o których Driss niewiele wie, chociaż Pollsche regularnie czyta na głos dziennik NA ZDROWY ROZUM. Kramer opowiada Mii o swoich sukcesach w walce z RAK-iem, organizacją propagującą prawo do choroby. Kiedy Lizzie znajduje w gazecie coś o terrorystach z RAK-u, jej

głos skacze zawsze o pół oktawy do góry. Mia natomiast zachowuje spokój i tylko od czasu do czasu zadaje pytania, po których Kramer widzi, jak dobrze go rozumie.

Później oboje milkną. Tę chwilę Driss powtarza sobie raz po raz w wyobraźni. W formacie pocztówkowym i w zwolnionym tempie ogląda, jak siedzący na sofie Mia i Kramer powoli zwracają się twarzami do siebie. Nie patrzą sobie w oczy, tylko na swoje usta. Kramer obejmuje Mię ramieniem. Gdyby Driss wyciągnęła rękę do przodu, dotknęłaby białych drzwi prowadzących do mieszkania Mii. Czuje, że na szczupłym karku podnoszą się włoski, zamyka oczy i wstrzymuje oddech. Kramer za moment pocałuje Mię, jak to bywa na filmach, na których ludzie nie mają jeszcze pojęcia o zainfekowanej florze jamy ustnej.

Cos drażni nozdrza Driss, otwiera więc oczy i zaczyna węszyć. Dziwnie pachnie. Driss rozgląda się po klatce schodowej, po czym dwukrotnie głęboko wciąga powietrze. Nie ma wątpliwości, że to dym. W ciągu kilku sekund dziewczyna zrywa się na równe nogi i z hałasem zbiega po schodach.

- Pożar! - woła. - Pożar!

Na końcu przedpokoju za białymi drzwiami leży na sofie Mia z idealną kochanką, w ustach trzyma papierosa, a na udzie spaloną zapalnik.

- Tak - mówi Mia i zaciąga się głęboko - tak pachniał Moritz.

- Jakby tu był - odpowiada idealna kochanka i wyciąga dwa palce po papierosa.

To już nie jest rozprawa pojednawcza

W czarnej todze Sophie trochę przypomina zakonnicę bez welonu. Z konieczności przywykła do tego. Kiedy pod siedzenie podkłada sobie kodeks, nie wygląda przynajmniej jak zakonnica zbyt niska na swoje krzesło. Meble w salach sądowych nadal pasują tylko do postawniejszych kolegów. Niekonsekwentnie są wypełniane również dyrektywy ergonomiczne dotyczące ochrony zdrowia w miejscu pracy. W niektóre dni, chociaż zdarza się to rzadko, Sophie nienawidzi swojego zawodu.

Bell jest dzisiaj wymizierowany i nerwowy, jakby pod jego togą kryła się kupa luźnych kości, obrońca natomiast siedzi w cywilu jako jedyny gość na miejscach dla publiczności i wygląda przez okno, jakby to wszystko nic a nic go nie obchodziło. Protokolantka ma nową fryzurę, w której wygląda jak własna babka. Chwyta Mię za ramię i odczytuje chip, znajdujący się, jak u każdego obywatela, w bicepsie. Sophie odkaża jamę ustną sprayem, następnie stwierdza

obecność wszystkich uczestników procesu, po czym otwiera rozprawę słowami:

- Czy pani zamierza zrobić ze mnie idiotkę?
- Nie, Wysoki Sądzie - odpowiada Mia z kamienną twarzą.
- Dwa dni temu coś mi pani obiecała. Czy jeszcze to pani pamięta?

- Tak, Wysoki Sądzie.
- Czy wie pani, dlaczego jest pani tu dzisiaj?
- Nadużycie substancji toksycznych - wykrzykuje prokurator Bell. - Podlegające karze z paragrafu 124 ustawy o ochronie zdrowia.

Sophie opiera się oburącz o pulpit stołu sędziowskiego, pochyla się do przodu i wściekłym wzrokiem patrzy na Mię.

- To już nie jest rozprawa pojednawcza - syczy. - Ani rozmowa wyjaśniająca. Ani też przesłuchanie. Pani Holl, to jest proces karny.

Teraz dłużej niż przez chwilę widać zagniewaną twarz Sophie, niepasującą do jasnego końskiego ogona. Mia milczy.

- O czym rozmawialiśmy przedwczoraj?
Mia milczy.
- Czy uważa mnie pani za kretynkę? Czy wydaje się pani, że może pani sobie ze mną pogrywać? Pani Holl? Proszę odpowiedzieć!

Mia podejmuje próbę. Podnosi wzrok, wypełnia płuca powietrzem i otwiera usta. Już choćby ze względu na tę miłą Sophie chciałaby udzielić właściwej odpowiedzi. Ale jej nie zna, co tak bardzo ją przeraża, jakby w tej sekundzie dotarło

do niej po raz pierwszy, że w jej życiu nastąpiła zasadnicza zmiana. W świecie Mii bowiem istniały do tej pory odpowiedzi na wszystkie pytania, a ściśle mówiąc, jedna właściwa odpowiedź na każde pytanie. Nie było natomiast sytuacji, kiedy zawartość jej mózgu zmieniała się w ciepłą ciecz.

- Moritz - mówi i wydaje się jej, że słyszy własny głos z zupełnie innego kąta sali - tłumaczył mi kiedyś, że palenie papierosa przypomina podróż w czasie. Że przenosi go w przestrzenie, w których czuje się... wolny.

- Wniosek! - woła Bell. - Proszę o włączenie tego zeznania do akt personalnych.

- Odrzucam! - mówi Sophie. - Proszę pozwolić oskarżonej dokończyć wypowiedź.

- Wysoki Sądzie - pyta Bell z tym aroganckim uśmieszkiem, który zawsze miał dla Sophie na podorędziu już podczas dyskusji na ćwiczeniach z prawa - czy my tu stosujemy się do procedury z ustawy o ochronie zdrowia?

- Zdecydowanie - odpowiada Sophie. - Jeśli jeszcze raz przerwie mi pan przesłuchiwanie oskarżonej, ukarzę pana z paragrafu 12 tejże ustawy za obrazę sądu.

Bell zaciska wargi, jakby nagryzł coś gorzkiego, czego z uprzejmości nie ma odwagi wypluć. Sophie masuje sobie kark i kiwa Mii głową, żeby mówiła dalej.

- To jest potrzeba bycia blisko niego - mówi Mia. - Jakby śmierć była jedynie płotem między ludźmi, który można pokonać przy użyciu paru trików. Widzę Moritza, chociaż nie żyje, słyszę go, mogę z nim rozmawiać. Spędzam z nim

więcej czasu niż dawniej. Ciągle o nim myślę, bez niego nie umiem nic zrobić. Papieros smakuje nim. Jego śmiechem, jego chęcią życia. Jego potrzebą wolności. A teraz siedzę tu przed panią. Prawie tak jak wówczas on. – Mia się śmieje. – Oczywiście nie mam nadziei, że aż do tego stopnia zbliżę się do niego.

– Pani Holl – mówi Sophie zdecydowanie spokojniej. – Przerywam rozprawę i ustanawiam dla pani obrońcę z urzędu. Widzę, w jaki sposób pani tu występuje, i dlatego kontynuowanie tej rozprawy byłoby prawdziwym nieporozumieniem. Jednakże ze względu na zlekceważenie moich ostrzeżeń popełnione przez panią wcześniej występki przeciw prawu nadal podlegają wyjaśnieniu. Pański wniosek, panie prokuratorze?

Bell spłoszonym wzrokiem patrzy w swoje akta i najwyraźniej nie może niczego wymyślić na poczekaniu.

– Kara pieniężna w wysokości pięćdziesięciu dniówek – mówi wreszcie.

– Dwudziestu – poprawia Sophie. – Zamykam rozprawę.

Kiedy już oba czarne manekiny wychodzą z sali, Mia zostaje sama na ławie oskarżonych. Za jej plecami, w strefie dla publiczności, podnosi się obrońca, idzie naprzód i czeka, żeby Mia na niego spojrzała.

– Rosentreter – mówi. – Będę pani nowym adwokatem.

Miły chłopak

Bez wątpienia jest to miły chłopak. Trochę przerośnięty, ma nieco za długie włosy, które ciągle odgarnia sobie z czoła. Poza tym jego palce bez przerwy są w ruchu. Badają przedmioty znajdujące się w pobliżu, upewniają się, czy ubranie dobrze na nim leży, na krótkie chwile znikają w kieszeniach spodni i wyłaniają się z powrotem, aby klepnąć rozmówcę po plecach, w rzeczywistości jednak wcale ich nie dotykając. Palce Rosentretera sprawiają wrażenie oddziału pomocniczego profilaktyki medycznej – wciąż w ruchu, aby rozwiązać dany problem. W tej chwili obmacują kant stołu, z którego to powodu Rosentreter stoi zgięty, jakby zbierało mu się na wymioty.

– To dla mnie zaszczyt. I nie mówię tego tylko ot tak sobie.

– Nie wiem – odpowiada Mia – co miałoby być zaszczytne w przypadku takiej klientki.

Patrzy w bok, aby nie gapić się na klamrę u paska Rosentretera. Adwokat robi krok w lewo i dwa w prawo, decyduje się na krzesło i przysuwa je tak, żeby usiąść naprzeciw Mii tkwiącej wciąż na ławie oskarżonych.

- Po pierwsze, pani Holl: wyrazy współczucia. Podziwiam pani postawę. Zapewne ostatnie miesiące były dla pani piekłem.

- Gdyby moja postawa była aż tak godna podziwu, nie siedzielibyśmy teraz tutaj.

- Wszystko ma swoje zalety! - Rosentreter śmieje się, ale milknie po chwili, zdając sobie sprawę, że Mia słusznie nie podziela jego poglądu. - Niech pani tego tutaj - zaczyna od nowa i obejmuje salę szerokim ruchem ręki - nie traktuje zbyt poważnie. To tylko różne tryby postępowania. Procedury. Biurokratyczne czynności, jak za przyciśnięciem guzika uruchamiane przez określone sposoby zachowań. Z panią jako taką nie ma to zbyt wiele wspólnego.

Mia przygląda się Rosentreterowi, jak otwiera aktówkę, aby podsunąć jej do podpisu pełnomocnictwo procesowe. Kiedy przy tym spada mu na podłogę zestaw przyborów do pisania, po twarzy kobiety przemyka lekki uśmiech.

- Widzi pani - mówi adwokat, podnosząc się zaczerwieniony. - Sąd, w którym pracuje ktoś mojego pokroju, nie może być aż taki zły. Nawiasem mówiąc, znałem pani brata.

Mia, która chciała właśnie złożyć podpis, zastyga w bezruchu.

- Czy był pan może funkcjonariuszem armii tych czarnych manekinów?

- Ja przecież jestem obrońcą! - Ręce Rosentretera fruną w powietrze niczym spłoszone ptaki. - Przedstawicielem interesu prywatnego. Jako taki sprawdzam również

comiesięczne sprawozdanie trybunału METODY odnoszące się do tego rejonu sądowego. I co mam powiedzieć?

Przez chwilę patrzy na Mię, jakby rzeczywiście czekał na to, że mu wyjawi, co powinien powiedzieć. Mruga oczami, bo łaskoczą go włosy opadające z czoła.

W zwyczajnych okolicznościach, jako że należy do gatunku rzekomo miłych głupców, którzy bezgranicznie Mię denerwują, wzbudzałyby w niej uczucie nienawiści. Ludzie pokroju Rosentretera noszą w portfelach zdjęcia dzieci i pokazują je różnym osobom stojącym w supermarketach w kolejce do kasy. Spóźniają się na umówione spotkania, bo po drodze pomogli zabłąkanemu przechodniowi, żeby ten w porę dotarł na umówione spotkanie. Na pytanie o sens życia odpowiadają pytaniem, czy „sens” nie jest czasem starą walutą chińską. Uważają, że to bardzo zabawne. Mia lubi właściwie tylko ludzi obdarzonych rozumem oraz wolą jego jak najskuteczniejszego wykorzystywania. Dzieli ludzkość na dwie grupy: profesjonalistów i nieprofesjonalistów. Rosentreter najwyraźniej należy do tej drugiej kategorii. Ani płacz, ani krzyk, ani też nocne koszmary senne nie mogłyby jednak powiedzieć tyle o stanie psychicznym Mii co fakt, że obecność Rosentretera jest jej mimo wszystko miła. Z każdym oddechem Mia czuje coraz większe odprężenie.

- Nie znałem Moritza osobiście - mówi w końcu Rosentreter. - Jedynie w jego istnieniu wirtualnym. Rozumie pani?

- Ani słowa. Nie jestem z pańskiej branży. Proszę wyrażać się jasno.

- Oczywiście, tak właśnie. To bardzo proste. Pani brat widniał na czarnej liście.

- Co to znaczy?

- Tu i tu. - Rosentreter stuka w pełnomocnictwo procesowe, które Mia wreszcie podpisuje. - Służba Bezpieczeństwa METODY kazała go obserwować.

- To jakiś absurd. Z pewnością pan się myli. Moritz miałby być wrogiem METODY? To tak... - Mia się śmieje. - To tak jakby sarnę w lesie chciał pan uznać za olbrzymią bakterię z sierścią i rogami.

- Słucham?

- Nieważne. Może Moritz był dziecinny. Z pewnością był wolnomyślicielem. Ale nigdy nie przystałby do żadnej grupy. A już na pewno nie do jakiejś brudnej bojówki ruchu oporu.

- Brudnej, tak właśnie - mówi uspokajająco Rosentreter. - Dlaczego my o tym rozmawiamy? W ogóle nie powinniśmy o tym rozmawiać. Jeszcze tylko parę słów, ponieważ do moich obowiązków należy pełne uświadomienie pani. Nasz system prawny jest w niektórych punktach nieco przeczulony. Jeśli w jakiejś sprawie wykryje się element wrogi METODZIE, dochodzenie zaczyna biec zupełnie innym torem. - Nagle Rosentreter nie wygląda już jak zbyt wyrośnięty chłopak, lecz jak dorosły zatroskany mężczyzna. - Czy nadąża pani za tokiem mojego rozumowania? To dlatego pani sędzia przerwała rozprawę.

- Niech się pan nie ośmiesza.

- Spróbuję - mówi Rosentreter i znów robi minę chłopaczka.

- Niech więc pan spróbuje przede wszystkim zachowywać się jak normalny adwokat. Jaką strategię obrony pan proponuje?

- Na początek zaskarżymy wyrok dwudziestu dniówek.

- Po co? Mogę sobie pozwolić na taką karę pieniężną. Ta kwota nie jest zapewne znacznie wyższa od pańskiego honorarium. To już lepiej od razu dam te pieniądze sądowi. Dopuszczałam się zachowań niezgodnych z prawem. No to zapłacę i na tym koniec.

- Taka postawa przynosi pani zaszczyt. Ale tok spraw jest zupełnie inny. Prawo to gra, w której udział biorą wszyscy. Ja jestem pani obrońcą i jako taki będę pani bronił.

- Panie Rosentreter, przed kim lub przed czym?

- Przed oskarżeniami prokuratury i roszczeniem sądu, który chce pociągnąć panią do odpowiedzialności za szczególnie trudną sytuację życiową.

- To już wolę się bronić sama.

- A jak, jeśli wolno spytać?

- Biernością i milczeniem.

- Chyba pani postradała rozum i nie pojmuje w ogóle, z kim pani ma tu do czynienia. Zarzucą pani występowanie przeciw METODZIE .

Mia kręci przecząco głową i kieruje palec wskazujący na podbródek Rosentretera.

- Mówi pan jak szesnastolatek. METODA to my sami. Pan, ja, wszyscy. METODA to rozum. Zdrowy rozum. Ja nie zwracam się przeciw METODZIE . Powiedziałam to pani sędzi, a teraz mówię to panu. Po raz ostatni: chcę, aby

zostawiono mnie w spokoju. To wszystko. Stanę z powrotem na nogi.

- Kiedy? Do jutra rana?

- Może niezupełnie.

- Wobec tego potrzebuje pani mnie.

- Nie ma pan innych klientów?

- Pod dostatkiem.

- Czego pan w takim razie chce ode mnie?

- Chcę pani pomóc. Należę do tych, którzy poważnie traktują swoją pracę. Pani Holl, to, co się pani przydarzyło, wystarczy, by bez trudu udowodnić, że to sprawa wyjątkowa. Potwierdzi to każdy początkujący student prawa. Ale ustalmy jedno. - Pochyliła się do przodu i poklepuje powietrze nad plecami Mii. - Pani nie ponosi żadnej winy. Nawet z powodu tego głupiego papierosa. Nie pozwolę, żeby z takiej przyczyny dalej tu panią obijano.

Ponieważ Rosentreter ma piekielnie dużo racji albo Mia pragnie, żeby miał tę piekielną rację, nagle ma ochotę się rozplakać.

- Dziękuję - mówi i chrząka. - Na skutek uderzenia trafia się gwóźdź w łebek. Czyli że w tej kwestii jesteśmy zgodni. Nie chcę stresu. Potrzebuję czasu do namysłu, nic więcej.

- Otóż to, otóż to - rozpromienia się Rosentreter. - Od tego ma pani mnie. Twardego faceta od brudnej roboty. - I dodaje, ponieważ Mia się nie śmieje: - To miał być żart. Proszę podpisać jeszcze raz. Tu i tu. Formularz zaskarżenia wyroku.

Strażniczki

Mia! – woła Driss.

– Pani Holl – mówi Pollsche – chciałybyśmy chwilę...

– Niech się pani wreszcie przynajmniej zatrzyma! – woła wściekła Lizzie.

Mia chce jak najszybciej znaleźć się w swoim mieszkaniu. W obu rękach niesie torby z zakupami. Przebyła już barierę złożoną z wiader do sprzątania i zamierza wejść na schody, gdy Lizzie nagle chwyta ją za ramię.

– Stąd nie można tak po prostu uciec!

– Mia – mówi Driss – bardzo mi przykro. Nie chciałam tego. Ale myślałam, że się pali!

– Żeby pani sobie nie pomyślała, że my donosimy – dodaje Pollsche.

– Chcemy tylko pomóc – mówi Lizzie. – A więc, pani Holl, jeżeli mogłybyśmy jakoś pomóc...

Mia robi wyrok i usiłuje przejść obok sąsiadek.

– Dziękuję. To bardzo miłe. Ale nie ma takiej potrzeby.

– Owszem – mówi Pollsche.

- Pani Holl, jest taka potrzeba - mówi Lizzie. - W takim porządnym domu jak ten, ludzie troszczą się o siebie nawzajem. Zwłaszcza gdy jednemu członkowi wspólnoty źle się wiedzie.

- Mia - mówi Driss - to wszystko jest jakieś nieporozumienie.

Driss najchętniej wniosłaby zakupy do mieszkania Mii. Z ochotą podałaby jej filiżankę gorącej wody i wszystko by wyjaśniła. Że jest największą admiratorką Mii Holl i Heinricha Kramera. Że tylko chciała uratować Mię od pożaru w jej mieszkaniu. Z rozpaczy oczy Driss lśnią jak lustro.

- Obawiam się - mówi Mia do Driss - że to nie jest nieporozumienie. - A do pozostałych: - Drogie panie, bardzo dziękuję, ale teraz chciałabym pójść do swojego mieszkania.

- Pani mieszkanie również należy do tego domu.

- Do „domu pod opieką”.

- Który ma pozostać „domem pod opieką”.

- Jeśli dobrze się rozumiemy.

Lizzie chwyta Mię jeszcze raz, gdy ta próbuje oswobodzić ramię. Mia zgarnia torby do siebie i barkiem popycha Lizzie. Pchnięcie jest trochę zbyt gwałtowne. Lizzie stoi na dwóch stopniach schodów, dookoła niej wiadra, upada więc z hukiem, a woda spływa niewielkimi wodospadami po schodach, podczas gdy Mia ucieka na górę.

Jeszcze to odpokutujesz, odpokutujesz to, huczy w głowie Mii, chociaż nikt nie powiedział do niej niczego takiego.

W centrum dowodzenia

Mia nigdy nie szanowała ani nie kochała swojego ciała. Ciało to maszyna, aparat do poruszania się, komunikacji i przyjmowania pożywienia, aparat, którego zadanie polega przede wszystkim na bezawaryjnym działaniu. Sama Mia znajduje się na szczycie w centrum dowodzenia, wygląda na zewnątrz przez okna oczu i otworami usznymi wsłuchuje się w otoczenie. Dzień w dzień wydaje rozkazy, które ciało musi bezwarunkowo wykonywać. Na przykład rozkaz uprawiania sportu.

W minionych tygodniach na hometrainerze nazbierało się sześćset kilometrów zaległości. Mia naciska pedał i myśli o – czym? Dla uproszczenia założmy, że o Moritzu. Prawdopodobieństwo, że mamy rację, jest bardzo duże. Samej Mii wydaje się, że jeszcze nigdy nie myślała o nim tyle, ile teraz, po jego śmierci. Zadaje sobie pytanie, czy to normalne. Albo może za wszelką cenę stara się raczej mocą umysłu utrzymać zmarłego brata przy życiu. Może nawet nie usiłuje utrzymać przy życiu jego, tylko całą resztę świata, o którym tymczasem myśli, że może on istnieć nadal

wyłącznie dopóty, dopóki Moritz oddycha w nim, je, mówi i się śmieje.

Mia zrozumiała jedno: centrum dowodzenia może wydawać rozkazy ciału, ale nie sobie samemu. Umysł nie może umysłowi zabronić myślenia. Od chwili spotkania z Rosentreterem jest mimo to przekonana, że ma szansę. Jeśli taki duży niemowlak jak jej nowy obrońca daje sobie radę z życiem, to ona tym bardziej powinna umieć to zrobić. Coraz szybciej naciska pedały. Ma już za sobą dwudziesty wirtualny kilometr. Musi się tylko nauczyć myśleć o Moritzu, podczas gdy pora się ze swoją codziennością. A nie zamiast tego .

- Siedem jednostek białka. - Idealna kochanka leży na sofie i szpera w torbach na zakupy. - Dziesięć jednostek węglowodanów. Trzy jednostki owoców i jarzyn. Doskonale. Wobec tego jesteśmy pewnie na drodze do poprawy?

- Jak już się z tym uporam - sapie Mia - posprzątam wszystko i wyczyszczę. Zobaczysz. Za parę dni wrócę do pracy.

- Dobre chęci - mówi idealna kochanka - to osobliwe zjawisko. Swoim istnieniem dowodzą własnej nieważności.

- Przydałaby się raczej odrobina optymizmu. Prawo to gra, w której graczem musi być każdy. Coś takiego mógłby powiedzieć Moritz, nie uważasz?

- Nie, Moritzowi zawsze chodziło o to, żeby być panem własnej gry.

- To bardzo prawdopodobne. - Mia ociera przedramieniem pot z czoła. - Ale chyba musi zadowolić się tym, że potomni

będą go interpretować na nowo. Oto cena nieuczestniczenia w tej grze.

- Powinnyśmy zmienić metaforę – mówi idealna kochanka, która zachowuje się tak, jakby odczytywała napis na tubce protein: – „Pomyłka pokrywa dzienne zapotrzebowanie osoby dorosłej na samozłudę”. – Spogląda na Mię. – Prawda brzmi: To nie jest gra.

- Co masz na myśli?

- Chyba nie wierzysz serio w to, że ten Rosentreter i trochę sportu zakłajstrują szczelinę w twoim wnętrzu? Mia, ta szczelina jest głębiej. To nawet nie twój osobisty problem. Powstała ona w dniu, kiedy w tym kraju wymyślono, że już nie może on sobie pozwolić na luksus indywidualnych historii choroby. To, co zatruwa cię od wewnątrz, to zgnilizna w samym środku systemu.

- Szanuję to, że reprezentujesz Moritza i strzeżesz pamięci o nim – mówi Mia. – Taki masz zawód. Ale nie opowiadaj mi niczego o moim wnętrzu. Nawet Moritz go nie rozumiał. Uważał mnie za osobę słabą i konformistkę.

- A kim jesteś w rzeczywistości?

- Osobą zbyt mądrą na narcyzm oporu.

- Ponieważ to, co ludzkie, jest mroczną przestrzenią, w której wy, śmiertelnicy, pełzacie w koło niczym dzieci, których trzeba pilnować, żeby bez przerwy nie obijały się o siebie głowami?

- Mniej więcej. Skąd to wzięłaś? Wydaje mi się jakieś znajome.

- Od twojego nowego przyjaciela. Heinricha Kramera.

- Może mylimy się co do niego - mówi Mia. - To postać medialna. Może za tym kryje się zupełnie inna osoba.

- Wyskakujesz mi teraz z pozorem i bytem? Chcesz mi opowiedzieć, że za pozornym Kramerem, który skazał niewinnego, kryje się prawdziwy Kramer, który myślał zupełnie inaczej? Albo taki, który nie miał na myśli tego wszystkiego?

- Co z tobą? - Mia przestaje gwałtownie naciskać pedały. - Nie zamierzam się kłócić.

- To, co stało się z Moritzem, może być wyłącznie słuszne albo błędne - mówi surowo idealna kochanka. - Nie istnieje żadne Pomiedzy. Mia, dziecinko, będziesz się musiała zdecydować. Chodź tutaj.

- Jeszcze nie skończyłam.

- Podejdź do mnie!

Mia z wahaniem schodzi z hometrainera i zbliża się do sofy. Jednym ruchem ręki idealna kochanka zsuwa zakupy na podłogę i włącza telewizor.

RAK – prawo do choroby

Trzeba umieć się tym delektować: RAK symbolizuje prawo do choroby. Postulat, który w najbardziej radykalny sposób świadczy o sprzeczności ze zdrowym rozumem.

Moderator jest o połowę młodszy od Kramera, tylko w połowie tak sławny, i nazywa się Larwer. Wszystko to po nim widać. Siedząc obok Kramera, sprawia wrażenie zdenerwowanego szefa gazetki szkolnej. Całą swoją karierę poświęcił zadaniu pójścia w ślady swojego dzisiejszego gościa. Od niedawna moderuje własny wieczorny talk-show: CO MYŚLĄ WSZYSCY. Zaprosił Kramera, a ten się zgodził. Jest to największy dzień w dotychczasowym życiu Larwera.

- Ekspert od wrogów METODY – ciągnie Larwer – zapewne cierpi wskutek poczucia, że walczy z grupą osób chorych umysłowo. Czy samemu nie można od tego zwariować?

- Ani trochę. - Lewa ręka Kramera zwiesza się luźno przez oparcie fotela. W prawej dziennikarz obraca szklanę z wodą i od czasu do czasu zagląda do niej, jakby z tej krystalicznie przejrzystej cieczy potrafił odczytać przyszłość. - Członkowie

RAK – u nie są chorzy umysłowo. Nie są nawet outsiderami, nieudacznikami ani ludźmi o ograniczonych prawach. Mamy tu do czynienia z normalnymi, niezwykle inteligentnymi osobami. RAK nie jest formą zorganizowanej przestępczości, lecz siatką. Wrogowie METODY pozostają w luźnych relacjach, co sprawia, że zagrożenie jest jeszcze większe. Przypadkowość i chaos w tej strukturze zapewniają całemu ruchowi nieomal swego rodzaju nietykalność.

– To niesamowite – mówi Larwer. – Jak w rozumnym społeczeństwie mogą szerzyć się tego rodzaju irracjonalne prądy? To tak piekielnie pobrzmiewa dwudziestym wiekiem. Panie Kramer, proszę nam powiedzieć, jacy to są ludzie?

– Jeśli chodzi o dwudziesty wiek, wcale się pan aż tak bardzo nie myli.

Kramer upija łyk wody i kiwa głową do ładnej asystentki, która natychmiast śpieszy ponownie napełnić jego szklankę.

– Wyłącz to – mówi Mia. – Nie wiem, co myśleć o tej histerii związanej z RAK – iem.

– To nie histeria – mówi idealna kochanka. – Tu chodzi o twojego nowego przyjaciela.

– Wrogów METODY – ciągnie Kramer dalej – charakteryzuje reakcyjna wiara w wolność, istotnie mająca korzenie w dwudziestym wieku. Wszystkie idee RAK – u biorą się z błędnej interpretacji oświecenia.

– Ale przecież METODA sama siebie pojmuje jako logiczne następstwo tego prądu!

– I to właśnie sprawia, że cały problem jest tak bardzo skomplikowany. Proszę sobie wyobrazić, że niemało

obecnych wrogów METODY było pierwotnie jej zdeklarowanymi zwolennikami.

- Wywodzą się więc z samego środka naszego społeczeństwa?

- Oczywiście. - Kramer kieruje wzrok do kamery. Wydaje się, że zatrzymuje go bezpośrednio na twarzy Mii. - To są ludzie tacy sami jak ty i ja. Również oni zrozumieli, że wolność nie jest synonimem braku odpowiedzialności. Ale błąd RAK - u polega na tym, że chorego na nowotwór pacjenta, który dzień w dzień przygląda się swojej agonii, nazywa wolnym. Człowieka, który na koniec nie jest w stanie opuścić łóżka.

- To czysty cynizm - mówi Larwer, podnosząc ręce w geście obrony.

- Cynikami są wrogowie METODY. Tyle że, i ten szczegół jest dla mnie ważny, nie przez złośliwość, lecz z niewiedzy. Prawo do zdrowia zagwarantowane konstytucją METODY jest jednym z największych osiągnięć ludzkości. Oznacza to jednak również, że na przykład kobieta urodzona przed trzydziestoma czterema laty nie posiada wspomnień dotyczących własnych cierpień fizycznych. Obecnie nie potrafi sobie ona wyobrazić, co oznaczają statystyki z roku 2010. Choroba jest dla niej zjawiskiem historycznym.

- Ja urodziłam się przed trzydziestoma czterema laty - mówi Mia.

- Co za przypadek - ironizuje idealna kochanka.

- Rozumiem, do czego pan zmierza - oznajmia moderator, zaczyna kiwać głową i wcale nie ma ochoty przestać. -

A zatem właśnie doskonałe funkcjonowanie METODY prowadzi do tego, że ludzie zapominają o jej sensie.

- Wyobraźmy sobie, że taka trzydziestoczteroletnia kobieta znajduje się w trudnej dla siebie sytuacji emocjonalnej. Jej osobiste potrzeby wydają się naraz sprzeczne z postulatami METODY. Każdy z nas jest egoistą, toteż kolizję, w jaką nasze pragnienia wchodzą od czasu do czasu z Umową Powszechną, można uznać za codzienne zjawisko. Ale akurat człowiek inteligentny nie lubi przyznawać się do tego, że znalazł się w absolutnie banalnej sytuacji konfliktowej, którą można by rozwiązać jedynie dzięki równie banalnemu uporaniu się z chwilową konsternacją. Zamiast tego czyni ze swego położenia problem zasadniczy. Zamiast zwątpić w siebie, zaczyna wątpić w system.

- Coś w tym rodzaju zawsze zarzucałam Moritzowi - mówi udręczona Mia.

- I właśnie dlatego teraz to oglądasz. - Idealna kochanka oburącz obejmuje pilota. - Już najwyższy czas, żebyś opowiedziała się po którejś ze stron.

- Co chcesz ode mnie usłyszeć? Że Kramer jest demagogiem? Bardzo proszę! Jest! Problemem nie jest Kramer. Problemem jest to, że Kramer ma dokładnie tyle samo słuszności i niesłuszności co jego przeciwnicy!

- Pst! - szepcze idealna kochanka.

- I ta przykładowa sceptyczka - pyta Larwer - trafia na fałszywy tor?

- Ona wpada w błędne koło. Każdy jej wewnętrzny czy zewnętrzny ruch, skierowany przeciw METODZIE, wyzwala

reakcję, która zdaje się przyznawać rację sceptykom. Takie jest ludzkie życie: jedno pstryknięcie palcami, a człowiek ląduje poza normalnością. Istnieją wszakże obszerne studia poświęcone zależności między dobrem ogółu a dobrem jednostki...

- Między innymi pańskiego autorstwa - przerywa moderator i podnosi do kamery książkę: Heinrich Kramer, *Zdrowie jako zasada legitymizacji państwa*, Berlin-München-Stuttgart, wydanie XXV. Widząc niecierpliwe skinienie gościa, odkłada książkę na bok. Nakład jest wystarczająco wysoki, aby autor mógł sobie pozwolić na skromność.

- METODA - ciągnie Kramer - definiuje zgodność dobra ogółu z dobrem jednostki jako „normę”. Kto w tym rozumieniu nie traktuje siebie jako człowieka normalnego, nie będzie nim również w oczach społeczeństwa. Poza normalnością panuje samotność. Nasza świeżo upieczona antynormalistka czuje potrzebę zawierania nowych sojuszy. Znajdzie je wśród wrogów METODY.

- To zdumiewające, że tak niezwykle skomplikowaną materię potrafi pan przedstawić jako zupełnie proste zjawisko. - Zachwyt dla Kramera nieomal zrzuca Larwera z krzesła. - Proszę powiedzieć nam jeszcze jedno. Czy oddalając się coraz bardziej od historycznych źródeł, musimy liczyć się z szybkim wzrostem liczby wrogów METODY?

- W rzeczy samej. Liczymy się z tym i jesteśmy na to przygotowani. Niedocenianie stopnia zagrożenia byłoby czystą głupotą. Nie wolno nam zapominać, jakie okoliczności dostarczyły bodźca do rozwoju METODY.

Kramer wskazuje kciukiem za siebie, gdzie prawdopodobnie spodziewa się istnienia przeszłości. Kiwa przy tym znacząco głową, chce bowiem przypomnieć kilka nieprzyjemnych faktów.

- Po wielkich wojnach dwudziestego wieku pewien etap oświeceniowy doprowadził do istotnego odideologizowania społeczeństwa. Takie pojęcia jak naród, religia i rodzina gwałtownie straciły na znaczeniu. Zaczęła się epoka destrukcji. Ku zaskoczeniu wszystkich uczestniczących w tym procederze, ludzie na przełomie tysiącleci wcale nie czuli, że znajdują się na wyższym poziomie cywilizacyjnym, tylko byli rozproszeni i pozbawieni orientacji, czyli: bliscy stanu naturalnego. Bez przerwy mówiono o rozpadzie wartości. Utracono wszelkie poczucie pewności siebie i zaczęto znowu lękać się siebie wzajemnie. Strach zaczął rządzić życiem jednostek, strach rządził też wielką polityką. Nie zauważono, że po każdym akcie destrukcji musi nastąpić akt ponownego stworzenia. Jakie były konkretne tego skutki?

Zmniejszenie się liczby urodzin, wzrost zachorowań na choroby uwarunkowane stresem, stany oszalałej agresji, terroryzm. Na dodatek nadmierne akcentowanie jednostkowych egoizmów, zanik lojalności i wreszcie załamanie się systemów zabezpieczeń społecznych. Chaos. Choroby. Rosnące poczucie niepewności.

Cień takich wspomnień przemyka również po twarzy Kramera, chociaż zna on tę epokę jedynie z opowiadań rodziców.

- METODA zajęła się tymi problemami i je rozwiązała - ciągnie dalej. - Wynika z tego logicznie, że kto zwalcza METODĘ, jest reakcjonistą. Chce powrotu do stanu społecznego rozkładu. Nie zwraca się abstrakcyjnie przeciw danej idei, lecz całkiem konkretnie przeciw dobremu samopoczuciu i bezpieczeństwu każdego z nas. Wrogowie METODY planują atak, ale to my wydamy im wojnę.

Podczas gdy publiczność w studiu entuzjastycznie oklaskuje Kramera, a obaj panowie wstają z foteli, Mii udaje się w końcu zapanować nad pilotem i wyłączyć telewizor.

- No i co - pyta idealna kochanka - zrozumiałaś to?
- Co?
- Twój nowy przyjaciel ma na myśli ciebie.

Koniec ryby

Nieraz się spierali, ale tamtego dnia, który Mia, oglądając się wstecz, utożsamia z początkiem złowieszczonego okresu w swoim życiu, był to spór poważny. Jak co tydzień wybrali się na spacer, aby jak co tydzień odprawić rytuał na granicy obszaru zamkniętego. Moritz zatrzymał się na końcu drogi przed tablicą ostrzegawczą, rozpostarł ramiona i przeczytał tekst:

- „Tutaj zgodnie z paragrafem 17 ustawy dezynfekcyjnej kończy się obszar kontrolowany. Zgodnie z paragrafem 18 tejże ustawy opuszczenie terenu higienicznego podlega karze jako naruszenie porządku drugiego stopnia”. - A potem dodał: - Nieopuszczenie terenu higienicznego będzie jednak jako idiotyzm pierwszego stopnia karane zewnętrznym skamienieniem i totalnym ogłupieniem wewnętrznym. Mia Holl, naprzód.

Mia usiłowała uciec, ale Moritz schwycił trzepoczącą się gwałtownie siostrę i podniósł wysoko. Trzymając ją na rękach, wbiegł na obszar, który nazywał wolnością, czyli do niehigienicznego lasu.

Chociaż bardzo niechętnie wypełniał obowiązek uprawiania sportu, nie miał nic przeciw wysiłkowi fizycznemu. Nie lubił tylko momentów, kiedy chip w jego ramieniu komunikował się z sensorami usytuowanymi na skraju drogi. Chodząc po lesie, Moritz mógł zrezygnować z bonusu za kilometry wykonanego ruchu. Chciał wędkować, rozpalać ogniska i spożywać to, co sam złowi, uważał bowiem, że pełne łusek, nadwęglone i źle wypatroszone ryby smakują lepiej niż wszystkie konserwy białkowe z supermarketu. Mia za każdym razem oferowała mu w charakterze dodatku kilka zerwanych pokrzyw i przyglądała się, jak brat wsuwa te swoje niejadalne ryby. W skrytości ducha myślała, że Moritz ma chyba nie po kolei w głowie, ale jest urzekający.

Również tamtego dnia, prowokacyjnie żując żdźbło trawy i pozwalając, aby rzeka omywała mu bosc stopy bardzo chyba zainfekowaną wodą, zanurzył w niej wędkę własnej roboty. Było ciepło, tak że Mia nie mogła się oprzeć, aby mocno odchylić głowę i pozwolić słońcu, na przekór ryzyku raka skóry, świecić jej prosto w twarz. Światło szczególnie pięknie zdobiło „katedrę”. Kiedy Moritz zaczął opowiadać o randce w ciemno z Kristine i jej umiejętnościach w tak zwanym *doggy style*, Mia zatkała uszy. Gdy wreszcie zamilkł, zaczęła krótki wykład poświęcony sensowi istnienia i celom Centralnego Pośrednictwa Partnerów. Na koniec nazwała brata żądnym uciech egoistą i stwierdziła, że człowiek jego pokroju nie potrafi naprawdę pokochać kobiety.

Możliwe, że jej ton wykroczył poza zwykłe przekomarzanki

o bojga. W trakcie opowieści Moritza o randkach w ciemno Mia czuła niekiedy ukłucia zazdrości. W jej głosie dało się mimo woli słyszeć znacznie więcej zarzutów, chociaż nie na tyle dużo, żeby usprawiedliwić ówczesną reakcję Moritza. Wściekł się, mimo iż w lesie rozlegał się miły świergot i wszystko było dobrze, przynajmniej tak dobrze jak zawsze, kiedy mogli być tylko we dwoje.

- Rzygać mi się chce przez ciebie - powiedział Moritz. - Że akurat ty wątpisz w moją zdolność do miłości. A przecież to ja jestem człowiekiem, a nie ty.

Mówił jeszcze natarczywiej niż zwykle. Jego oczy lśniły, głos zaś przypominał głos deklamującego poety.

- W przeciwieństwie do zwierzęcia ja umiem wznieść się ponad konieczności natury. Mogę uprawiać seks, nie biorąc pod uwagę prokreacji. Mogę konsumować substancje, które na chwilę wyzwalają mnie od niewolniczego przywiązania do ciała. Mogę zignorować instynkt przetrwania i sprowadzić na siebie niebezpieczeństwo wyłącznie ze względu na urok wyzwania. Prawdziwemu człowiekowi nie wystarcza istnienie, jeśli oznacza ono zwykłe bycie tu i teraz. Człowiek musi swojego istnienia doświadczyć. W bólu. W odurzeniu. W porażce. We wzlocie. W poczuciu absolutnej pełni władzy nad swoją egzystencją. Nad własnym życiem i śmiercią. To, ty moja biedna, zasuszona Miu, jest miłość.

Oczywiście wcześniej prowadzili tę dyskusję już setki razy. Ale prawda leży na wierzchu, podczas gdy sedno rzeczy pozostaje puste. Albo, żeby sformułować to inaczej: chodzi o opakowanie. Moritz poruszał się poza starannie wyważoną

drwiną, którą trenowali od dzieciństwa. Ranił, Mia jednak nie miała ochoty się poddawać.

- A ty, mój biedny, zbłąkany Moritzu Holl, jesteś wyłącznie obłudnikiem. Twoja sławetna pełnia władzy kończy się właśnie tam, gdzie ciało odmawia ci służebności. Doświadczasz swojej rzekomej wolności na solidnym fundamencie bezpieczeństwa i wygłaszasz bojowe przemówienia, podczas gdy inni płacą twoje rachunki. To się nie nazywa wolność, tylko tchórzostwo.

- Fundament bezpieczeństwa! - roześmiał się Moritz. - Czy naprawdę to powiedziałaś? Myślałem, że nawet tobie wstrętne jest owo kołtuńskie hasło. Czy wiesz, kiedy nasz świat będzie wreszcie bezpieczny? Kiedy wszyscy ludzie znajdą się w probówkach, zanurzeni w płynnych pożywkach i bez możliwości dotykania się nawzajem! Co ma być celem takiego bezpieczeństwa? Wegetowanie z dnia na dzień pod znakiem fałszywie pojmowanej normalności? Dopiero gdy jakaś idea wyrośnie ponad ideę bezpieczeństwa, dopiero tam, gdzie umysł zapomni o swoich fizycznych uwarunkowaniach i skieruje się na to, co ponadindywidualne, zaistnieje jedyny stan godny człowieka, a więc w głębszym znaczeniu jedyny stan normalny! Twoim przekleństwem, Mia, jest to, że jesteś doprawdy wystarczająco mądra, aby zrozumieć, o czym mówię.

- Mylisz się. - Mia wygrzebywała kamienie z ziemi i wrzucała je do wody. Moritz denerwował ją już jako dziecko, gdy udawał, że wie coś lepiej od niej. - Przede wszystkim jestem wystarczająco mądra, aby zrozumieć, że

mówisz bzdury. O jakiej fantastycznej wyższej idei opowiadasz? A co z Bogiem? Narodem? Równością? Prawami człowieka? Czy jakąś inną głupotą, od której włosy stają dęba na głowie, a która składa się ze ścierwa swoich poprzedniczek?

- Wiesz co? - Moritz wysunął podbródek, dzięki czemu z pozycji siedzącej udało mu się spojrzeć w dół na siostrę. - Ty nie życzysz ludziom bezpieczeństwa, dlatego że ich kochasz, tylko dlatego że nimi gardzisz.

- Możliwe - powiedziała Mia. - Ale ty mówisz o wolności i o sprawach wyższych, bo sam siebie nienawidzisz. Bo nie możesz znieść, że żyjesz w świecie pozbawionym osłony płaszczyka mitów. Chcąc ukryć tę nienawiść przed sobą, kierujesz ją przeciw systemowi. Nienawidzisz siebie do tego stopnia, że nawet myśl o odebraniu sobie życia sprawia ci radość.

- To nie ma nic wspólnego ani z radością, ani z nienawiścią - zawołał wzburzony Moritz. - Tak, mogę się zabić. Bo tylko wtedy, gdy będę umiał się zdecydować również na śmierć, wybór na korzyść życia będzie miał wartość!

- Aby móc myśleć swobodnie, człowiek musi odwrócić się od śmierci. Musi mieć zobowiązania wobec życia.

- Aby być wolnym, nie wolno pojmować śmierci jako przeciwieństwa życia. Czy koniec wędki jest jej przeciwieństwem?

- Nie, ale koniec ryby - spróbowała zażartować Mia.

Moritz jednak się nie roześmiał, nie popatrzył na nią ani nie wyciągnął ku niej ręki.

- Brakuje ci - odrzekł - doświadczenia własnej śmiertelności.

- Daj spokój. - Mia wykrzywiła twarz w grymasie. - Miałeś pięć lat. Czy taka tragiczna, chociaż w końcu dość zwyczajna historia namaściła cię na istotę wyższą?

- Miałem sześć lat - powiedział Moritz - a mimo to zostałem zmuszony, by sprostac faktowi, że człowiek ma tylko jedno życie, i to krótkie.

- Co ciekawe, uratowały cię właśnie takie kołtuńskie typy, z jakich dzisiaj szydzisz. Bez metody nie znalazłbyś dawcy. Co byś więc powiedział na odrobinę wdzięczności?

- Dziękuję nie kołtunom, ale naturze - odparł hardo Moritz.
- I to za doświadczenie, które uchroniło mnie od stania się tak ograniczoną osobą jak ty. Ja mam doznania. prawdziwe doznania.

Mia spojrzała na niego badawczo. Potem dotknęła jego ramienia.

- Co się z tobą dzieje? Jesteś dzisiaj taki inny. Jakiś taki...

- Poważny?

- Jak na siebie nawet za poważny.

- Ćwiczę - powiedział zwyczajnie Moritz.

- Żeby uzyskać nowe Ja?

- Nie, dla Sybille.

- Mówisz zagadkowo.

- Słucham twoich rad.

Nagle odwrócił twarz w stronę Mii i spojrzał na nią w taki sposób, że cały ten spór stał się nieważny. Pozostało przejrzyste niebo, zapach ciepłej ziemi i rzeka, na której

powierzchni połyskiwało mnóstwo świetlnych pieniędzy.

- To jest mój sposób na uporanie się ze stanem zakochania - powiedział Moritz. - Można by też kupić plastikowe róże, sprawdzone przez państwo perfumy albo pralinki pozbawione czekolady. Tyle że to by się jej nie spodobało. Wezmę na randkę bukiet haseł, zapach wolności i słodczy rewolucji.

- Robisz ze mnie idiotkę.

- Wyjątkowo nie. To wszystko, co opowiedziałem tobie, opowiem dziś wieczorem również jej. Ona jednak, patrząc na mnie, nie zmarszczy się tak jak ty i nie będzie gadać w tak kołtuński sposób. Sybille będzie mi się przyglądała wielkimi jedwabistymi oczami i zrozumie każde słowo. W ciągu trzech dni wymieniliśmy ze sobą zdania, za które można by nas zamknąć w więzieniu na pełne trzy lata. Grunt, żeby we wspólnej celi. To jest ona, Mia! Czuję to.

- Żadnego *deep throat*? Żadnego *doggy style*?

- Może też - roześmiał się Moritz. - Hej, popatrz!

Kiedy szarpnęło wędkę, chwycił ją oburącz i wyciągnął z wody rybę, która na końcu żyłki gwałtownie walczyła o życie.

- Na pewno ją polubisz. - Moritz przechylił się w bok i przelotnie pocałował Mię w czoło. Potem chwycił gałąź z ziemi i uderzył nią rybę w głowę. - Jeżeli Sybille naprawdę myśli tak, jak pisze, to jest równie zwariowana jak ja. W przyszłości będziesz miała dwa razy tyle roboty.

Młotek

Pani Holl! Pani Holl! Czy pani śpi z otwartymi oczami? Czy mam wezwać lekarza?

Ponieważ Sophie nie cierpi dawnych zwyczajów, niechętnie korzysta ze swojego młotka. Dzisiaj jednak uderza nim trzykrotnie w stół, a każde uderzenie tylko potęguje jej wściekłość. Zmieszana oskarżona, siedząca obok swojego obrońcy, podnosi głowę. Muska wzrokiem stół sędziowski. Mierzy od stóp do głów prokuratora Bella, który obiema rękami opiera się o kant stołu i wysoko unosi brwi. W końcu zaś przygląda się własnej twarzy, królującej na nagim ciele niczym posąg świętego na cokole i nieruchomo wpatrującej się w nią z ekranu na ścianie. Jeszcze więcej trudności niż użycie młotka przysparza Sophie myśl, że pomyliła się co do człowieka. Miękkie usta Mii przemawiały za potrzebą harmonii, jasne oczy za jasnością umysłu. Teraz jednak obwiniona siedzi w sali rozpraw i rozmarzonym wzrokiem patrzy przed siebie. Po raz drugi ugryzła rękę, która chciała ją nakarmić. Rękę Sophie. Może to być albo oznaka złego charakteru, albo symptom depresji. Pani sędzia nie umie

rozstrzygnąć, co wydaje się jej gorsze. Ludzie o złych charakterach to plaga i dlatego wystarczająco często należą do jej stałej klienteli. Ale natury depresyjne działają wybuchowo. Przyciągają tych ze swojego otoczenia, którzy są gotowi nieść im pomoc, same natomiast podnoszą współczucie dla własnej osoby do rangi prywatnej religii i pragną jedynie uciec od swojego smutnego położenia. To misjonarze nieszczęścia. Co jest zaraźliwe. Choroby umysłowe, o czym uczy się każdy prawnik na wykładach z ustawy o ochronie zdrowia, są co najmniej równie niebezpieczne, jak choroby fizyczne. A przy tym trudniej dowieść ich istnienia.

- Wysoki Sądzie, proszę o wybaczenie - mówi Mia.

Sophie słyszy, że Rosentreter szepcze swojej klientce do ucha kilka uspokajających słów. Pani sędzia prawie mu współczuje. To uczciwy i skromny człowiek bez odrobiny zdolności koniecznych do tego, by poradzić sobie z tak krnąbrną osobą jak Mia Holl.

- Mamy tutaj wniosek o zaskarżenie wyroku. - Sophie macha w powietrzu jakimś papierem. - Podpisany pani ręką.

Mia rzuca Rosentreterowi niepewne spojrzenie, na co ten daje jej lekkiego kuksańca w bok.

- Tak, Wysoki Sądzie - mówi.

- Kara pieniężna, którą nałożyłam za popełnione wykroczenia przeciw prawu, była niezwykle łagodna. - Kiedy Sophie spostrzega, że jej głos brzmi histerycznie, chrząka i stara się zachowywać bardziej profesjonalnie. - To była propozycja ugody.

- Na granicy uniewinnienia - uzupełnia Bell.

- W rzeczy samej. - Sophie drwiąco kiwa głową w kierunku prokuratora. - Pani Holl, ten wyrok miał pani pomóc wrócić na właściwą drogę. Czy pani to rozumie?

- W pewien sposób owszem, Wysoki Sądzie - mówi Mia niczym marionetka, której podbródek ktoś porusza sznurkami.

- Dość tego! - krzyczy Sophie i nagle z niezwykłą przyjemnością używa młotka. - Odpowiadam na pani wniosek o zaskarżenie wyroku i niniejszym zwiększam karę do pięćdziesięciu dniówek. A co się tyczy nadużycia substancji toksycznych...

- Ale - mówi Mia, która z rosnącym zdumieniem śledzi wywody pani sędzi - ja przecież wróciłam na właściwą drogę. Dostarczyłam władzom brakujące raporty dotyczące snu i odżywiania. Także wszystkie próbki medyczne i higieniczne. Koncentracja bakterii w moim mieszkaniu odpowiada wytycznym. Opóźnienia w uprawianiu sportu nadrobię w najbliższych...

- Niech mnie już pani przestanie przekonywać do siebie. Za to proszę mi wyjaśnić, dlaczego zaskarża pani wyrok, przez który ze względu na jego łagodność musiałam się tłumaczyć przed przełożonymi.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - mówi Rosentreter. - Oskarżona nie musi usprawiedliwiać się z powodu swoich zachowań procesowych.

- Ale... - wtrąca się Mia.

- Zgoda. Obrona odmawia przesłuchania. To zamknie tę

przykrą sprawę.

- Bardzo mi miło, skoro ujmie mi to roboty - mówi Bell.

- Proszę oszczędzić sobie komentarzy - mówi surowo Sophie, a zwracając się do Rosentretera: - Przechodzimy do postępowania w sprawie nadużycia substancji toksycznych. Pańskie zdanie?

- Zgoda - przystaje Rosentreter.

- Ale ja nie rozumiem... - mówi Mia.

- Przecież paliła pani papierosa? - pyta cicho Rosentreter.

- Przyznała się pani do tego już w ubiegłym tygodniu.

- Oczywiście - mówi Mia. - Wyjaśnił mi pan...

- Ponieważ upierała się pani, żeby zostawić panią w spokoju, wyjaśniłem, że istnieje tylko jedna możliwość uniknięcia postępowania. - obrońca rzuca Sophie przepraszające spojrzenie. - Pani Holl zgłasza wniosek o uznanie tej sprawy za wyjątkową zgodnie z paragrafem 28 ustawy o ochronie zdrowia.

- Wniosek o uznanie sprawy za wyjątkową! - Bell z zadowoleniem uderza dłonią o stół. - Rosentreter, nie mogłeś jej tego wyperswadować?

Z czerwonych policzków Sophie znikają kolory. Nie znosi siebie wzburzonej. Wzburzenie jest niezdrowe i niezgodne z jej naturą. Ta konstatacja przyprawia ją o jeszcze większą wściekłość.

- Oskarżona jest więc zdania, że sąd wcale nie był uprawniony do podjęcia decyzji - mówi chłodno. - I że sędzia przewodnicząca, która zrobiła wszystko, aby zrozumieć sytuację osobistą oskarżonej, nie potrafi jej należycie ocenić.

Mia ma na wpół otwarte usta, co wcale nie sprawia, że wygląda na osobę poszukującą harmonii, tylko na po prostu przemęczoną. I głupią, tak, w dziwny sposób głupią. Wodzi wzrokiem od jednego do drugiego jak pies, który nie może sobie przypomnieć, kto jest jego panem. Potem wskazuje Rosentretera.

- Mój obrońca powiedział...

- Oskarżona - mówi Rosentreter, biorąc do ręki kartkę - nie chce żyć w stresie. Potrzebuje czasu do namysłu. Stoi na stanowisku, że najlepiej poradzi sobie ze swoją sytuacją sama, bez ingerencji władz.

- Wysoki Sądzie! - Bell pochyla się do przodu. - Proszę jeszcze raz o to, żeby te zeznania zostały odnotowane w aktach oskarżonej w postaci ścieżki jej danych osobowych.

- Tym razem zgoda. - Sophie włącza dyktafon i stawia go na stole. - Rosentreter, uzasadnienie wniosku.

Podczas gdy Rosentreter mówi, na ekranie ukazuje się zapis jego słów:

- Oskarżona doświadczyła niezwyklej surowości ze strony systemu. Wskutek implementacji METODY pozbawiono ją bliskiego krewnego. W trakcie przewyciężania skutków doznanych szkód chciałaby, żeby instytucje METODY zostawiły ją w spokoju, w tym sensie więc powołuje się na zasady obowiązujące w przypadku spraw wyjątkowych.

- Czy to prawda? - pyta Sophie pochylona nad stołem sędziowskim. - Czy jest pani zdania, że pani brat padł ofiarą implementacji METODY ?

- Patrząc na to przyczynowo, tak - mówi Mia. - Nie znaczy

to jednak...

- Przede wszystkim nie znaczy to, że wolno pani unikać instytucji METODY! Mam nadzieję, że obrońca wyjaśnił pani, iż zasady obowiązujące w przypadku spraw wyjątkowych mają zastosowanie na przykład w odniesieniu do ofiar poważnych pomyłek sądowych i że...

- Wysoki Sądzie - słysząc zrzędlawy głos Bella. - Zadaniem sądu nie jest odbieranie pracy obronie.

Sophie zrywa się z miejsca.

- Dość już tych pouczeń - krzyczy. - Nie jesteśmy w stołówce uniwersyteckiej, gdzie może pan odgrywać besserwissera. Zgodnie z paragrafem 12 ustawy o ochronie zdrowia udzielam panu upomnienia za lekceważenie sądu.

Młotek znów opada na stół, po czym Sophie upuszcza go z obrzydzeniem.

- Odrzucam wniosek o uznanie tej sprawy za wyjątkową - mówi, opanowując się z trudem. - Dość tych cyrków. Za nadużycie substancji toksycznych skazuję panią na dwa lata w zawieszeniu. Panie prokuratorze, to chyba odpowiada pańskim życzeniom?

- Absolutnie - odpowiada Bell przez zaciśnięte zęby.

- Znakomicie. Zwracam oskarżonej uwagę na to, że Służba Bezpieczeństwa METODY rutynowo otrzymuje informacje o wnioskach składanych w kwestii uznania danej sprawy za wyjątkową. Zamykam rozprawę.

Which side are you on

Znam pewną piosenkę z dobrych starych czasów – mówi idealna kochanka. – *Which side are you on*. Powinna stać się twoim hymnem.

Jest chyba koło południa, może nawet nieco później, przy czym w tej chwili pytanie o porę dnia nie interesuje nikogo z obecnych. W każdym razie dzień jest wiosennie ciepły. Drzwi na taras na dachu są otwarte i wpuszczają łagodne powietrze. Ze skrzynek na kwiaty rozbrzmiewa pełne samozadowolenia bzyczenie pszczoły. Rosentreter opiera się o drzwi i patrzy, jak owad, zataczając się, okrąża sztuczne kwiaty, wyperfumowane zapachem zbliżonym do woni pierwiosnka.

Nie można twierdzić, że Mia zaprosiła swojego obrońcę. To raczej on przyprowadził ją do domu. Wychodząc z budynku sądu, przystanęła na zewnętrznych schodach i rozejrzała się, jakby po raz pierwszy widziała miasto. Mówiła przy tym pod nosem, że jej prędkość spadła się do jednej dziesiątej normalnej prędkości. Dlatego też dni biegną dziesięć razy

szybciej, rowery jeżdżą dziesięć razy szybciej, ludzie dziesięć razy szybciej mówią, a ona, Mia, przestała cokolwiek rozumieć.

Niegdyś twierdziła, że również mózg jest tylko mięśniem. Rosentreter odwiódł ją od chęci usadowienia się na schodach, na oczach wszystkich, znalazł w aktach jej adres i zadbał o bezpieczny powrót swojej klientki aż do drzwi mieszkania.

Teraz Mia z zamkniętymi oczami połyka dwie kolorowe tabletki, nie popijając ich wodą. Współczesna medycyna ma na podorędziu odpowiedzi na wszystkie pytania egzystencjalne, a resztę niejasności może wyeliminować tylko jeden człowiek: Rosentreter. Drągowatej postury, stoi nieco pochylony, jakby chciał się zmniejszyć. Co chwila przesuwa ręką po zmierzwionych włosach.

- Czy to pana cieszy? - pyta Mia.

- Och, piękny widok.

Rosentreter upuszcza na ziemię kilka wyrwanych włosów, po czym się odwraca.

- Niezwykle dowcipne - odpowiada Mia. - Ciekawi mnie, czy lubi pan grać rolę torturującego kata?

- Interesujące, że mówi pani o torturach. Czy wiedziała pani, że wprowadzenie tortur stało się ważnym krokiem w procesie modernizacji postępowania karnego?

- On też zamierza zrobić ze mnie kretynkę - mówi Mia do idealnej kochanki. - Jak wszyscy.

- Ale podoba mi się bardziej niż tamten - odpowiada idealna kochanka. - Ma coś w oczach. Wygląda jak chłopczyk

w sklepie z zabawkami.

- To on - mówi Mia, wskazując Rosentretera - wydał mnie dzisiaj na pastwę sądu.

- Na pierwszy rzut oka ta historia z torturami wydaje się niedorzeczna - upiera się Rosentreter, przykładając rękę do podbródka, jakby właśnie wygłaszał wykład dla młodych karnistów. - Ale to prawda. Chodziło o wyzwolenie się spod wyroków boskich. To człowiek miał wydawać wyroki. Jak jednak bez pomocy Boga poznać prawdę? Było to możliwe tylko wtedy, gdy oskarżony przyznał się do winy. Ale tak się głupio składało, że nie wszyscy się do tego kwapili. Wobec tego wymyślono pewne możliwości... - Rosentreter śmieje się pod nosem - ...badania sumienia.

- Wolałabym - mówi Mia - żebyśmy wrócili do mojego procesu. Stanowi on dla mnie wystarczająco straszną torturę.

- Również tortury w pewnym momencie padły ofiarą myśli humanistycznej - ciągnie niewzruszenie Rosentreter. - Pozostało wrażenie, że do wyroku skazującego kogoś, kto uparcie zapewnia o swojej niewinności, lgnie jakiś brud.

- Nie znam pana - mówi Mia, stając przed Rosentreterem.
- Nie mam pojęcia, kim pan jest. I dla kogo odgrywa pan tutaj ten teatr.

- Jestem obrońcą, przedstawicielem pani interesów. Zgodnie z zasadami semantyki oznacza to, że reprezentuję pani interesy.

- Pan - mówi Mia, podnosząc palec niczym oskarżyciel - pan mi obiecał, że zakończy tę cholerną sprawę. A co pan

robi? Wciąga mnie w nią jeszcze głębiej. Panie Rosentreter, proszę mi doradzić: czy istnieje możliwość, aby pociągnąć pana za to do odpowiedzialności?

- Oczywiście, że istnieje. Przy odrobinie szczęścia może pani postarać się o to, żeby z powodu mojego dzisiejszego wystąpienia cofnięto mi pozwolenie wykonywania zawodu.

- No dobrze! - szydzi Mia. - Wobec tego zlecam panu zadanie wystąpienia przeciw sobie samemu.

- Przedtem jednak powinna się pani zastanowić, jaki jest pani interes. I w jaki sposób powinien być reprezentowany.

- Moje słowa! - woła idealna kochanka. - *Which side are you on!*

- Myśli pani, że pani brat dopuścił się morderstwa na tle seksualnym, za które został skazany na pozorną śmierć?

- Na ten temat nie będę z panem dyskutować.

- Pani w to nie wierzy. - Rosentreter zamyka drzwi od tarasu. - Bo go pani знаła. Jego, to znaczy jego ducha. Jego duszę. Jego serce. Te rzeczy, które w rozumieniu METODY nie odgrywają żadnej roli w kontaktach z ludźmi.

Mia chwyta się za głowę, w której otępiające działanie tabletek walczy z nerwowym rozgorączkowaniem.

- Czy jest ktoś na tym świecie, komu nie zależy na wypróbowywaniu na mnie swoich poglądów politycznych?

- Nie - odpowiada zwięźle idealna kochanka. - Nadeszła twoja pora. - Rozpościera ramiona tak, jakby to zrobił również Moritz: - Uwaga, tutaj zaczyna się prawdziwy świat! Proszę nie połykać drobnych części.

- A ty się teraz zamknij! - woła Mia.

- Możemy sobie oczywiście mówić po imieniu - mówi uradowany Rosentreter. - Od dzisiejszego przedpołudnia jesteśmy ze sobą ściśle związani.

- Niech mi pan wreszcie powie, co wydarzyło się przed sądem!

- Partactwo. - Rosentreter podnosi ręce. - Nic takiego. Zaledwie kilkoro dzieci, które wzajemnie sypią sobie piaskiem w oczy. Zwrócimy się do wyższej instancji. Zatrudnimy do tej sprawy zawodowców.

- My czy pan?

- Co to ma znaczyć?

- Ja rezygnuję. Nie, ja już dawno zrezygnowałam. Jeszcze raz nie: od samego początku nie było niczego, z czego teraz mogłabym zrezygnować!

- Bardzo słusznie. Pani nie MOŻE zrezygnować. Czy pani nie zrozumiała, czym pani dzisiaj zagrożono? Zgłoszeniem sprawy Służbie Bezpieczeństwa METODY! Będą chcieli zrobić z tego sprawę wagi państwowej.

- A to - mówi Mia - już w całej rozciągłości pańska wina.

- Pani musi się bronić! - Rosentreter wymachuje rękami w powietrzu. - Co to za system, który zabiwszy najpierw pani brata, zabrania pani zaszyć się na kilka tygodni w samotności?

- Czy teraz pyta pan o to jako prawnik?

- Jako człowiek.

- Rosentreter, jakie to słodkie! Poszukiwanie człowieka jest niczym pukanie do pustego pokoju. Ostrożnie popychamy drzwi i pro forma wołamy w głąb pomieszczenia: „Jest tam

ktoś?”, a potem wychodzimy.

- METODA jako taka zabiła człowieka - mówi idealna kochanka. - Zostaje tylko jednostka. W liczbie mnogiej: jednostki. Ale ty, mój skarbie, wychodzisz, tańcząc, przed szereg. Ty jesteś człowiekiem. I za to cię kocham.

- Dobrze ci mówić - odpowiada Mia. - Wylegujesz się tutaj i nie oznaczono ci nawet grupy krwi. Nie jesteś pozycją w telematyce opieki zdrowotnej. Nie masz nawet układu odpornościowego!

- Pani Holl, niech pani przestanie rozmawiać z nicością - zaklina ją Rosentreter. - Proszę spojrzeć na mnie i rozmawiać ze mną! METODA służy dobru człowieka, punkt pierwszy preambuły. W wyższej instancji wszyscy razem przypomnimy sobie parę zasadniczych kwestii.

- Pańskie oczy.

- Co z nimi?

Rosentreter chwyta się za twarz.

- Błyszczą.

- Pewnie od blasku słońca.

- To, co zamierza pan zrobić, to nie obrona, lecz wyprawa na wojnę.

- Wobec tego jest chyba konieczna.

- Dla kogo?

- Dla nas wszystkich.

- Pytam po raz ostatni - mówi surowo Mia. - Kim pan jest? Szaleńcem? Zwolennikiem RAK - u, kręcącym się po sądzie z aktówką i w todze? Czy też po prostu drobnym sadystą, któremu sprawia przyjemność taniec na gruzach

roztrzaskanej egzystencji?

Rosentreter chrząka.

- Nieszczęśnikiem - mówi.
- Niech to wyjaśni - żąda idealna kochanka.
- Niech pan to wyjaśni - nakazuje Mia.
- Wolałbym tego nie robić - wyznaje Rosentreter.
- Może pan zmienić moje życie w pole bitwy - krzyczy Mia.
- Może mnie pan jak dzikie zwierzę poprowadzić do walki na smyczy swojej strategii procesowej. Ale mam prawo dowiedzieć się dlaczego!
- Okay - mówi adwokat i opada na sofę obok idealnej kochanki.

Niedopuszczalne

Mia siada na krześle przy biurku, podpira ręką głowę, jakby nagle zrobiła się zbyt ciężka, aby mogły ją unieść mięśnie szyi. Na kilka chwil zalega cisza. Po drugiej stronie świata Amazonka przetacza do Atlantyku dwieście milionów litrów wody na sekundę. Jest tak, jakby można było to poczuć w pokoju Mii. Rosentreter obgryza paznokcie, co jest zabronione ze względu na groźbę zakażenia.

- Unikamy spotkań - mówi wreszcie. - Utrzymujemy związek bez związku. Utrzymujemy dystans. To jak zatapianie okrętów bez ołówka i papieru. Tylko we własnej głowie.

- Nie sądzę - mówi Mia.

- Podobnie myślą organy urzędowe. Według naukowo potwierdzonej koncepcji taka miłość jak moja w ogóle się nie zdarza, z powodów immunologicznych. Mój główny układ zgodności tkankowej jest klasy B-11, a tym samym kwalifikuję się jako ewentualny partner dla kategorii A-2, A-4 i A-6. Kiedy jednak spotkałem kobietę mojego życia, kobietę, która działa na mnie jak zimna woda na oparzenie,

okazało się, że jest ona klasy B-13. Nawet nie próbowaliśmy uzyskać zezwolenia na odstępstwo od reguły. Nie mielibyśmy na to żadnych szans.

- Po prostu nie do wiary, że wyskakuje mi tu pan z taką immunologiczną błahostką - mówi Mia.

- To nie jest błahostka - sprzeciwia się idealna kochanka.

- Kocha pan więc w sposób niedopuszczalny? - woła Mia. - I to jest ta pańska osobista katastrofa? Dramat, który zmienił pana w wojownika?

- Skoro pani pyta wprost, to tak.

- Nasze pragnienia od czasu do czasu kolidują z Umową Powszechną - cytuje idealna kochanka. - Tak wyraziłby to Kramer.

- Za kogo pan się uważa! - woła Mia. - Od tysięcy lat wydaje się za królów księżniczki, które później spółkują z marszałkami dworu.

- Pani mnie nie rozumie - mówi Rosentreter. - Nie chodzi o spółkowanie. Ja kocham tę kobietę. Chcę z nią żyć. Oficjalnie. Mieć dzieci.

- I DOKŁADNIE to właśnie zawsze się działo. Chłopskie córki kochały się w swoich panach. Zakonnice - w klasztornych ogrodnikach. Bracia - w siostrach. Uczennice - w nauczycielach. Dorośli mężczyźni - w najlepszych przyjaciółach. A obecnie tysiące ludzi kochają osoby o nieodpowiednich układach odpornościowych. Wszyscy chcą być szczęśliwi. Zawsze w niedopuszczalny sposób. Wciąż to samo, Rosentreter, absolutna normalka!

- Według METODY niedopuszczalna miłość to zbrodnia

gardłowa. Jeśli dopuszczę do spełnienia się tego uczucia, będzie się to równało celowemu rozprzestrzenianiu zarazy.

- Myśli pan, że ma pan problem? Myśli pan, że pan wie, co znaczy cierpienie? Pan, akurat pan chce się zbuntować przeciw procesowi starszemu od pana o kilka tysięcy lat?

- Ten proces jest bez sensu!

- Wobec tego jeszcze bardziej bezsensowne jest wzbranianie się przed nim. Rosentreter, jest pan zarozumiałym idiotą. Niechże pan to robi potajemnie, jak cała reszta ludzi. Proszę o tym nie opowiadać. Proszę nie naprzykrzać się światu swoimi prywatnymi sprawami.

- Pani Holl, w tej chwili naprawdę byłbym bardzo rad, gdybyśmy mogli przejść na ty. Pomogłoby mi to wygłosić kolejne zdania.

Mia przygląda mu się sceptycznie, ale potem wyciąga rękę.

- Mia - mówi.

- Lutz - mówi Rosentreter.

Podają sobie ręce i natychmiast zwalniają uścisk.

- Chcę ci powiedzieć, co następuje. - Rosentreter zaczyna krzyczeć. - Jesteś zgorzkniałą, samotną racjonalistką! Nie masz pojęcia o szczęściu! I z tego powodu bardzo mi cię żal!

- Trafiony! Zatopiony! - mówi idealna kochanka.

- Racjonalistka... tak - powtarza wściekle Mia. - Zgorzkniała... może. Ale powinno ci być mnie żal... za to!

Zrywa się, bierze z biurka fotografię i rzuca ją Rosentreterowi na kolana. Zdjęcie ukazuje Moritza, który na stryczku obraca się wokół własnej osi. Kto nigdy nie widział

wisielca, zaniemówiłby ze zdumienia. Twarz traci wszelkie cechy ludzkie. Język puchnie, powiększając się trzykrotnie, i wystaje z ust. Również oczy wychodzą z orbit. Ogólny kolor skóry to siność. Rosentreter patrzy to na zdjęcie, to znów na Mię. Przegrał walkę o NDN – największe doznane nieszczęście.

– Trudno to znieść – szepcze.

– Od kiedy Moritz nie żyje – mówi Mia – podchodzę do okna i nie widzę Księżyca. Czy to możliwe, że opuścił Ziemię i udał się w przestworza? Zrozumiałabym to.

Wstaje również Rosentreter. Zbliża się do Mii ostrożnie, jakby była zwierzęciem, które przy każdym niewłaściwym ruchu rzuca się do ucieczki.

– Zanim wszyscy razem udamy się w przestworza – mówi – mógłbym zażądać wglądu do akt. Mógłbym jeszcze raz zbadać tę sprawę. Spowodować jej ponowne rozpatrzenie.

Idealna kochanka prostuje się na sofie.

– Dowieść niewinności Moritza?

– Może nawet dowieść jego niewinności. Mia! Nie zrobiłbym tego dla ciebie. Od lat czekam na okazję, żeby wystąpić przeciw METODZIE . Potrzebuję...

– Gdyby to zrobił – mówi podniecona idealna kochanka – byłoby gotowe na wszystko inne.

– ...szansy.

Na dźwięk dzwonka do drzwi Rosentreter się wzdryga. Mia pośpiesznie chowa zdjęcie do szuflady.

Ślimaki

Strach opuszcza ciało Rosentretera, kroczy przez pokój i wytwarza nierzeczywistą ciszę. Przy odrobinie pomyślunku obrońca mógłby wpaść na to, że spotkanie w tym mieszkaniu mężczyzny, który prawdopodobnie jeszcze przed ministrem spraw wewnętrznych usłyszał o wyjątkowej sprawie Mii Holl, nie jest niczym zaskakującym. Rosentreter nie ma jednak czasu na namysł, zwłaszcza że ten proces nie wyróżnia się w jego przypadku nadmierną szybkością. Bycie miłym wymaga pewnej powolności, jak również braku odwagi.

- *Santé* wszystkim – mówi Kramer.
- Hej – odpowiada Mia.
- *Santé* – mruczy Rosentreter.
- Znowu ten tam – mówi idealna kochanka.

Kramer wygląda olśniewająco. Pomijając kapelusz i laskę, które ma ze sobą jako rekwizyty potrzebne do występu w charakterze przygodnego spacerowicza, w oczy rzuca się zwłaszcza jego dobry humor, który dzisiaj czyni zeń zjawisko wywierające szczególne wrażenie. Postawa Kramera jest jeszcze sztywniejsza niż zwykle, a gładko wygolone policzki

promienieją bezwarunkową ufnością sytego niemowlaka. Przy akompaniamencie bezgłośnych fanfar spacerowym krokiem wchodzi do mieszkania.

- Patrzcie, patrzcie - zaczyna, wskazując Rosentretera, jakby chodziło o jakieś interesujące dzieło sztuki. - Na miejscu jest także nasz wierny bojownik o słuszną sprawę. Tam gdzie w grę wchodzi interes prywatny, można i pana spotkać w pobliżu, prawda, Rosentreter?

Nietrudno zauważyć, że Rosentreter boi się Kramera. Cofa się przed nim jak przed zakaźnie chorym i niechętnie, ale z wdzięcznością siada, czując pod kolanami opór sofy. Rosentreter zna Kramera od wielu lat, wie zatem, że ten ma przenikliwy wzrok, który z absolutną pewnością somnambulika pozwala mu odróżnić przyjaciół METODY od jej wrogów. Oczywiście nie istnieje bezpośredni zakaz kochania niewłaściwej kobiety, dopóki robi się to na odległość. Ale człowiek naraża się na podejrzenie. Wszyscy wiedzą, że „miłość” jest jedynie synonimem tolerowania się określonych układów odpornościowych. Każdy inny związek jest chory. Miłość Rosentretera to wirus, który zagraża społeczeństwu. Rosentreter musiał się nauczyć, co znaczy prawdziwa samotność: nie oddzielenie od ukochanej, ale przymus ukrywania siebie i swojej niespełnionej tęsknoty. Niestety Kramer ma prawie tak samo dobry słuch, jak i wzrok. Im dłużej Rosentreter wpatruje się w dziennikarza, tym bardziej dręczy go podejrzenie, że od pewnego czasu mógł on stać na klatce schodowej z uchem przy drzwiach do mieszkania Mii.

Na szczęście wydaje się, że Kramer przestał się nim interesować, bo zwraca się do Mii.

- Pani Holl - mówi. - Przyszedłem przeprosić.

- Niech mnie pan oszczędzi - mówi Mia.

Kiedy Kramer podchodzi do niej, wygląda to prawie tak, jakby chciał popełnić wykroczenie przeciw paragrafowi 44 ustawy o ochronie zdrowia i pocałować Mię w policzek. W ostatniej chwili odsuwa się na bok, zdejmuje rękawiczki i razem z kapeluszem oraz laską kładzie je na biurku.

- Wywiad, o który panią prosiłem, nie może jednak dojść do skutku. Sprawy przybierają inny obrót.

Jakby to było absolutnie oczywiste, sunie do kuchni, aby przygotować sobie szklankę gorącej wody.

- To on powoduje zamęt - mówi Mia, patrząc na Rosentretera.

- Tak? - Kramer wysuwa głowę przez drzwi i unosi brwi, które tworzą elegancko wygięte łuki. W tym samym momencie również idealna kochanka powtarza ten gest i naśladuje jego zdumione spojrzenie.

- Jaki wywiad? - pyta szybko Rosentreter.

- Wniosek o zakwalifikowanie sprawy jako wyjątkowej był jego pomysłem - mówi Mia.

- Czy ktoś jeszcze życzy sobie gorącej wody? - pyta Kramer.

- Poproszę - mówi Mia.

- Ja dziękuję - mówi Rosentreter.

- Jeśli on się pani naprzykrza, bez trudu panią od niego uwolnię - zapewnia Kramer, wracając z dwiema parującymi

filizankami do pokoju. – Proszę mi po prostu opowiedzieć, co mówił przez ostatnie pół godziny.

W miejscu, gdzie siedzi Rosentreter, robi się najwyraźniej coraz cieplej. Adwokat wkłada bowiem dwa palce za kołnierzyk, choć równocześnie stara się wyglądać poważnie. Kramer opiera się o biurko i znad brzegu swojej filizanki wyczekująco spogląda na Mię. Ta patrzy na adwokata, który ma minę człowieka znajdującego się w stanie rozpaczliwej konsternacji. Przez chwilę myśl o pozbyciu się Rosentretera wcale nie wydaje się jej nieprzyjemna.

– Mia! – ostrzega idealna kochanka, na co zagadnięta wzdryga się ze strachu i kręci głową, jakby miała powód dziwić się samej sobie.

– Rosentreter w ogóle nic nie powiedział – mówi wreszcie.
– Rozmawialiśmy o prawnej jakości zeznań.

– A więc chodziło zapewne o sprawę Moritza Holla? – pyta Kramer. – W każdym razie nie torturowano pani brata. To już jest powód do radości, prawda? – Śmieje się i ciągnie dalej, nie dopuszczając Mii do głosu: – Na szczęście istnieją obecnie nowoczesne sposoby uzyskiwania wiedzy, mogące zastąpić zeznanie. Krótko mówiąc: precyzyjne zbieranie informacji. Im więcej się ich posiada, tym lepiej. Rosentreter, zaprzeczy pan temu? Nie? To mnie dziwi. Zazwyczaj ludzie pańskiego pokroju nie pojmują, że METODA zadaje sobie mnóstwo trudu, aby chronić obywatela przed pomyłkami dotyczącymi jego osoby. Im wyższy poziom informacji, tym sprawiedliwsza ocena. Zgadza się pani ze mną, pani Holl?

– Chyba tak – odpowiada Mia.

- To dobrze. - Kramer odstawia filiżankę na stół. - Wobec tego proszę mi opowiedzieć trochę o bracie.

Idealnej kochance wręcz zapiera dech w piersiach. Siedzący obok niej Rosentreter podnosi się z sofy i poprawia na sobie garnitur.

- Moja klientka nie ma zamiaru...

- Dlaczego miałabym to robić? - pyta Mia spokojnie.

- Właśnie po to, aby poprawić stan informacji - mówi Kramer uprzejmie i odsłania zęby w uśmiechu. - Albo po prostu po to, żebym nie musiał zadać sobie pytania, dlaczego nie chce pani o nim opowiadać.

Rosentreter podchodzi, usiłując przyjąć postawę mężczyzny z szerokimi barkami.

- Nie ma pan najmniejszego prawa prowadzić tutaj przesłuchania - mówi nienaturalnie niskim głosem.

- Rosentreter, po co tak histerycznie? - Kramer odpycha się od brzegu stołu i rozweselony zaczyna spacerować po pokoju. - Pan przecież w takim samym stopniu interesuje się Moritzem Hollem.

- Ja interesuję się swoją klientką.

- Tak? - Kramer okrąża hometrainer i odczytuje nieprawidłowe wskazanie licznika. - Wczoraj bardzo dokładnie sprawdzał pan akta procesowe Moritza Holla.

- Było to konieczne dla złożenia wniosku o uznanie tej sprawy za wyjątkową.

- A może raczej szukał pan wiedzy, która pozwoliłaby panu ruszyć na bój, wykorzystując jeszcze więcej brudów.

- Na brudach najlepiej zna się pan, nikt inny.

- Można i tak na to patrzeć - odpowiada Kramer obojętnie, po czym podchodzi do półki i zaczyna odczytywać tytuły książek.

- Panowie! - Mia śledzi tę wymianę zdań, zwracając głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby oglądała mecz tenisa. - O co tutaj chodzi?

- Chodzi o więcej - mówi Kramer. - O znaczenie sprawy Moritza Holla. Prawda, Rosentreter? Zależy panu na prestiżu! - Nagle odwraca się i oczami gładkimi jak tafla wody patrzy obrońcy w twarz. - No dalej! Niech pan powie, że jest inaczej.

Rosentreter opuszcza wzrok, na co Kramer tylko kiwa głową i wraca do biurka.

- Pani Holl - mówi uprzejmie. - Nawet przed sądem prawda jest sprawą subiektywną. Wiara i wiedza wykazują łudzące podobieństwo do siebie. Można słusznie zapytywać, czy nie są wręcz tym samym. Dlatego też w sytuacjach granicznych mądrzy ludzie nie oceniają prawdy wedle jej ważności, lecz użyteczności.

- Co to ma znaczyć? - pyta Mia.

- Pani brat był po prostu piekielnie przekonujący - odpowiada Kramer. - I dlatego nie opuszcza nas trojga, chociaż każdego z zupełnie różnych powodów.

- On za chwilę zaproponuje utworzenie grupy samopomocy - mówi idealna kochanka.

- W sprawie Moritza Holla - ciągnie Kramer - pani adwokat prowadzi dochodzenie przeciw METODZIE, a ja w jej obronie. Nierzadko najostrzejsze przeciwiństwa

spotykają się w jednym punkcie. Na przykład dzisiaj w pani pokoju.

- Ma pan na myśli: nad grobem mojego brata.

- Zapewne właśnie to mam na myśli. Stoimy nad nim wszyscy, usiłując odnaleźć prawdę. Pani Holl, może powinna się pani do tego przyczynić? Może powiedziałaaby mi pani, kim w rzeczywistości był Moritz Holl?

- Kochał naturę - mówi Mia.

- Jeśli opowiesz temu potworowi coś o Moritzu!... - woła idealna kochanka.

Mia odwraca się w jej stronę.

- Jakie inne zadanie miałabym na świecie, jeśli nie opowiadać o nim?

- Ale nie temu tam - mówi idealna kochanka. - On chce udowodnić, że Moritz był wrogiem państwa.

- Dowiedzmy więc przeciwnieństwa - rzuca Mia. - Człowiek stanowi jedynie piękne opakowanie wspomnień. W naszym przypadku wspomnienia o nim.

Idealna kochanka milczy. Kiedy skrępowany Rosentreter chrząka, chcąc coś powiedzieć, Kramer pokazuje mu zza pleców Mii, żeby poczekał. Przez chwilę obie strony wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Mia się zrywa, staje przy oknie i wygląda na zewnątrz.

- Moritz kochał naturę. Już w dzieciństwie potrafił spędzać całe godziny na obserwacji listka albo żuczka. Czy panowie wiedzą, ile różnych rodzajów żuków żyje tylko na jednym krzewie?

- Miłość do natury to prolog do miłości człowieka - mówi

Kramer niczym pomysłodawca różnych maksym.

- Moritz kochał wszystko, co żyje. Na jego stoliku nocnym stała drewniana skrzynka, w której trzymał ślimaki winniczki. Każdemu nadał imię. W nocy ślimaki swoimi domkami podnosiły wieko skrzynki. Ich powolność sprawia, powtarzał zawsze Moritz, że są nieprawdopodobnie silne.

- On sam również chciał mieć dom - mówi idealna kochanka, oddając się marzeniom. - Taki, który można by nosić ze sobą.

- Kiedy Moritz spał, ślimaki wydostawały się ze skrzynki i pęzały po pokoju. Niekiedy budził się rano ze ślimakiem na policzku. To go uszczęśliwiało. Ja się brzydziłam. Mieliśmy wspólny pokój.

- W miłości do życia nie ma nic obrzydliwego. - Słuchając, Kramer zaczyna przeglądać dokumenty na biurku Mii. Ostrożnie wysuwa szufladę. - O ile wiem, płazy w przeciwieństwie do ludzi nie prowadzą wojen i nie konstruuja broni masowego zniszczenia.

- Moritz wyrażał to bardzo podobnie. Czuł się niezrozumiany przez rodziców, przez przyjaciół, przeze mnie. Jako dziecko częściej rozmawiał ze zwierzętami i roślinami niż z rodziną.

- A mimo wszystko to ty byłaś jego ulubionym zwierzątkiem - mówi idealna kochanka. - Pół ogrodu nazwał twoim imieniem. Wiedziałaś o tym? Drzewa, krzewy, kwiaty, ptaki, robaki. Wszędzie Mia.

Mia potakująco kiwa głową i przyciska pięści do oczu.

- Kiedy zachorował - mówi - trzeba było oczywiście usunąć

ślimaki. Bardzo często przychodzili różni lekarze, a rodzice nie chcieli skandalu. Myślę, że Moritz nigdy im tego nie wybaczył.

- Zachorował? - pyta zaskoczony Rosentreter. - W aktach procesowych nie ma nic na ten temat.

Kramer wzrusza ramionami, aby pokazać, że również on nie wie, o czym mówi Mia.

- Został całkowicie wyleczony. Nie było obciążenia dziedzicznego. Dlatego też przychylnie rozpatrzono wniosek o zlikwidowanie zapisów w rejestrze.

- Przekłeta niechlujność - mówi Kramer. - Moi ludzie powinni to zrekonstruować. Osobę chorą można zaprezentować zupełnie inaczej.

- Był wyleczony - powtarza Mia.

- Kto raz był chory, pozostaje chory na zawsze - sprzeciwia się Kramer. - To odciska się piętnem.

- METODA uratowała Moritzowi życie. Tak to widzę. A to odcisnęło się piętnem na MNIE .

- Co to było? Na co chorował? - pyta Rosentreter.

- Na leukemię - mówi Mia, odwracając się. Jej wzrok kieruje się ku Kramerowi, który akurat ogląda zdjęcie powieszonego Moritza.

- Koniec przedstawienia - postanawia. - Uszczęśliwiłam was, wężyciele?

- Bardzo.

Kramer strząsa sobie kilka pyłków z rękawa.

Rosentreter kładzie palec na podbródku i patrzy przed siebie nieobecny wzrokiem. Idealna kochanka przygląda

mu się z boku. Wydaje się, że i ona pogrążyła się w myślach. Leu-ke-mia. Te trzy niezwykle sylaby zmieniają klimat w pokoju. Ale akurat Kramer, ten brylujący Kramer, w ogóle tego nie zauważa. Sięga po kapelusz oraz laskę i podąża ku nowym celom.

– Mówiła pani jak poetka. Czy będę mógł panią cytować? – pyta z ręką na kłamce.

A potem znika.

Ambiwalencja

Aby wyrazić to ulubionym słowem osób bezradnych: stosunek Mii do Kramera jest ambiwalentny. Nie chodzi nawet o to, że nie mogłaby go polubić. Kiedy podawał jej filiżankę gorącej wody, a przy tym pochylił się nad nią, cały wręcz skupiając się na tym rytuale, tak że jego gest stał się nieomal absurdalnie doskonały – przez krótką chwilę pomyślała nawet, że mogłaby go pokochać. Nie za uprzejmość, która ostatecznie służy wyłącznie ukryciu własnych myśli, chociaż w miły sposób. Ani też za powierzchowność, która jak wszystkie piękne rzeczy blaknie wskutek przyzwyczajenia, tak że Mia już podczas jego drugiej wizyty nie mogła uznać go za ładnego czy brzydkiego, tylko za niezaprzeczalnie istniejącego. Jednakże jego umiejętność podania jej filiżanki w taki sposób, jakby to była jakaś doniosła czynność, przeniknęła ją do szpiku kości. W oddaniu siebie tak niepozornemu przedmiotowi uwidacznia się bezwzględność w kontaktach ze światem, którą Mia, jeśli ma być szczerą, podziwia. Kramer wszystko robi całym sobą : chodzi, stoi, mówi, ubiera się – bez reszty.

Myśli i mówi z bezwzględnością, która dialektycznie zaprzecza wiecznemu niezdecydowaniu człowieka. Kto oficjalnie przyznaje, że wiara i wiedza są dla tak ograniczonej istoty jak człowiek tym samym, kto postuluje, żeby prawda z tego powodu ustąpiła miejsca użyteczności – ten zapewne jest nihilistą czystej wody.

Mia odtwarza w myślach spacer Kramera po jej mieszkaniu i stara się spojrzeć na domowe sprzęty, książki i pisma oczami łowcy historii. Również ona jest nihilistką, tyle że przekonanie nieobecności obiektywnej prawdy w jej przypadku nie prowadzi do bezwzględności, lecz do dręczącego niezdecydowania. Mia potrafi wszystko uzasadnić, również każde przeciwieństwo. Potrafi usprawiedliwić lub zaatakować każdą myśl, każdą ideę; walczyć za lub przeciw; potrafiłaby z przeciwnikiem lub bez niego grać w szachy i nigdy nie zabrakłoby jej argumentów ani strategii. Już dawno doszła do przekonania, że osobowość człowieka to przede wszystkim retoryka, ale w odróżnieniu od Kramera nie uznała za konieczne wyciągania dalszych wniosków. W istocie wydaje się jej, że ona i Kramer są wyrzeźbieni z podobnego drewna, tyle że ona zatrzymała się w pewnym punkcie, a on po prostu poszedł dalej. Jakby istniał jakiś cel? Jakby było coś, czego należałoby chcieć? Palące pytanie, czego chce Kramer, czego w ogóle można chcieć, wydaje się w mistyczny sposób znajdować odpowiedź w zgrabnym podaniu jej filiżanki wody. Przez kilka sekund Mia czuje, że przyciąga ją ogromna moc Kramera.

Poza tymi sekundami – i tu dochodzimy do ambiwalencji –

Mia odczuwa przede wszystkim niechęć. Albowiem to, co przed chwilą powiedziała i pomyślała, dałoby się równie dobrze ubrać w inne słowa. Wychodząc z tego samego punktu, można by zgromadzić inne argumenty, można by, jak w szachach, zagrać figurami innego koloru. Wówczas Kramer nie byłby ikoną bezwzględności, tylko po prostu pustym w środku potężnym dążeniem. Węszycielem. Śmiesznym indywiduum.

Podczas gdy Mia chodzi po pokoju, idealna kochanka opiera się na łokciu i protestuje.

- Odpowiedź w filizance wody? Przyciąga cię ogromna moc mordercy twojego brata? Nie jesteś kobietą!

- Rousseau - mówi Mia, stojąc przed półką z książkami. - Z dedykacją Moritza. Dostojewski. Orwell. Musil. Kramer. Agamben, również z dedykacją. Nigdy go zresztą nie przeczytałam.

- Jeżeli osoba twojego pokroju chce się dowiedzieć, jakiej jest płci, powinna wsunąć głowę między nogi i to sprawdzić.

- Brakuje tylko stu dwudziestu kilometrów - mówi Mia, zatrzymując się przed hometrainerem. - Kwestia dwóch dni.

- Głowę masz okrągłą tylko po to, żeby twoje myśli mogły wciąż biegać w kółko. Wyrzeźbiona z tego samego drewna co twój najgorszy wróg? Wobec tego nie jesteś człowiekiem.

- Nie kobietą, nie człowiekiem. - Stojąc przy biurku, Mia przegląda dokumenty, które przed chwilą czytał Kramer. - Ale też nie terrorystką. - Mia po raz kolejny podnosi zdjęcie Moritza pod światło. Na drugim planie idealna kochanka rozpływa się w mroku i zachowuje się tak cicho, jakby jej

w ogóle nie było. – Tylko pozostała przy życiu krewną – mówi
Mia cicho, a wspomnienie powoduje, że na zewnątrz
zachodzi słońce.

Bez płaczu

Kiedy zadzwonił dzwonek, Mia siedziała jeszcze przy biurku. Zaskoczona, spojrzała na zegarek: minęła północ. Nie było to zwykłe dzwonięcie, raczej odgłos załamania, ostry, ostry, ostry, w regularnych odstępach, bezlitosny, jakby nigdy nie zamierzał przestać. Mia pośpieszyła do drzwi. Stał za nimi Moritz i przyglądał się swojemu palcowi naciskającemu dzwonek, raz po raz, dopóki Mia nie odciągnęła ręki brata. Wreszcie cisza. Mamy kilka chwil, aby zrozumieć, kto rzeczywiście stoi za drzwiami: noc mordy. Przeszłość.

- Co to za przedstawienie? Nie wejdiesz do środka?

Moritz nie odpowiadał na pytania. Zrobił tylko jeden krok w stronę przedpokoju, ale znów przystanął i rozejrzał się, jakby widział to wszystko po raz pierwszy albo po raz ostatni, przy czym prawdziwa jest ta druga możliwość. Mia wzięła go pod rękę i poprowadziła w stronę sofy.

- Opowiadaj. Jak było? Jaka ona była? Ta, no, jak ona się nazywa?

- Sybille.

- Była miła? Sympatyczna?

- Martwa.

Mia i Moritz spojrzeli na siebie i przez chwilę było tak, jakby język stracił wszelkie znaczenie, jakby słowa, które Moritz dopiero co wygłosił, nie miały dla Mii najmniejszego sensu. Minęło kilka sekund, ziemia obróciła się o kawałek, kilkoro kolejnych ludzi zmarło w różnych miejscach globu, inni się urodzili. Wreszcie Mia popchnęła brata, tak że właściwie złożył się jak scyzoryk.

- Co... to ma znaczyć?

- Czy to nie wariactwo? Gdyby jeszcze była przy życiu, mógłbym teraz prawdopodobnie opowiedzieć całą historię. A tak jest zdumiewająco mało do opowiadania.

- Moritz, weź się w garść! Mów!

- Dobrze - powiedział żałośnie. - Tylko bez płaczu, okay? Już próbowałem, ale nie wyszło. Nawet na posterunku policji. Czy mimo to mi wierzysz?

- Oczywiście - zapewniła Mia uspokajająco.

- Ta dziewczyna o jedwabistych oczach. Z którą chciałem iść nawet do więzienia. Wolność we dwoje. Ona jeszcze tu jest. - Złapał się za głowę. - Tu w środku. Reszta jest całkiem prosta.

A potem znów zamilkł. Trzykrotnie przełykając ślinę, Mia pokonała rosnące przerażenie. Moritz tak często zarzucał jej, że jest chłodną racjonalistką, iż akurat w tym momencie nie chciała dowodzić mu czegoś przeciwnego. Nie stracił opanowania. Będzie opoką w kipieli i wytrzyma wszelkie wstrząsy, niezależnie od ich gwałtowności.

- Byliście umówieni.

- Pod Mostem Południowym. Tam spotykałem się z nimi wszystkimi. Kiedy górą przejeżdża pociąg, jest tak, jakby ziemia się trzęsła. W przerażeniu można mocno do siebie przywrzeć. Byłem podekscytowany i specjalnie wybrałem okrężną drogę, aby nie przyjść za wcześnie. Najpierw pomyślałem, że jej tam w ogóle nie ma. Albo że już sobie poszła. Ale leżała na ziemi. Tam, od dołu, była... naga. Potrząsałem ją za ramiona, podniosłem i z powrotem położyłem. Była bardzo ciepła i miękka. Dopiero po pewnym czasie przyszło mi na myśl, żeby zbadać jej puls. Na nadgarstkach, na szyi. Jakbym zapomniał, że ludzie mają puls.

- Koszmar.

- Do przyjazdu policji minęło mnóstwo czasu. Siedziałem obok tej dziewczyny i czekałem razem z nią. Dobrze się wcześniej rozumieliśmy. W rzeczywistości wyglądała jeszcze lepiej niż na zdjęciu.

Moritz potarł oczy, policzki, skórę na głowie, jakby był nieskończenie zmęczony i ledwie jeszcze zdolny mówić. Kiedy się wreszcie z tym uporał, spojrzał na Mię.

- Siedziałem obok martwego ciała i myślałem, że jeszcze z żadnym człowiekiem nie byłem tak blisko. Wydawało się, że tyle nas łączy, coś więcej niż miłość. Łączyła nas jej śmierć.

Moritz wyciągnął rękę, którą Mia natychmiast schwyciła.

- Czy uważasz mnie za wariata?

- Świat - powiedziała Mia. - Nie ciebie.

Przez chwilę nasłuchiwali otaczającej ich pustki. Potem Mia głęboko wciągnęła powietrze w płuca.

- Czego chciała od ciebie policja?

Moritz starał się odpowiedzieć, ale nagle zamilkł, a wskutek ogromnego zdumienia zmarszczyło mu się czoło. Zabrał Mii swoją rękę.

- Dlaczego o to pytasz?

- Bo to ważne.

- A czego twoim zdaniem mogła chcieć ode mnie policja?

- Moritz, daj spokój, nie o to chodzi.

- Mia, czy ty mnie słuchałaś?

- Powiedz mi, czego chciała od ciebie policja.

- Mia, ja ją znalazłem. Rozumiesz? Jestem świadkiem. Dlatego policja chciała ode mnie zeznania jak od świadka. Mia, czy to brzmi logicznie? Wystarczająco logicznie jak dla ciebie?

- Moritz!

- Jesteś moją siostrą. Obiecałaś, że mi uwierzysz.

Oboje zerwali się z miejsc. Mia pobiegła za nim, gdy nagle ruszył do drzwi. Jego plecy były rzeźbą, na którą składały się rozpacz i wściekłość.

- Bardzo mi przykro - zawołała. - Martwię się o ciebie. Nie wiesz, jak to jest. Ciągłe zmartwienia! Porozmawiajmy. Możesz tutaj przenocować!

Ale już go nie było.

- Moritz, przecież to jest twój dom - powiedziała Mia do zamkniętych drzwi. - Przecież ja jestem twoim domem.

Nasz dom

Mia nadal przyciska policzek do drewna drzwi i szepcze coś o Moritzu i domu, i że to wszystko nie może być prawdą, kiedy dzwonek rozlega się po raz kolejny, ostro, ostro, ostro. Mia otwiera drzwi, ale nie ma już nocy, jest za to jasny dzień, na zewnątrz zaś nie stoi Moritz, tylko teraźniejszość, tym razem w postaci trójcy. Wszystkie trzy kobiety mają na ustach maseczki; dwie panie cofają się o krok, aby stworzyć dystans między sobą a Mią.

- Mia - woła ta, która się zatrzymała - ja nie chciałam tutaj przychodzić!

- Driss, to się nie godzi - gdera Pollsche. - Umówiliśmy się, że będziemy tu pilnować wspólnej sprawy.

- Ja nie - mówi Driss, a do Mii: - One mnie zmusiły.

- Moje drogie, pozwólcie mi mówić - mówi Lizzie. - Po pierwsze: dzień dobry, pani Holl.

- Dzień dobry - odpowiada beźmiernie znużona Mia.

Domyśla się, czego chce od niej delegacja sąsiadek.

Jedynie z powodu płaskich oczu Driss nie zatrzasnęła jeszcze drzwi. Nad białą maską odzwierciedlają one

sympatię, która uzależnia. Poza tym Mia chce się dowiedzieć, jaka jest konkretna przyczyna tej niespodziewanej wizyty.

- Takie wspaniałe zdjęcie - mówi Driss. - Mia, tak pięknie pani wygląda. I to od razu na pierwszej stronie! - Kiedy się odwraca i wyciąga rękę po egzemplarz dziennika NA ZDROWY ROZUM, aby pokazać go Mii, Pollsche zabiera jej gazetę.

- To znaczy, że NA ZDROWY ROZUM zamieścił moje zdjęcie?

Mia również wyciąga rękę, co każe Lizzie i Pollsche cofnąć się jeszcze dalej.

- Przede wszystkim dzisiaj przyszło tutaj to. - Lizzie wyciąga z kieszeni fartucha list i trzyma go oburącz. Gdyby Bóg nie umarł, można by pomyśleć, że chce ona przeczytać jego słowa. - Data, dotyczy wzmiankowanej wyżej sprawy, i tak dalej. Proszę. „Niniejszym mieszkanka państwa domu otrzymała upomnienie na mocy ustawy o ochronie zdrowia. Zwracamy uwagę, że ta okoliczność może w przyszłym roku wpłynąć na nieprzyznanie państwu plakietki «domu pod opieką»”.

- Mnie ten list jest obojętny - mówi Driss. - Ale artykuł jest piękny. Autorstwa pani przyjaciela. Czy on jeszcze kiedyś panią odwiedzi?

- Ten list nie jest obojętny - odzywa się Pollsche zza pleców Lizzie. - Pani Holl, to nie jest tylko pani dom.

- To NASZ dom - dodaje Lizzie. - Włożyliśmy w niego mnóstwo pracy.

- Troski. Dbalości o czystość.

- Nie mówimy tak wyłącznie pod pani adresem. To tylko dlatego, że również ogół musimy prosić o zrozumienie.

- Proszę mi podać tę gazetę - mówi Mia.

- Dla ogółu byłoby lepiej, a dla pani osobiście zapewne również - mówi Lizzie - gdyby pani, no, gdyby pani zmieniła miejsce zamieszkania.

- Słucham? - dziwi się Mia.

Z pokoju dobiega ją śmiech idealnej kochanki.

- Mia, jeśli o mnie chodzi, może pani tu zostać - mówi Driss. - Uważam, że to wspaniałe, że jest pani siostrą takiej sławy jak Moritz Holl.

- Driss, czyś ty zwariowała? - pyta Pollsche. - Chcesz, żeby jeszcze i ciebie wystawili na pokaz?

- W następnej kolejności ty znajdziesz się w gazecie - mówi Lizzie.

- Idźcie już sobie - prosi Mia.

- Wręcz przeciwnie - woła Pollsche - to pani niech sobie idzie!

- Zostawcie mnie w spokoju! - krzyczy Mia.

Kiedy wychodzi na klatkę schodową, sąsiadki rzucają się do ucieczki. Pollsche w przerażeniu upuszcza gazetę. NA ZDROWY ROZUM zostaje na podeście schodów.

Zagrozenie wymaga czujności

NA ZDROWY ROZUM , poniedziałek, 14 lipca:

Zagrozenie wymaga czujności
Komentarz Heinricha Kramera

Optymizm jest cnotą. Wczoraj wieczorem jednak terroryści ponownie wystosowali groźbę pod adresem władz, co unaocznia, że współczesnych problemów niepodobna rozwiązać wyłącznie cnotą.

Zagrozenie naszego kraju przez radykalne grupy oporu rośnie z dnia na dzień. Już najwyższy czas, aby politycy i opinia publiczna spojrzeli faktom w twarz. Są wśród nas ludzie, którzy wiedą zupełnie bezbarwne życie, a jednak mają w sobie gotowość do prowadzenia brutalnej walki z METODĄ, tym samym więc z każdym z nas. Sąsiedzi, znajomi, koledzy i kumple, sprawiający wrażenie beztroskich, mogą w każdej chwili zostać zaktywizowani do uczestnictwa w zamachu. Ze względu na maskowanie się terrorystów w codziennym życiu prywatnym i zawodowym bardzo trudno ustalić typologię sprawców. Służba

Bezpieczeństwa METODY posiada rozległą wiedzę o źródłach operacyjnych, planach agitacji i strukturach komunikacyjnych w komórkach RAK - u. Jednakże sieć sympatyków, poszczególnych rozfanatyzowanych bojowników i niezależnych grup oporu jest rozległa i nawet przy najstaranniejszej pracy Służby Bezpieczeństwa trudna do ogarnięcia.

Ze względu na bezpieczeństwo nie można na razie ujawnić konkretnych treści zawartych w najnowszej groźbie wystosowanej pod adresem METODY. Zaufane źródła podejrzewają, że chodzi o zapowiedź ataku przy użyciu broni biologicznej. Jak powszechnie wiadomo, nasze urządzenia oczyszczające powietrze i ujęcia wody pitnej w dalszym ciągu stanowią obszar zagrożony atakiem i wprowadzeniem do nich bakterii oraz wirusów.

Nie można w tej chwili powiedzieć nic dokładniejszego o domniemanych sprawcach i poplecznikach weekendowego zagrożenia. Eksperci podejrzewają jednak, że ma to związek ze śmiercią dwudziestosiedmioletniego studenta Moritza Holla. Niedawno trafił on pod lupę Służby Bezpieczeństwa METODY. Chociaż ponad wszelką wątpliwość udowodniono mu zamordowanie młodej kobiety, nieustannie zapewniał o swojej niewinności, co spowodowało olbrzymi zamęt w prasie (donosił o tym również dziennik NA ZDROWY ROZUM). W maju bieżącego roku Moritz Holl, popełniając samobójstwo, uciekł przed dalszą ingerencją władz. Jego osławione zdanie „Składacie mnie w ofierze na ołtarzu waszego zaślepienia” stało się ulubionym hasłem kręgów

krytycznych wobec METODY.

Według najnowszej wiedzy Moritz Holl przeszedł w dzieciństwie ciężką chorobę. „Zawsze czuł się niezrozumiany – mówi jego siostra Mia Holl. – Przez rodziców, przez przyjaciół, przeze mnie. Jako dziecko częściej rozmawiał ze zwierzętami i roślinami niż z rodziną”. Te i inne przesłanki wskazują na to, że Moritza Holla należy zaklasyfikować jako zagrażający bezpieczeństwu wrogi element, którego śmierć posłuży RAK – owi jako okazja do dalszych akcji.

„Problemem nie jest to, czy wybuchnie bomba atomowa, lecz kiedy” – powiedział dzisiaj rano na konferencji prasowej minister bezpieczeństwa wewnętrznego. Władze czynią wszystko, aby ochronić każdego poszczególnego obywatela. Zdane są jednak na nasze wsparcie. Pożądana jest obywatelska czujność. Służba Bezpieczeństwa METODY musi obchodzić wszystkich i nie może zmarnieć jako bezradna samozłuda systemu mającego na względzie powszechne dobro i umiowanie pokoju. Obywatele, miejcie oczy otwarte!

Czarownica jeżdżąca na płocie

Idealna kochanka przeczytała to łagodnym głosem. Tyrady Kramera brzmiały w jej ustach niczym wersy jakiegoś eposu. Kiedy skończyła czytać, Mia, siedząca znów na hometrainerze i wściekle nadrabiająca brakujące na liczniku kilometry, klaszcze z zachwytem.

– Brawo! Majstersztyk! „Zawsze czuł się niezrozumiany, mówi jego siostra Mia Holl”. To wielki artyzm.

– Takiego zuchwalstwa świat jeszcze nie widział – wybucha idealna kochanka, której policzki są z gniewu całe w plamach.

– Takie zuchwalstwo świat ogląda dzień w dzień – oponuje Mia. – Wystarczy zerknąć do dowolnej gazety będącej na rynku.

– Czy ty rozumiesz, co ci przed chwilą przeczytałam?

– Agitkę podburzającą do walki z wrogami METODY.

– Nie. Personalne oskarżenie ciebie.

– Przesadzasz. – Mia ponownie podejmuje jazdę na rowerze i gwałtownie naciska pedały. – Nie miałam pojęcia, że urojenia mogą cierpieć na urojenia.

- Mia, ty nic nie rozumiesz. On oficjalnie nazwał Moritza terrorystą, a ciebie wymienił z imienia i nazwiska. To oznacza koniec twojej anonimowości. Co zamierzasz teraz zrobić?

- Zrobić? - Mia się śmieje. - Jak to zrobić? Siedzę tutaj i wypełniam swoje obowiązki sportowe, podczas gdy świat kręci się wokół mnie, zdążając spiralnie ku nieznanemu celowi. Jak widzisz, wszystko to jest wystarczająco złe. Nie muszę już niczego robić.

- Ty zawsze chcesz, żeby wszystko było beztrioskie. Moritz był dzieciakiem, prawda? A Kramer? On pewnie jest politycznym fantastą? Ty natomiast, ty jesteś nieposzlakowaną obywatelką na rowerze? Powiem ci, kim jesteś. Tchórzem. Całe to twoje racjonalizowanie, twoje za i przeciw, twoje wiem lepiej albo i najlepiej służy wyłącznie jednemu celowi: żebyś przez całe życie mogła wzruszać ramionami.

- Od wzruszania ramionami jeszcze nikt nie umarł. A z powodu bohaterstwa, idei i samopoświęcenia świat upadał już wielokrotnie. Czego ty ode mnie chcesz? Czy mam się wychylić z okna, zażądać głowy Kramera i wywołać rewolucję?

- To nie najgorsza wizja.

- Wystarczy! - Ton głosu Mii zdradza, że pod tą drwiną kryje się prawdziwa wściekłość. - Mam dość tej twojej czczej gadaniny.

- Mogę też mówić konkretniej. - Idealna kochanka musi kilkakrotnie głębiej odetchnąć, aby się uspokoić. - Krok

pierwszy: Zrozumiesz, że Moritz padł ofiarą METODY i że ten cały Kramer miał w tym swój udział. Krok drugi: Wypowiesz następujące zdanie „METODA zabiła mojego brata i tym samym obnażyła się jako system bezprawia”. Krok trzeci: Zadzwonisz do Rosentretera. Krok czwarty: Oskarżycie Kramera o złośliwe oszczerstwo. Krok piąty: Poszukacie jakiegoś wolnomyślnego dziennikarza i udzielicie mu wywiadu, w którym wyjaśnisz...

- O - szydzi Mia - wtedy dopiero ten Kramer naje się strachu. Moja idealna kochanko, to wspaniała propozycja. Do bezskuteczności ludzkich dążeń dojdzie jeszcze śmieszność tej próby.

- Widzisz? Atakujesz krok czwarty i piąty, nie zwróciwszy nawet uwagi na pierwsze dwa. Mia, ty się boisz. Gdybyś wykonała pierwsze dwa kroki, gdybyś wreszcie przyznała się do swojego brata, cała reszta nie wydawałaby ci się już śmieszna.

To trafiło w dziesiątkę. Czasem zdarza się, że ktoś w brutalny sposób ma rację i że owo posiadanie racji czyni zbędną każdą odpowiedź. Przerywa to wieczne krążenie „z jednej strony - z drugiej strony”. Następuje wręcz niebiański spokój. Mia patrzy w dół, przygląda się swoim stopom uruchamiającym pedały i przez kilka sekund nie myśli o niczym.

- Mia, czy wiesz, kim jest czarownica¹?

Zagadnięta Mia podnosi głowę i musi zadać sobie sporo trudu, aby skupić się na tym nowym pojęciu.

- Czarownica, z garbem i miotłą? Która kończy

w piekarniku albo na stosie?

- To słowo pochodzi od słowa „Hagazussa”. A mowa o zjawie siedzącej na płocie. Istocie żyjącej na płotach. Pierwotnie jej miotła była rozwidloną sztachetą z płotu.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Mia, płoty i żywopłoty to granice. Czarownica jeżdżąca na płocie znajduje się na granicy między cywilizacją a stanem naturalnym. Między doczesnością i światem pozaziemskim, między życiem i śmiercią, ciałem i duchem. Między Tak i Nie, wiarą i ateizmem. Ona nie wie, do którego królestwa należy. Jej królestwem jest Pomiedzy. Czy to ci kogoś przypomina?

Mia nie odpowiada. Schodzi z hometrainera i staje przy oknie. Na skrzynce z kwiatami ląduje ptak, który rozczarowany dziobie sztuczne kwiaty, po czym z wyrzutem patrzy na Mię i odfruwa.

- Kto nie udziela sobie ostatecznej odpowiedzi na pytanie: *which side are you on* – mówi idealna kochanka – staje się outsiderem. A życie outsiderów jest niebezpieczne. Od czasu do czasu władza potrzebuje przykładu, pozwalającego jej dowieść własnej siły. Zwłaszcza gdy w sercach wiara słabnie. Outsiderzy się do tego nadają, bo sami nie wiedzą, czego chcą. Są jak owoce spadłe z drzew.

- Przecież ja nie jestem outsiderką – słabo protestuje Mia.

- W głębi duszy uważasz, że kontakty z innymi ludźmi to strata czasu. Z kilkoma wyjątkami, z których jedna połowa nie żyje, a druga to twoi śmiertelni wrogowie. Co wystarczy, żeby być outsiderem.

Podczas gdy zewnętrzna Mia z uporem zachowuje się tak, jakby nie rozumiała, do czego zmierza idealna kochanka, ta wewnętrzna jest zajęta trudnym zadaniem przyznawania jej racji we wszystkich punktach. Oczywiście Mia wie, o co chodzi. METODA jest ufundowana na zdrowiu obywateli i traktuje je jako normalność. Ale co jest normalne? Z jednej strony wszystko to, co się dzieje, co jest dane i powszednie. Z drugiej strony jednak słowo „normalny” oznacza coś normatywnego, a zatem pożądanego. W ten sposób normalność staje się mieczem obosiecznym. Można mierzyć człowieka tym, co jest dane, i dojść do wniosku, że jest on normalny i zdrowy, w konsekwencji więc dobry. Albo też można ustanowić miarą to, co pożądane, i stwierdzić, że dany człowiek poniósł porażkę. Jak kto woli. Dopóki jest się członkiem wspólnoty, taki miecz służy obronie. Ale gdy tylko człowiek znajdzie się na zewnątrz, stanowi on straszne zagrożenie. I sprowadza chorobę.

Kiedy Mia wkracza do jakiegoś publicznego pomieszczenia, niezależnie od tego, czy jest to hipermarket, superszybki pociąg czy jej miejsce pracy, nigdy nie ma poczucia, że wkracza do uwitego gniazda. Nie wbiega, nie krzyczy „witajcie”, nie poklepuje nikogo po plecach ani nie pyta, gdzie jest jej kawałek ciasta. Przeważnie ma nadzieję, że nikt jej nie widzi. W niektóre dni, zanim wyjdzie z mieszkania, nasłuchuje na klatce schodowej, czy nikogo tam nie ma. Mia potrzebuje czasu i przestrzeni dla siebie i swoich myśli. Zamiast iść po pracy na wspólne zajęcia, woli wrócić do domu. Wiezorami siedzi na hometrainerze, a nie

w kierownictwie klubu sportowego. Rozmawia z niewidoczną zjawą, a nie z najlepszą przyjaciółką czy małżonkiem.

Idealna kochanka chce powiedzieć, że Mia jest dokładnie taka sama jak Moritz. Tyle że Mia usiłuje swoje bycie inną ukryć za szczególną wiernością wobec systemu, podczas gdy Moritz się z tym obnosił niczym z trofeum i wystawiał je na pokaz. Nikt jeszcze nigdy nie nazwał Mii „nienormalną”. Ale nikt też nie nazwałby jej „normalną”. Mia siedzi na płocie.

- Chcesz mnie ostrzec? - pyta.

Idealna kochanka bez słowa potakuje głową.

- To miłe - mówi Mia - ale zbędne. Nie można wyszukać sobie swojego miejsca w życiu. Przynosi się ze sobą jedynie deski. Dom, w którym potem spędza się dni żywota, budują inni.

- Zawsze pozostaje jedna decyzja - mówi idealna kochanka. - Można być sprawcą albo ofiarą.

Mia odpowiada zdaniem, na które idealna kochanka reaguje z rozpaczą, ukrywszy głowę w ramionach:

- Uważam, że i jedno, i drugie jest zdecydowanie niewesołe.

Sierść i rogi, część druga

Oczywiście, że to jest niewesołe – powiedział Moritz. – Dlatego wolę nie być ani jednym, ani drugim. Jak zresztą w większości przypadków.

Na znak pojednania również Mia ściągnęła buty i skarpetki, a potem podwinęła nogawki spodni. Siedząc obok siebie, dyndali nogami zanurzonymi w rzece.

– Poza tym wtedy, w nocy, usłyszałem jeszcze, co powiedziałaś. – Moritz dał jej lekkiego kuksańca w bok. – Przy drzwiach.

– Że jestem twoim domem?

Wędka upadła na ziemię, ponieważ Moritz nagle przytulił Mię do siebie tak mocno, że prawie zniknęła w jego ramionach. Największe przekleństwo człowieka polega na tym, że najszcześniejsze chwile życia rozpoznaje dopiero ponieważ.

– Dajesz sobie radę? – zapytała Mia, kiedy już ją puścił.

– Chyba tak. Nie studiuje się przez pół życia filozofii, żeby potem nie móc uporać się ze zjawiskiem śmierci.

Moritz podniósł palec wskazujący i zaczął deklamować

z wyrazem twarzy, który miał dowieść, że znowu jest jak zawsze.

- Przybywamy z mroku i odchodzimy w mrok. Pomiędzy tym są przeżycia. Ale nie przeżywamy początku ani końca, narodzin ani śmierci. Nie mają one subiektywnego charakteru, lecz całkowicie wkraczają w obszar tego, co obiektywne. Tak to jest.

Mia nie mogła się powstrzymać od śmiechu, rozpoznała bowiem naśladowanego profesora.

- Żyje się więc dla siebie, a umiera dla innych - powiedziała.

- To jest w tym piękne - powiedział Moritz. - Inaczej byłaby to katastrofa. Gdy się żyje dla siebie, nie wolno tylko zapominać o tym, aby bardzo często lawirować, tak żeby schodzić innym z drogi. Bo wiesz, co oznacza każde spotkanie z innym człowiekiem?

- W twoim wypadku zapewne kłótnię.

- Przymus decyzji. Albo popełniasz zdradę wobec siebie, albo mówisz, co myślisz... i sam narażasz się na niebezpieczeństwo.

- Przecież zawsze tak było - powiedziała niecierpliwie Mia, gdyż wcale się jej nie uśmiechało burzyć dobrego nastroju dyskusją polityczną. - To nie ma nic wspólnego z METODĄ.

- Właśnie mówię! To się zaczyna, kiedy wsiadasz do pociągu. Może chcesz głośno zaśpiewać piosenkę albo pocałować kobietę z torbami pełnymi zakupów, a może też nie masz ochoty zapłacić za bilet, bo jest stanowczo zbyt drogi. Ale płacisz, milczysz, siadasz, wyciągasz NA ZDROWY

ROZUM i ukrywasz za nim twarz.

Wiesz, dlaczego nigdy nie przyłączyłbym się do żadnej grupy, na przykład do RAK - u, gdyby taka grupa w ogóle istniała? Moim problemem byłoby dokładnie to samo co w życiu z METODĄ. Zmuszano by mnie do myślenia, mówienia bądź czynienia określonych rzeczy. A jedyne moje roszczenie dotyczy mojej osobistej rzeczywistości. W moim umyśle Sybille żyje dalej. W moim umyśle istnieje wolność. W moim umyśle ludzie tańczą, piją i świętują nocami na ulicach, a policjanci stoją obok, gawędzą i tylko się przyglądają. Kiedy jakiś okoliczny mieszkaniec przychodzi ze skargą na hałas, policjant leniwie podnosi głowę i mówi: „Jeśli to panu przeszkadza, proszę wezwać policję”.

Moritz się zaśmiał, wygrzebał papierosa z kieszeni i zapalił. Mia zmarszczyła czoło, nie zareagowała jednak.

- Nie chcę się spierać - powiedziała. - Ale twoja prywatna rzeczywistość powoduje, że nie stawiasz czoła rzeczywistości ogółu.

- Bardzo słusznie. - Moritz zacisnął papierosa między zębami i ponownie zarzucił wędkę. - Trzeba migotać: subiektywnie, obiektywnie. Subiektywnie, obiektywnie. Dostosowanie się, opór. Włączenie, wyłączenie. Wolny człowiek przypomina niesprawną lampę.

Zanim Mia zdążyła odpowiedzieć, coś zaszeleściło w zaroślach. Podniosła głowę i pomyślała o sarnach lub olbrzymich bakteriach z sierścią i rogami, ale na polanę wszedł umundurowany policjant. A potem kolejny. I jeszcze jeden. Moritz przeraził się do tego stopnia, że nawet nie

wrzucił do wody zapalonego papierosa. Nie minęła sekunda, a funkcjonariusze poderwali go na nogi, wykręcili mu ręce na plecy i zakuli w kajdanki.

- Panie Holl - powiedział pierwszy policjant - jest pan podejrzany o zgwałcenie i zamordowanie Sybille Meiler.

- Ma pan prawo milczeć - dodał drugi. - Wszystko, co pan powie, może zostać przed sądem wykorzystane przeciw panu.

- Ma pan prawo do adwokata - wtrącił pierwszy.

- Puśćcie go! - krzyknęła Mia.

- Jeśli coś pani przeszkadza - powiedział Moritz, utkwiwszy zrozpaczony wzrok w siostrze - niech pani wezwie policję.

- Przepraszamy za zaistniałe nieprzyjemności - usprawiedliwił ich trzeci policjant.

Prawo do milczenia

A potem już go nie było – mówi Mia do rzeki. – Jestem pewna, że w więzieniu tęsknił do ciebie i do twoich ryb.

Mia zdejmuje buty i skarpetki i macha nogami w wodzie. Miejsce obok niej jest puste. Nie zrezygnowała z cotygodniowych spacerów, również bez Moritza. Ten zwykły odcinek drogi stał się drogą krzyżową mającą różne stacje. Tablicę ostrzegawczą, poszycie leśne, wydeptaną ścieżkę. A na samym końcu „katedrę”, zbudowaną z polany i rzeki.

– Prawdopodobnie po raz drugi oddałby życie, żeby móc cię znów ujrzeć.

Mia tak zazdrośnie uderza podszwami stóp o wodę, że ta aż tryska. Rzeka niewzruszenie płynie dalej. Kiedy coś szeleści w zaroślach, Mia wpada w takie przerażenie, że nawet nie wrzuca do niej zapalonego papierosa. Na polanie dzieje się coś, co przypomina koszmar senny.

– Pani Holl – mówi pierwszy policjant. – Jest pani podejrzana o działania wrogie METODZIE, jak również o przewodzenie wrogiemu jej stowarzyszeniu.

Zanim Mia zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje, funkcjonariusze stawiają ją na nogi i wykręcają ręce na plecy.

- Na kogo pani tutaj czekała? - pyta drugi policjant.

- Ma pani prawo milczeć - recytuje pierwszy. Drugi chwytą ją mocniej, aż Mia wydaje z siebie okrzyk.

- Dalej! - woła. - Z kim pani się tutaj spotyka?

- Z nikim - mówi Mia. - Pozwólcie mi włożyć buty.

- Przepraszamy za zaistniałe nieprzyjemności - usprawiedliwia ich trzeci policjant.

Mia prawą ręką dotyka miejsca na plecach, które do tej pory wydawało się nieosiągalne. Obcy kciuk przyciskający jej krtań zwalnia ją z obowiązku krzyczenia. Z bólu wirują w polu widzenia Mii białe plamy. Wspólnymi siłami umundurowani policjanci wloką ją przez „katedrę”.

Sprawa wyjątkowa

Doszły meble – meble i ludzie. Więcej stołów, krzeseł i ciężkich pulpitów, więcej czarnych manekinów i po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu Mii kilku obserwatorów w cywilnych ubraniach. Ekipa dziennikarzy wypakowuje sprzęt. Sala wydaje się większa. Jest to główna sala rozpraw. Na przedzie Mia widzi sędzię Sophie z jasnym końskim ogonem i skłonnością do nerwowego pogryzania ołówka. Ponadto oskarżyciela publicznego, prokuratora Bella, który jak zwykle wsparty rękami o krawędź stołu, obnosi się z pogardliwą miną, ponieważ ma urzędowo zagwarantowane prawo do tego, żeby wszystko wiedzieć lepiej niż reszta świata. W pierwszym rzędzie ławek dla publiczności siedzi Kramer i nieporuszenie przygląda się Mii, jakby za nią tęsknił. Od czasu do czasu macha do niej ręką. Poza tym Mia zna oczywiście Lutza Rosentretera. Spóźniony, zajmuje miejsce obok niej i porządkuje swoje dokumenty, których przyniósł całe mnóstwo. Unika kontaktu wzrokowego z obecnymi w sali i sprawia wrażenie zadowolonego, jakby w myślach był zajęty znacznie przyjemniejszą sprawą.

- Sędzia Hutschneider jako zastępca przewodniczącego - mówi Rosentreter cicho do Mii, w dalszym ciągu przeglądając dokumenty. - Sędzia Weber z Krajowej Izby Służby Bezpieczeństwa METODY. Dwóch ławników, urzędniczka z biura i protokolant. Lekarz i straż Służby Bezpieczeństwa, która ma cię pilnować. Cały teatr, na twoją cześć. Możesz być z siebie dumna.

W istocie Mia czuje mieszaninę lęku i bezsensownej radości, niczym dziecko w przeddzień własnego przyjęcia urodzinowego zakrojonego na wielką skalę. Chciałaby tylko, żeby jej świąteczna sukienka była nieco wygodniejsza. Mia ma na sobie białe papierowe ubranie, które szeleści przy każdym ruchu. Zbliża się lekarz, żeby po raz trzeci tego dnia spryskać ją środkiem dezynfekcyjnym. Na polecenie jednego z ławników odczytuje chip umieszczony w jej ramieniu.

- Koniec z tymi małymi kroczkami i usługnymi próbami niesienia ci pomocy - mówi Rosentreter. - W Służbie Bezpieczeństwa METODY mają klasę.

- Gdzie byłeś przez cały czas? - dopytuje się Mia. - Najpierw nie chcesz się ode mnie odczepić, a kiedy cię potrzebuję, to cię nie ma. O mało co wyznaczyliby mi innego obrońcę.

- Prowadziłem badania. Ich przedmiot był niezwykle ciekawy.

- Świetnie, że się doksztalcasz.

Rosentreter po raz pierwszy spogląda na Mię i jego twarz się rozpromienia. W obecnym stanie ducha najwyraźniej nie potrafi odczytać ironicznych podtekstów.

- Otwieram rozprawę - mówi Sophie i ogarnia salę spojrzeniem, które przenika Mię, jakby obie panie nigdy do tej pory się nie spotkały i również dzisiaj nie miały wobec siebie żadnych szczególnych zamiarów. - Stwierdzam obecność uczestników postępowania. Proszę o odczytanie aktu oskarżenia.

Bell podnosi się ceremonialnie z miejsca.

- *Santé*, panie i panowie. - Otwiera teczkę z dokumentami, chociaż zna tekst na pamięć. - Oskarżonej zarzuca się wrogie wobec METODY działania w zbiegu z przewodniczeniem stowarzyszeniu wrogiemu METODZIE. Dalej ponowne nadużycie substancji toksycznych w szczególnie trudnych okolicznościach. Prokuratura uzasadnia to, jak następuje. Po pierwsze: Oskarżona wygłasza publicznie i na gruncie prywatnym przemówienia wrogie METODZIE. Według zeznań świadka Kramera oskarżona jest przekonana o tym, że jej brat stał się ofiarą systemu. Według jej własnych zeznań właśnie z tego powodu odmawia dalszego podporządkowywania się prawodawstwu naszego państwa. Cytuję dosłownie wypowiedź Mii Holl. - Bell szeleści papierami. - „Stoję na stanowisku, że najlepiej poradzę sobie bez ingerencji władz. Chciałabym, aby instytucje reprezentujące METODĘ zostawiły mnie w spokoju”.

- Już dobrze - mówi Sophie. - Jest to fakt znany sądowi. Byłam przy tym.

- Po drugie: Oskarżona została schwytana w miejscu znanym Służbie Bezpieczeństwa METODY jako punkt

spotkań sympatyków RAK - u. Według zeznania patrolu Służby Bezpieczeństwa paliła tam papierosa.

- Sąd wie również o skłonności oskarżonej do recydywy - mówi Sophie z cynizmem, który do niej w ogóle nie pasuje.

- Na pytanie, z kim oskarżona umówiła się w miejscu spotkań wrogów METODY, oświadczyła, że z Nikim. Za kryptonimem Nikt kryje się najprawdopodobniej łącznik RAK - u.

- Absurdalna spekulacja - rzuca Rosentreter. - W najlepszym razie nadaje się na kalambur.

- Proszę poczekać na swoją kolej - upomina Sophie. - Mówię to tylko po to, żeby mógł pan uniknąć wykluczenia z postępowania.

- Wnioskuje o dopuszczenie do rozprawy świadka Kramera - mówi Bell. - Następnie prokuratura prosi o pozwolenie przeprowadzenia badania na okoliczność ustalenia zapatrywań oskarżonej.

- Zgoda - stwierdza Sophie. - A pański wniosek, panie mecenasie?

- O przerwanie postępowania - mówi Rosentreter. - Najpierw należy wyjaśnić wstępne pytanie dotyczące kompetencji sądu.

- Upiera się pan przy swoim wniosku o zakwalifikowanie sprawy jako wyjątkowej? - pyta Sophie, prawie nie kryjąc rozbawionego zdumienia.

- Absolutnie. W efekcie sąd może być uznany za nieobiektywny.

Przez salę przebiega szmer. Pani sędzia patrzy na

Rosentretera, który z dużą pewnością siebie odwzajemnia jej spojrzenie. Potem pochyla się do Hutschneidera i Webera, aby szeptem zamienić z nimi kilka zdań.

- Oddalam - mówi. - Proces będzie kontynuowany. Zalecam obronie, aby trzymała się reguł gry. W interesie swojej klientki. Pani Holl, proszę tu podejść w celu zbadania pani zapatrywań.

- Idź - mówi Rosentreter do Mii, która z nierozumną miną przysłuchuje się wygłaszanym kwestiom, jakby oglądała film obcojęzyczny. Dopiero gdy Rosentreter daje jej kuksańca w bok, Mia wstaje, okrąża w szeleszczącym ubraniu ławę oskarżonych i siada przy stoliku przed stołem sędziowskim.

- Czy muszę złożyć przysięgę? - pyta.

- Zaprzysięga się świadków, a nie oskarżonych - odpowiada Sophie. - Może powinna pani poszukać sobie adwokata, który poinformuje panią o procedurach. Na... następny raz.

- Pani Holl, najpierw prosimy panią o kilka danych osobowych - mówi Bell.

- Jestem przyrodniczką - stwierdza Mia - a nie terrorystką.

Publiczność w sali się śmieje, co pani sędzia kwituje, grożąc palcem.

- Proszę - mówi Bell. - Przecież pani tak lubi mówić.

Teraz ma pani po temu okazję. Co pani myśli o naszym systemie politycznym?

- Nauki przyrodnicze - wyjaśnia Mia - rozwiązały wielowiekowy związek między człowiekiem a tym, co

nadludzkie. Dusza, latorośl tego związku, została oddana do adopcji. Pozostało ciało, które czynimy ośrodkiem wszystkich swoich usiłowań. Ciało jest dla nas świątynią i ołtarzem, bożkiem i ofiarą. Zostało uświęcone i zniewolone. Ciało to wszystko. Ewolucja nieuchronnej logiki. Czy pan rozumie, co mówię?

- Nie - odpowiada Bell.

- Co do słowa - mówi Sophie. - Dalej.

- Kto potrafi zrozumieć nieuchronność rozwoju, nie widzi sensu w opieraniu się biegowi spraw. Chce pan rozmawiać ze mną o wrogach METODY? O RAKU - u? O rewolucji? - Mia ożywia się i podciąga rękaw papierowego ubrania. - Powiem panu, co myślę o rewolucji. Rewolucja jest wtedy, gdy grupa wielu ludzi buntuje się przeciw grupie nielicznych osób, które przez pewien czas miały prawo podejmować za nich różne decyzje, chociaż ci nieliczni niczym nie różnią się od tych wielu. Co by pan pomyślał na widok sfory wilków zagryzających na śmierć swojego przywódcę?

Mia odwraca się do Kramera, jakby jej wywody były przeznaczone wyłącznie dla niego. Kramer unosi podbródek, nakazując jej patrzeć w przód.

- Czas na nowego szefa, pomyślałby pan, natura reguluje swoje sprawy. To proste. Kiedy mówimy o rewolucji, o władzy i podległości, o polityce, METODZIE, ekonomii, o powszechnym i jednostkowym dobru, to choćbyśmy wymyślili jeszcze tysiąc innych pojęć, żeby zrozumieć, co wydaje nam się ważne i skomplikowane - zawsze pozostanie tylko jedno: relacje między ludźmi. Od kiedy w tej grze

przestali uczestniczyć bogowie, wszystko stało się niesłychanie banalne. Sfora wilków, która co kilka lat przepędza swojego przewodnika.

Bell zaczyna okazywać niepokój. Wydaje się, że pod toga rozpada się znów na kupkę kości.

- Nie sądzę - mówi - żebyśmy rozumieli pani wywody.

- Ja rozumiem - odzywa się Sophie. - Pani Holl wyjaśnia, że nie widzi sensu rewolucji wśród ludzi, którzy w naszym powszechnym rozumieniu nie różnią się od siebie nawzajem wartością. Włączę to zeznanie do uzasadnienia decyzji.

- Chwileczkę - mówi Hutschneider. - Pani Holl mówi również, że jej zdaniem to normalne, że sfora, to znaczy społeczeństwo, co kilka lat... odrzuca swoich... przywódców... swój rząd.

- Ale ja - woła Mia - nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Mój brat zarzucał mi, że nienawidzę ludzi i tylko dlatego jestem zwolenniczką METODY. Niewiele mogłam temu przeciwstawić. Faktem jest jedynie to, że jestem zwolenniczką METODY.

- Jeżeli opowiada się pani za daną formą państwa wyłącznie dlatego, że gardzi pani ludźmi, to gardzi pani również państwem - mówi przebiegle Hutschneider i przy każdej sylabie dźga długopisem powietrze.

- Czy to jest rozprawa sądowa, czy klub dyskusyjny? - rzuca pytanie Bell, sięgając ręką do kołnierzyka koszuli, jakby nagle powietrze w sali stało się dla niego zbyt duszne.

- Pierwsze ostrzeżenie - mówi Sophie.

- Nasz system uczy nas posługiwania się rozumem -

ciągnie dalej Mia. – We mnie wszystko jest rozumem. Już w szkole nauczono mnie rozpatrywać każdy problem przynajmniej z dwóch stron. Rozum rozkłada wszystko na dwie przeciwstawne części. Pod kreską tego rachunku znajduje się zero.

– Teraz znów nadążam – woła Bell. – Pani Holl wygłasza mowę w obronie rezygnacji z sumienia!

– Rozum czyni ze mnie przypadek graniczny, istotę znajdującą się Pośród. Instancję bez jakiegokolwiek możliwości podejmowania decyzji. Absolutnie nie jestem niebezpieczna.

– Wydaje mi się, że wręcz przeciwnie – wtrąca Hutschneider.

– Pani Holl – mówi Sophie i robi coś, czego nie robiła jeszcze nigdy wcześniej: chwyta włosy z tyłu głowy i rozwiązuje koński ogon. – Podczas jednej z naszych poprzednich rozmów omawialiśmy zależność między dobrem jednostki a dobrem ogółu. Czy mogłaby pani jeszcze raz przedstawić sądowi swój prywatny pogląd na tę kwestię?

– Państwo – zaczyna Mia posłusznie – powinno służyć naturalnemu dążeniu ludzi do życia i szczęścia. W przeciwnym razie władza nie posiada legitymacji. Musi być możliwe utożsamienie dobra jednostki z dobrem ogółu.

– Na to są skierowane usiłowania ogromnej liczby osób – przerywa jej Sophie. – Wydaje mi się, że z pewnym sukcesem.

– To dobrze – mówi cicho Mia. – Ale nie wiem, czy to wystarczy: z pewnym sukcesem. Może ta forma legitymacji

wymaga od ludzi czegoś niemożliwego: nieomyślności.

- Ot co! - raduje się Bell. - Teraz ją mamy. Pani Holl zmierza do tego, żeby błędy w stosowaniu METODY prowadziły do... prawa sprzeciwu. - Jego głos przechodzi w falset, wypada z rytmu. - Prokuratura prosi...

- Wniosek - odzywa się Rosentreter. Do tej pory siedział z półprzymkniętymi oczami, nie zdradzając, czy w ogóle śledzi przesłuchiwanie Mii. - Wnioskuje o włączenie do obecnego procesu materiału ze sprawy Moritza Holla, istotnego dla tego postępowania.

Kiedy spojrzenia Mii i Sophie się spotykają, na moment zalega cisza. Na polach za miastem bezgłośnie zapadają się zmurszałe płoty. Aż po horyzont obracają się wiatraki, powoli i ociężale, a każdy obrót wygląda tak, jakby to rotory wytwarzały wiatr, a nie były przez niego poruszane. A przecież to tylko wiatr, myśli Mia, tylko wiatr sprawia, że pali się tutaj światło, podczas gdy ludzie wzajemnie sprawdzają swoje zapatrywania. Świat, myśli Mia, odbija się po zewnętrznej stronie mojego rozumu. Kiedy ta chwila mija, nie pamięta nawet, czego dopiero co zażądał Rosentreter. I tak nie zrozumiała sensu jego wniosku.

- Zgoda - mówi Sophie.

Tym samym podpisuje na siebie zawodowy wyrok śmierci. Ironicznie myśli, że niezadowolenie Hutschneidera i Webera w tej sytuacji stanowi dla niej największy problem. Obaj będą na nią wściekli. Włączenie materiału z innego procesu przedłuży postępowanie, chociaż panuje zgoda co do tego, że Rosentreter, ten miły chłopak, wdał się w sprawę, która już

dawno przerosła go o głowę. Ze względu na naciski polityczne ta sprawa stała się już wystarczająco trudna dla przeciążonego obrońcy. Mimo to Sophie może jedynie pozwolić adwokatowi, aby zaprezentował swoje intermezzo. Po pierwsze, jest to decyzja właściwa z prawnego punktu widzenia, ponieważ nie tylko oskarżona, ale także prokuratura ciągle mówi o Moritzu Hollu. Po drugie, Rosentreter najwyraźniej wykonał mnóstwo roboty. Sophie bardzo go żał, gdy tak siedzi z rozłożonymi przed sobą dokumentami i zapewne nie wie, od czego zacząć. Jego z trudem powściąganą radość pani sędzia mylnie tłumaczy sobie jako zdenerwowanie.

Podobnie jak Rosentreter uważa siebie za miłego człowieka, jak zresztą myślą również inni ludzie, Sophie wydaje się sobie i wszystkim, którzy ją znają, zacna. Do bycia zacnym należy bezwarunkowe usiłowanie robienia wszystkiego w sposób właściwy. Kto jest zacny, musi daną sprawę wszechstronnie naświetlić, nawet jeśli oskarżona jest niesympatyczna, a panowie Bell, Hutschneider i Weber spóźniają się na obiad. Kto jest zacny, musi szanować pracę innych ludzi, chociaż się pocą, zrzucają dokumenty z ławy oskarżonych i nie znajdują wejścia, do którego mogliby włożyć przyniesioną ze sobą kartę pamięci. Takimi rozważaniami, potrzebującymi dla przewędrowania przez ludzki umysł o dziwo zaledwie kilku ułamków sekundy, Sophie, która na nic nie może nic poradzić, rzuca się na zatracenie.

Wreszcie Rosentreter znajduje na swoim pulpicie właściwy

obraz. Twarz Mii znika z ekranu. Ukazuje się za to Moritz, ładny, młodzieńczy, z łobuzerskim uśmiechem i oczami, z których, jak to się mówi, wзира szelmostwo. Nieprzygotowana na to Mia odwraca wzrok i zasłania twarz dłońmi. Rosentreter podnosi palec wskazujący. Obraz się zmienia, a salę rozpraw zalewa osobliwe zdjęcie. Widać okrągłe szkiełko, pod którym pływają liczne twory przypominające ziarenka. Pokręcone ciała otaczają granulki czerni i biaława otoczka.

- Krew - mówi Rosentreter. - Jednakże szczególnego rodzaju.

Znów unosi palec wskazujący. Następne zdjęcie ukazuje duże nagromadzenie białych pęcherzyków, wśród nich kilka czerwonych.

- Białe ciała krwi są bardzo namnożone. Wyraźnie widać leukocyty.

- Co to ma być? - pyta Bell. - Seminarium diagnostyki klinicznej?

- Musimy pana prosić, aby zechciał pan przejść do rzeczy - mówi Hutschneider, który posyła złe spojrzenia na zmianę to pani sędzi, to obrońcy.

Na ekranie ukazuje się grafika przedstawiająca kolorowe prostokąty i koła, opatrzone skrótami AML, ALL i CLL.

- Komórki białaczkowe namnażają się w szpiku kostnym - mówi Rosentreter. - Mogą następnie przenikać do wątroby, śledziony oraz węzłów chłonnych i upośledzać ich funkcję. W wieku sześciu lat u Moritza wystąpiły takie symptomy jak bladość, osłabienie i bóle kostne. Pojawiła się również

skłonność do występowania nagłych zasinień.

- Całe ciało miał w sińcach - mówi Mia. - Zawsze wyglądał tak, jakby go ktoś pobił.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie! - mówi Bell. - Nie rozumiem, co to żalosne przedstawienie...

- Transplantacja komórek macierzystych - ciągnie niewzruszenie Rosentreter - jest jedną z typowych metod terapii, obok zastosowania przeciwciał monoklonalnych i leków.

W sali następuje poruszenie, którego Rosentreter z rozmysłem stara się nie słyszeć. To, że przewodnicząca rozprawie pani sędzia zaczyna pogryzać ołówek, każe mu zwiększyć tempo wywodu.

- Klasycznym sposobem transplantacji komórek macierzystych jest przeniesienie czerwonego szpiku kostnego. Dawniej znajdowanie zgodnych dawców było niesłychanie trudne. Dzięki METODZIE dysponujemy dzisiaj bankami danych, w których są odnotowane cechy tkanek wszystkich obywateli. Od tej pory istnieje możliwość anonimowego przekazywania szpiku kostnego. Z uprawnioną dumą możemy powiedzieć, że u nas od dawna nikt nie umiera na białaczkę!

- To bardzo pocieszające - mówi Sophie. - Ponieważ jednak nie widzę, co te wywody miałyby wniesć do sprawy, odbieram panu głos.

- Jeszcze tylko kilka zdań! - woła Rosentreter. - Właściwa transplantacja nie jest spektakularna. Transplantat zostaje za pomocą cewnika przeniesiony do organizmu biorcy. Nowy

szpik kostny sam znajduje drogę do kości i mniej więcej po dziesięciu dniach zaczyna produkować świeże ciała krwi.

- Dość tego! - woła Bell.

- Może wezwiemy służbę porządkową... - podsuwa Hutschneider.

- Albo od razu strażników Służby Bezpieczeństwa - dodaje Weber.

- Pani przewodnicząca - odzywa się Kramer z miejsc dla publiczności. - Usilnie proszę o natychmiastowe zakończenie tego wykładu.

W ogólnym rozgardiaszu jego głos brzmi tak donośnie, że wydaje się dobywać nie z ludzkiej krtani, lecz raczej z sufitu. Publiczność przestaje szemrać. Natomiast postać Kramera zupełnie nie pasuje do władczej siły jego słów. Siedzi wyprostowany jak świeca, ręce trzyma na kolanach. Zbladł i nawet kiedy już kończy mówić, jego wargi poruszają się bezgłośnie dalej, jakby sam sobie wyjaśniał, co się wokół niego dzieje. Sprawia wrażenie człowieka, którego po raz pierwszy w życiu zaskoczył bieg wydarzeń. A przecież jest jedyną osobą w tym pomieszczeniu, która natychmiast zrozumiała, do czego zmierza Rosentreter. I co odkrył. Kramer i Mia patrzą na siebie. Teraz mógłby wyszeptać niemymi wargami: „Ten system jest ludzki. Ale oczywiście ma pewne luki”.

- Panie Kramer - ucina Sophie. - Pan nie jest uczestnikiem postępowania. Nie ma pan prawa się tu wypowiadać.

Gdyby teraz przefrunęła przysłowiowa mucha - wszyscy by ją usłyszeli. Nawet Rosentreter zastygł przed ekranem

niczym posąg, a następne zdanie uwięzło mu w gardle.

- Przepraszam za to na wszelkie sposoby - odpowiada Kramer. - Niestety nie mogę inaczej...

Kiedy Kramer się podnosi, na twarz Rosentretera wraca życie.

- Po transplantacji człowiek chory na białaczkę ma grupę krwi dawcy! - Rosentreter wysforowuje się do przodu niczym uciekinier, który widzi już tylko jedną możliwość dotarcia do celu przed kulą snajpera: prędkość. - Przejmuje także jego układ odpornościowy. I przejmuje...

- Rosentreter! - woła Kramer.

- DNA !

Obrońca podnosi rękę, jakby za pomocą tajemnych sił chciał przykuć Kramera do jego miejsca. Obraz na ścianie zostaje wymieniony. Widać twarz mężczyzny w wieku około pięćdziesięciu lat, gładko ogolonego, z głębokimi bruzdami zmarszczek, które sprawiają, że zdjęcie przypomina nieomal szkic.

- To - mówi Rosentreter - jest Walter Hannemann. Prawdziwy morderca Sybille Meiler i dawca szpiku kostnego dla Moritza Holla.

- Moritz, wiedziałam! - krzyczy Mia i podnosi oczy w stronę sufitu. - Uwierz mi! Cały czas wiedziałam!

Sytuacja jest nie do opanowania. Bell odchodzi od swojego stołu, łapie Rosentretera za rękaw i zasypuje go potokiem słów. Strażnicy Służby Bezpieczeństwa, którzy nagle mają pełne ręce roboty, na wszelki wypadek chwytają Mię za ramiona. Hutschneider mówi coś niezrozumiałego do

telefonu. Publiczność tłumnie wylega z sali, dziennikarze przodem, przy czym już wzajemnie przekrzykują się pytaniami pod adresem Mii Holl. Na polach za miastem elektrownie wraz ze zmianą kierunku wiatrów ociężale zawracają swoje rotory. W całym tym tumultie Kramer opada na ławkę, sprawdza skórki swoich paznokci i raz po raz przesuwając ręką po nieskazitelnej fryzurze. Sophie z rozpuszczonymi włosami siedzi na miejscu i nawet nie stara się ukryć twarzy, po której płyną łzy. Zasadowo-słony produkt gruczołów, myśli Mia, uważnie przyglądając się płaczącej pani sędzi. Płyn wyciskany z ciała na skutek silnego wstrząsu nerwowego. Jak wiadomo, znajdują się w nim również lipidy i mucyny.

– Sophie – mówi Mia. – To nie jest pani wina.

Nie wiemy, czy pani sędzia w całym tym zgiełku usłyszała słowa Mii. Obie panie już nigdy się nie zobaczą.

To cała Mia

Driss wielkimi susami wbiega po schodach, przyciska palcem dzwonek do mieszkania Lizzie i nie puszcza, dopóki ktoś nie otworzy drzwi. Otwiera Pollsche. Stoi blada, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Włącz telewizję!

Driss nie skończyła jeszcze mówić, a już słyszy, co dzieje się w mieszkaniu. Telewizja jest włączona, i to we wszystkich pomieszczeniach.

– Komórki macierzyste – mówi Pollsche. – Skandal w sądownictwie. Nie rozumiem ani słowa.

– Bo jesteś głupia! – woła Lizzie z kuchni. – Wszyscy się pomylili. Sąd. Policja. Już niczymu nie można ufać.

– To znowu Mia! – Driss stoi na progu jak wryta i wskazuje obrazy wyświetlające się na ścianie. Twarz Mii prawie znika za mikrofonami. – Ona jest dobra! Od razu to wiedziałam. – Driss uparcie potrząsa rękami Pollsche, którymi ta usiłuje wciągnąć ją do mieszkania. – Ja jedyna to wiedziałam.

– Pani Holl – pyta jeden z reporterów – czy wynik dzisiejszego dnia procesu stanowi dla pani zaskoczenie?

- To był mój brat. Znałam go.
- Pani Holl, jak się pani teraz czuje?
- Wstydzę się. Wierzyłam w jego niewinność. Ale może w niewystarczającym stopniu.
- Co pani przez to rozumie?
- Wierzyłam mu, ale nie wyciągnęłam z tego odpowiednich wniosków.
- Pani Holl, czy METODA, obarczona tego rodzaju wadami, może uchodzić za prawomocną?
- Na to pytanie - mówi Mia - nie udzielę odpowiedzi.
- Tak będzie lepiej! - woła Lizzie przez przedpokój.
- Ale będę je zadawać - ciągnie Mia. - Raz po raz.
- To cała Mia - szepcze Driss.

Rzeczywiście widać Mię, która wchodzi z Rosentreterem po schodach. Znow ma na sobie normalne ubranie, a idąc, patrzy pod nogi.

- Mia - mówi Driss, gdy oboje znajdują się na podeście schodów - tak nam przykro.
- Może tobie - odzywa się Pollsche.
- Nie patrzcie na mnie - krzyczy Mia. - Kto na mnie patrzy, nabawi się dżumy! Gruźlicy! Cholery! Białaczki!

Jednym ruchem udaje się Pollsche wciągnąć Driss do mieszkania. Drzwi się zatraskują.

- Chodź - mówi Rosentreter. - Tam. Schodami w górę.

Największy triumf

To największy triumf!

Rosentreter odkorkowuje z hukiem butelkę nielegalnego szampana. Świątuje historyczną chwilę, uwerturę do wielkiego oratorium politycznego. I choćby nawet to oratorium miało nigdy nie rozbrzmieć, adwokat pragnie pełną piersią naprawdę delektować się niezrównanie piękną uwerturą. Głuche walenie, uderzenia serca śmiertelnie przerażonego systemu. Puzony głosów prasy, wznoszące się na niespotykane wyżyny. Uspokajające brzmienie harf tłumienia nastrojów politycznych, a do tego koncert smyczkowy wzburzonej opinii publicznej.

- Najpiękniejsze jest jednak milczenie pierwszych skrzypiec!

Rosentreter z zadowoleniem uderza się po udach. Po czym nalewa szampana do dwóch szklanek.

Stojąc przy oknie, Mia przygląda się nocnemu niebu nad dachami miasta, przygotowującemu się na przyjęcie letniej burzy. Czuje się jak pasażer, który całymi dniami stoi na peronie i zapatrzony w mglistą dal, czeka na pociąg, który

wreszcie przybywa z zupełnie innego kierunku. Szampan podany przez Rosentretera powoli ociepla się w jej dłoniach.

Obrońca opróżnia szklankę do połowy. Szampan unosi go niczym latający dywan. Rosentreter w równie małym stopniu przywykł do szampana jak do sukcesów w dziedzinie prawa. Nigdy nie był błyskotliwym studentem. Jego oceny na uniwersytecie świadczyły raczej o sympatii profesorów aniżeli o jego talencie. Na dzisiejszy dzień czekał pół życia. Mimo to nie zamierza z powodu tego triumfu tracić głowy. Twarz Rosentretera bez wątpienia migocze w tym momencie w mieszkaniach wszystkich obywateli kraju. Bez wątpienia wystarczyłoby, żeby wyszedł na taras i przemówił do wzburzonych tłumów. Mądry człowiek wie jednak, że szczęście lubi wprowadzić iść w parze z silnymi osobami, ale nigdy zbyt długo.

- Po tak potężnej uwerturze - wyjaśnia Rosentreter - doświadczony artysta pozwala nastąpić fazie spokoju. Przez pewien czas pozostaniemy teraz w ukryciu i starannie rozważymy kolejne kroki. W końcu jestem człowiekiem drugiego planu. Zawsze taki byłem. *Santé*.

- *Santé* - odpowiada idealna kochanka, która za każdym razem, gdy tylko adwokat nie patrzy, popija z butelki.

Mia nie słyszy uwertur. Mia widzi burzę. Ponieważ ulica jest oświetlona tylko po jednej stronie, cienie drzew chwieją się jak pijane na fasadach przeciwległych budynków. Wydaje się nawet, że rozkołysane, wzięły się za ręce. Wiatr wdziera się we wszystkie szczeliny domów, ujeżdża otwarte bramy i kartkuje sterty papierów na biurkach. Sprawia, że żaluzje

klekoczą niczym kastaniety, huśtawki bujają się w ogrodach, co wygląda tak, jakby bawiły się tam jakieś niewidzialne istotki, on sam zaś bije sobie brawo plandekami zasłaniającymi rusztowania budowlane. Na dachach miasta słyszeć rumor, jakby kilka potężnych istot umówiło się na grę w kręgle. Czy ludzie jeszcze istnieją? Burza zapędziła wszystkich do domów, gdzie usiłują spać w swoich sypialniach niczym zwierzęta zamknięte w pudłach, z trudem znosząc hałas powodowany przez naturę. Strapieni, zdają sobie sprawę, jak niewiele znaczą z tymi swoimi małymi napuszonymi żywotami, bo to wszakże miasto i niebo decydują o wykonaniu *pas de deux*. Ludzie nie biorą udziału w tej grze. Nie są nawet widzami. W najlepszym razie czymś na kształt zeschniętych liści, zmiecionych na bok i zapędzonych do rynsztoka.

- Żadnych wywiadów - oznajmia Rosentreter. - Żadnych występów w telewizji. Jak najrzadziej pojawiać się publicznie. Od czego są catering, posłańcy i telekomunikacja? Najlepiej by było, żebyś przez pewien czas w ogóle nie wychodziła z domu. Mia, czy ty mnie słuchasz?

Sięga w próżnię, ponieważ idealna kochanka postawiła wprawdzie butelkę na stoliku, ale trochę za bardzo z lewej strony.

- Mia - mówi idealna kochanka. - Powinnaś trochę świętować. Twój adwokat mówi dużo, ale rozumnie.

Burza już dawno dotarła do wiatraków. Przy tej prędkości ich rotory zdają się rozlatywać. Mia wyobraża sobie, że

brzęczenie nabrzmiwa, przechodzi w huk, ale że potem zwalniają: zaprzęg złożony z tysiąca olbrzymich samolotów, z których widać jedynie śmigła. Kierują pyski ku niebu, wzbijają się stromo i unoszą miasto ze sobą.

- Od dzisiaj - mówi powoli Mia - jego imię sprawia, że wszelki rozum staje się niemożliwy. Od dzisiaj będę robiła wszystko z miłości i bez lęku.

- Słucham? - pyta idealna kochanka.

- Wreszcie zrozumiałam, co głosisz od wielu dni. Nie wystarczy wierzyć w człowieka. Nie wystarczy nawet wiedzieć o jego niewinności. Chodzi o to, aby całą swoją istotą przyznawać się do niego.

- Słusznie - przytakuje idealna kochanka. - A teraz chodź tutaj i wypij łyceczek.

- Posłuchaj - prosi Mia.

- Przecież piję - odpowiada podchmielony Rosentreter, uśmiechając się do niej.

To pierwszy alkohol w jego życiu.

- Całymi tygodniami byłeś bardzo nieswoja - mówi idealna kochanka. - A teraz poczułaś się aż za dobrze.

- Posłuchaj mnie bardzo uważnie. - Mia odwraca się wreszcie, staje pośrodku pokoju i spogląda na idealną kochankę. - Krok drugi - cytuje - METODA zabiła mojego brata, obnażając się przy tym jako system bezprawia.

- Owszem - przytakuje Rosentreter, podczas gdy stropiona idealna kochanka wbija wzrok w podłogę. - Jednak przyspieszanie spraw nic nie da.

- Krok trzeci: Zadzwoń do kogoś. Ale nie do niego. -

Śmieje się Rosentreterowi w twarz. – On już tu jest. Krok czwarty: Ułożę pamflet. Krok piąty: Opublikuję go.

– Mia! – woła idealna kochanka. – Może zastanowiłabyś się przez sekundę?

– To przecież wy mnie tak rozpędziliście! To wam zależało na statku flagowym, na figurze galionowej!

– Mia, jest mi przykro, że zwracasz się do mnie per „wy” – zauważa oględnie Rosentreter. – To jakaś okropna maniera z przeszłości.

– Mam dżumę – mówi Mia ze śmiechem. – Trąd. Cholerę. Jestem chora. Jestem wolna. Chora. Wolna.

Rosentreter wierzchem dłoni ociera nos.

– Nie jesteś chora – zaprzecza.

– Od tej chwili, gdy ktoś zawoła mnie po nazwisku, nie będę się już odwracała.

– Musimy zadbać o to, żeby nikt nie zrobił ci krzywdy. Potrzebujemy cię całej i zdrowej.

Kiedy Mia podchodzi do Rosentretera, na dnie jej oczu lśni coś, co każe się adwokatowi odsunąć.

– W ogóle was nie potrzebuję – mówi. – Zjeżdżajcie.

– Tego – woła idealna kochanka – Moritz by nie chciał!

Mia przystaje i rozgląda się uważnie.

– Masz pewność? – pyta. – Absolutną pewność?

Kiedy idealna kochanka milknie, Mia podnosi pełną szklankę i wylewa jej zawartość na tors Rosentretera.

– Biegnij przez miasto z tym swoim triumfem cuchnącym alkoholem – mówi. – Biegnij, jeśli nie chcesz, żeby spotkały cię tu pierwsze skrzypce.

Rosentreter stoi w milczeniu, szampan ścieka mu po garniturze. Potem owija się marynarką, jakby mu było zimno, robi parę kroków w tył, odwraca się i dochodzi do drzwi. Mia odprowadza go wzrokiem, trzymając rękę na ramieniu idealnej kochanki.

- Czy wiesz, jaka jest prawda? - pyta idealna kochanka. - Jesteś zgubiona. Tak czy owak. Bo nie chcesz, żeby było inaczej.

- Prawdę - odpowiada Mia - widać zawsze tylko kątem oka. Ledwie odwrócisz głowę, natychmiast zmienia się w kłamstwo.

Następnie Mia podchodzi do telefonu i wybiera numer.

- Proszę z Heinrichem Kramerem.

Druga kategoria

A co pani właściwie o nim myśli?

– O czym?

– O życiu.

Mia w kuchni napełnia czajnik wodą. Kroi cytrynę na plasterki i przygotowuje dwie filiżanki. Przez chwilę zerka do pokoju, jakby chciała się upewnić, czy jej gość jeszcze tam jest.

– O – mówi Kramer. – Jaki porządek. Naprawdę.

Siedzi na sofie obok idealnej kochanki i wygląda jak zwykle. Jego policzki nie są ani blade, ani jakoś uderzająco zaczerwienione. Nie wsunął nawet rąk do kieszeni spodni. Zakłopotanie, w jakie popadł w sali sądowej, przez całe życie będzie dla niego przykrym wspomnieniem. Kramer spogląda na Mię i uśmiecha się do niej.

– Mam przepiękną żonę o długich brązowych włosach i dwoje ślicznych dzieci, które uwieszają się nogawek moich spodni, a kiedy wracam do domu, wołają: „Tatuś, tatuś”.

– Brzmi dobrze.

– I takie jest. Koncepcja stara jak świat. W sprawach osobistych człowiek jest zaprogramowany bardzo prosto.

Miłość, nienawiść, lęk, zadowolenie, zaufanie...

- Zemsta...

- ...i zemsta. Nasze życie składa się z niewielu elementów. Zwłaszcza szczęście jest prostą sprawą. Istnieją dwa rodzaje wydarzeń: dobre, czyli wspierające człowieka, i złe, które mu przeszkadzają. Wszystko obraca się wokół tego, żeby do życia domieszać jak najwięcej składników z pierwszej i jak najmniej z drugiej kategorii.

- Brzmi prawdziwie.

- I takie jest. A pani? Gdzie jest pani mąż? Gdzie są pani dzieci?

- To ja zadaję pytania. - Mia z dwiema filiżankami wchodzi do pokoju, po czym stara się z absolutną uprzejmością obsłużyć gościa. - Jeśli spróbuje pan odwrócić ten rożen, przeciwstawię panu mojego zmarłego brata. Pańskie sumienie jest dzisiaj pieskiem, który merda ogonem i liże mnie po rękach.

- Pani Holl, ja nie mam sumienia.

- Za to ma pan nosa do konieczności politycznych. A to coś bardzo podobnego.

- Świetnie! - Kramer się śmieje. - Uczy się pani korzystać ze swojej broni.

- A pan uczy się przyjmować ciosy. Jak pan się z tym czuje?

- Źle. Jakby to było coś drugiej kategorii. - Kramer delikatnie upija łyk wody. - Wczoraj po południu, kiedy jeszcze czekała pani na uwolnienie, przed sądem zebrała się grupa niezadowolonych. Nie było ich wielu. Funkcjonariusze

Służby Bezpieczeństwa naliczyli sto osób. Ale METODA nie lubi takich rzeczy.

- A tymczasem pańscy koledzy kokietują moją sprawą.

- Rzeczywiście, dość mocno. Nawet zaprzyjaźnieni dziennikarze... Na przykład ten młody pan Larwer z programu CO MYŚLĄ WSZYSCY. Słyszała pani?

- Nie.

- Znam go dobrze. To niejako mój uczeń. I co opowiada w swoim programie? Że siła systemu politycznego polega właśnie na tym, aby dopasować się do nowych sytuacji, jak dobrze leżący płaszcz. A wreszcie, że prawomocne państwo jest jak but, którego się nie czuje, dopóki nie zacznie uwierać. Jak gdyby Larwer pracował obecnie w przemyśle odzieżowym. Nie do wiary, że nagle wszyscy wyzierają ze swoich dziupli.

- A pan? Nie ma pan ochoty zostać konwertytą?

- Teraz mnie pani obraża. Proszę myśleć o mnie źle, ale nie uważać mnie za oportunistę.

- To obraźliwe dla fanatyka.

- To obraźliwe dla człowieka honoru. Nie chodzi mi o dopasowanie się ani w charakterze buta, ani płaszcza. W tej chwili sprawy wyglądają niekorzystnie. Musimy walczyć. Do ostatniej kropli krwi, jak to się mawiało w dawnych dobrych czasach.

- Jednego nie rozumiem - mówi Mia. - Mam w pamięci pański głos, twierdzący, że to, co ludzkie, jest ciemnym pokojem, w którym pełzamy jak ślepe noworodki. Dlaczego jest pan gotów przelewać za to krew? I to nawet do ostatniej

kropki?

- Ja działałam z przekonania. Powinna pani o tym wiedzieć. Jestem przekonany, że z naturalnej woli życia wynika polityczne prawo do zdrowia. Jestem przekonany, że system może być sprawiedliwy jedynie wtedy, jeśli będzie nawiązywał do ciała, albowiem jesteśmy do siebie podobni dzięki ciałom, a nie umysłom. I jestem przekonany, że wizerunek człowieka wypracowany przez METODĘ ma z historycznego punktu widzenia przewagę nad wszystkimi pozostałymi.

Mia obserwuje z uwagą, jak Kramer, mówiąc, coraz bardziej przybiera pozę oratora. Opuszcza podbródek na pierś, brwi wędrują mu to w górę, to w dół, przenosi także ciężar ciała na jedną stronę, aby mieć wolną prawą rękę, której potrzebuje, żeby nią gestykulować.

- Niech pani zajrzy do książek historycznych - ciągnie Kramer. - Dowie się pani wtedy, jak to jest, gdy ludzie są zakochani w swoich chorobach. Jeszcze pięćdziesiąt lat temu dzieci z dumą pokazywały kolana pokryte strupami. Dorośli natomiast malowali sobie wzajemnie serduszka na zagipsowanych nogach. Wszyscy skarżyli się na katar sienny, bóle pleców i problemy trawienne, a każdy chciał przecież wyłącznie jednego: niezasłużonego zainteresowania. Wszelkiego rodzaju dolegliwości stawały się przedmiotem poważnych rozmów. Wizyty u lekarzy urosły do roli sportu narodowego.

Choroba była dla człowieka dowodem na jego istnienie, jakby nie był w stanie poczuć sam siebie, dopóki nic go nie

bolało! Przez wiele wieków wielbiono słabość, ustanowiono ją nawet sednem religii światowej. Klękano przed wizerunkiem wychudłego brodatego masochisty, który nosił na głowie kółko z drutu kolczastego, a po twarzy spływała mu krew. Duma chorych, świętość chorych, samolubstwo chorych: to było zło zżerające człowieka od wewnątrz.

- Życie - mówi Mia od niechcienia - zaczyna się w momencie jego najwyższej mocy, a potem od tego momentu zniża się coraz bardziej, chyląc się ku końcowi. Poważny błąd dramaturgiczny.

- *D'accord*. Nikt jednak nie potrafi zrozumieć, że nie należy tego błędu wielbić, lecz że trzeba go wyeliminować. Co powinno rozumowo przemawiać za tym, żeby traktować zdrowie jako synonim normalności? Wszystko, co działa bez zakłóceń, wszystko, co funkcjonuje bezbłędnie i sprawnie: nic innego nie nadaje się na ideał.

- Świetnie, Kramer. - Mia uśmiecha się milutko jak kotka i małymi łykami popija gorącą wodę. - Gdybym miała wolne ręce, zaczęłabym klaskać. Kramer numer jeden jest błyskotliwym demagogiem. Ale Kramer numer dwa naprawdę wierzy, że jeden system jest równie dobry jak drugi. Najpierw nazywaliśmy go chrześcijaństwem, potem demokracją. Dzisiaj nazywamy go METODĄ. Zawsze absolutna prawda, zawsze czyste dobro, zawsze zniewalająca potrzeba uszczęśliwienia całego świata. Wszystko to religia. Po co taki niewierzący człowiek jak pan miałby rosnąć w siłę ze względu na pewien wariant wciąż tej samej pomyłki?

- Usiłując mnie przejrzeć, daleko wychyła się pani z okna.

Proszę uważać, żeby nie wypaść. Ponieważ jednak jestem dzisiaj łagodnie nastrojony, udzielię pani szczerzej odpowiedzi.

Kramer porzuca pozę mówcy, opiera łokcie na kolanach, odwraca dłonie, ukazując ich wnętrza i upodabniając się w ten sposób do człowieka, który przygotowuje się do osobistego wyznania.

- Nienawidzę tego ciemnogrodu wolnomyślicielstwa, tej staroświeckiej pozostałości po oświeceniu mieszczańskim. Czuję wstręt do infantylnej dumy partyzanta, który ciągle myśli, że musi odgrywać bohatera, występując przeciw władzy i autorytetowi. Człowiek zbuntowany jest zbyt wytworny, zbyt głupi lub zbyt leniwy, aby zdobyć władzę, której potrzebowałby do działania. Dlatego też nazywa cały świat kwaśnym winogronem, staje obok i wszczyna protestacyjny krzyk. Może to pani zaobserwować na niezliczonych przykładach: jeśli bojownikowi o wolność dać władzę i zapewnić mu poważanie w ramach znienawidzonej maszyny, natychmiast ucichnie i od tej pory zacznie spokojnie działać w dobrej wierze. Jaka wypływa dla nas stąd nauka o ludziach, pani Holl? Że chętnie mydlą komuś oczy, jeśli tylko służy to zaspokojeniu ich miłości własnej.

- Patrzcie, patrzcie. - Śmiech Mii staje się głęboki. - Istnieje pewien rodzaj uogólnień, pozwalający dany przedmiot zabarwić nutą zdecydowanie osobistą.

- Dążenie do postępu - mówi Kramer, który woli nie słyszeć ostatniej uwagi - jest mieszaniną społecznego przeceniania siebie i indywidualnej potrzeby bycia ważnym.

Niezdolność pogodzenia się ze status quo wymaga przynajmniej raz w trakcie danej epoki setek tysięcy, a może nawet milionów trupów. METODA funkcjonuje dobrze. Nie istnieje żaden powód, żeby zastąpić ją czymkolwiek innym.

- Nadal pan tak twierdzi? Po wszystkim, co się stało?

- No, niech pani nie umniejsza swojego potencjału umysłowego! Nie zamierza pani chyba mylić osobistego nieszczęścia z problemem politycznym? Czy umiałaby pani zarysować mi jakikolwiek proces, który tu i ówdzie nie dotyka osób niewinnych, i to ciężko? A nawet, gdy się uwzględni sprawę pani brata, wydaje się ważne, że żaden inny system nie jest w równie małej mierze obarczony błędem jak METODA. O co chce się pani spierać, pani Holl, patrząc na mnie takim wojowniczym wzrokiem? O polityczny raj na ziemi?

- Nie patrzę wojowniczo - mówi Mia. - Raczej z zainteresowaniem. Poza tym w odróżnieniu od pana jestem w tym wygodnym położeniu, że mogę zrezygnować z procesu racjonalizowania. Mogę myśleć sercem.

- To słodkie. Staliśmy się więc niezwykle uczuciową kobietką. Zmieniła się pani, Mia. Nie wiem, czy mam się z tego cieszyć, czy nad tym ubolewać. Jeszcze kilka dni temu czułem się nieomal pokrewny pani.

- To dla mnie zaszczyt, że prawie w ogóle nie jestem panu pokrewna.

- Jak pani sobie życzy. O czym zatem myśli pani na nowo rozbudzone serce?

- O wolności.

Kramer wydaje z siebie jęk i przykłada palce wskazujące do skroni.

- Te bóle głowy - mówi.

- Bardzo mi przykro, że przyprawiam pana o migrenę - mówi Mia. - Niech się pan jednak nie niepokoi. Zdał pan egzamin z zapatrywań.

- Egzamin z czego?

- Z zapatrywań. - Mia rozpościera ramiona i przeciąga się rozkosznie. - Chce pan usłyszeć, jaki jest wynik? Zrozumiał pan, że jest pan zbyt mądry, aby ferować ostatecznie wiążące wyroki. Kto jednak nie wydaje wyroków, nie może panować. Dlatego też swoją dumę, a także miłość własną związał pan mocno z istnieniem METODY. Również pan jest partyzantem, panie Kramer. Partyzantem przetrwania. Tym samym mam w panu absolutnie niezawodnego wroga.

- Nie sędzę, żeby w najbliższym czasie zabrakło pani wrogów.

- Niech więc pan się cieszy, że to pan tutaj siedzi, a nie kto inny. Jestem pewna, że potrafi pan uwzględnić tę okoliczność w koncepcji swojej wspaniałości. Mnie natomiast jest pan potrzebny wyłącznie jako tuba. Proszę wziąć papier i długopis. Bardzo liczę na to, że jako człowiek honoru zacytuje mnie pan co do słowa.

Kramer wybucha śmiechem, ale natychmiast milknie. Otwiera usta, chce bowiem coś odpowiedzieć - milczy jednak. Przez kilka sekund wygląda na to, że traci opanowanie. W spojrzeniu, które rzuca Mii, kryje się gotowość do przemocy fizycznej. Później ta niema groźba

rozpływa się w drwiącym grymasie, a Kramer opuszcza głowę.

- Drugiej kategorii? - pyta Mia ze współczuciem.

- Drugiej kategorii - potwierdza Kramer, szukając papieru i długopisu.

- Dziwię się - mówi idealna kochanka. - I muszę się poprawić. To, co się tutaj dzieje, niesłychanie spodobałoby się Moritzowi.

Jak brzmi pytanie

Odmawiam zaufania społeczeństwu, które składa się z ludzi, a mimo to opiera się na strachu przed tym, co ludzkie. Odmawiam zaufania cywilizacji, która zdradziła umysł na rzecz ciała. Odmawiam zaufania ciału, które nie jest z mojej własnej krwi i kości, lecz stanowi kolektywną wizję normalnego ciała. Odmawiam zaufania normalności, która sama siebie definiuje jako zdrowie. Odmawiam zaufania zdrowiu, które samo siebie definiuje jako normalność. Odmawiam zaufania systemowi władzy, który opiera się na błędnym wnioskowaniu. Odmawiam zaufania pewności, która chce stanowić ostateczną odpowiedź, nie zdradzając, jak brzmi pytanie. Odmawiam zaufania filozofii, która udaje, że zakończył się spór o problemy egzystencjalne. Odmawiam zaufania moralności, która jest zbyt leniwa, żeby stawić czoła paradoksowi dobra i zła, i woli obstawać przy „działa” lub „nie działa”. Odmawiam zaufania prawu, które swoje sukcesy zawdzięcza pełnej kontroli obywatela. Odmawiam zaufania narodowi, który uważa, że totalne prześwietlanie szkodzi tylko komuś, kto ma coś do ukrycia. Odmawiam

zaufania METODZIE, która woli wierzyć badaniu DNA człowieka, a nie jego słowom. Odmawiam zaufania powszechnemu dobru, jako że w samostanowieniu widzi niemożliwy do uniesienia czynnik kosztów. Odmawiam zaufania jednostkowemu dobru, dopóki jest wyłącznie wariacją tego, co można sprowadzić do najmniejszego wspólnego mianownika. Odmawiam zaufania polityce, która swoją popularność opiera wyłącznie na obietnicy życia wolnego od ryzyka. Odmawiam zaufania nauce, która twierdzi, że nie istnieje wolna wola. Odmawiam zaufania miłości, która uważa siebie za wytwór immunologicznego procesu optymalizacji. Odmawiam zaufania rodzicom, którzy w domku na drzewie widzą „niebezpieczeństwo zranienia się”, a w zwierzęciu domowym „ryzyko zakażenia”. Odmawiam zaufania państwu, które wie lepiej ode mnie, co jest dla mnie dobre. Odmawiam zaufania owemu idiocie, który zdemontował znajdującą się u wejścia do naszego świata tablicę z napisem: „Uwaga! Życie może prowadzić do śmierci”.

Odmawiam zaufania sobie, ponieważ mój brat musiał umrzeć, zanim zrozumiałam, co znaczy żyć.

Kwestia zaufania

Kiedy Kramer chowa papier i długopis, jest w nastroju euforycznym. Dziękuje Mii za poparcie wspólnej sprawy. Dała mu ona bowiem do ręki retoryczną broń masowego zniszczenia, którą będzie umiał wykorzystać. Na pytanie, o jakiej wspólnej sprawie mówi, Kramer robi zdziwioną minę. Czyżby Mia nie wiedziała, że los związał ją i jego, stawiając przed nimi wspólne zadanie? Nie można jeszcze z całą pewnością powiedzieć, jaką postać ma ono przybrać, ale absolutnie nie ulega wątpliwości, że chodzi o wspólne zadanie. Czy może uczyła się na lekcjach historii, co to jest „kwestia zaufania”? W dawniejszych czasach rząd, którego władza zaczynała kruszeć, mógł zmusić parlament, żeby go albo odwołał, albo też zjednoczonymi siłami utwierdził na urzędzie. Kto chce utrzymać władzę, mówi Kramer, musi od czasu do czasu przypomnieć sobie o jej podstawach. Może nadszedł moment, kiedy METODA powinna zmierzyć się ze swego rodzaju kwestią zaufania. Może Mia i jej pamflet będą pomocne w znalezieniu właściwego wyjścia z tej sytuacji. Poza tym podoba mu się jej mieszkanie i ma nadzieję, że ona

również dobrze się w nim czuła.

Odprowadzając go do drzwi, Mia zadaje sobie pytanie, dlaczego Kramer mówi o jej mieszkaniu w czasie przeszłym, i do której kategorii, do pierwszej czy do drugiej, właściwie teraz coś wniosła. No i z czyjego punktu widzenia ta kwestia miałaby być rozstrzygana. Kiedy jednak Mia zamyka drzwi za Kramerem, nagle staje się to jej całkowicie obojętne.

Leży w ramionach idealnej kochanki i pije szampana z butelki zapomnianej przez Rosentretera. Również idealna kochanka zaczyna naraz mówić w czasie przeszłym.

- Przybiłam do twoich brzegów zaledwie na chwilę - mówi.
- Powinnaś się z tego cieszyć.

- Nie byłam zaprzyjaźniona z tobą, lecz z twoją zjawą - wyznaje Mia.

- To cynizm.

- Nie, to precyzja wyrazu. Wybacz mi, że nie umiałam kochać cię tak jak Moritza. Zawsze było mi trudno uwierzyć w twoje istnienie.

- Już dłużej nie musisz we mnie wierzyć.

- Dlaczego chcesz odejść?

Mia podaje jej butelkę i lekko dotyka czoła idealnej kochanki, która milczy. Bez przerwy kołysze nogą, jakby docierała do niej muzyka słyszalna tylko dla niej.

- Wypełniłam swoje zadanie - mówi wreszcie idealna kochanka. - Ostatnim pragnieniem Moritza było, żebyś zechciała mu uwierzyć. Żebyś zrozumiała, co się wydarzyło. I żebyś zawsze myślała o nim we właściwy sposób.

- Dawno temu wygłosiłam do niego następujące zdanie:

„Chcę być ziemią, która zadrży pod twoimi stopami, kiedy dotknie cię zemsta bogów”. Los najwyraźniej pragnie, żebyśmy dotrzymywali obietnic.

- A mimo to trudno mi się z tobą rozstać. - Idealna kochanka zaczyna gładzić Mię po głowie. - Nagle zaczęłam się o ciebie martwić.

- Nic mi się nie stanie. Z technicznego punktu widzenia jestem teraz święta.

- Przed świętą jest jeszcze męczennica.

- Tak czy inaczej nigdy nie chciałam dożyć starości. Kiedy człowiek jest stary, czeka już tylko na jedzenie. Ach, daj spokój! - woła, ponieważ idealna kochanka cofa rękę. - To miał być żart!

- Nie mam poczucia humoru. Nie istnieje ani jedno zdanie bzdurne na tyle, żeby ludzie nie mogli wypowiedzieć go poważnie.

Mia tuli idealną kochankę i całuje ją w usta.

- W ogóle nie wiemy, ile razy w ciągu dnia świat unika ostatecznej katastrofy. Kiedy spotkasz się z Moritzem, powiedz mu, że go kocham. Albo nie. Powiedz mu, że domek na drzewie jest wtedy, gdy się podciągnie drabinę do góry, gdy się dostanie bólu brzucha od zjedzenia wiśni i gdy się ma we włosach ptasie kupy, a mimo to nie chce się zejść na ziemię. Przekażesz mu to?

- Obiecuję.

Mia nabiera powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, jedno długie zdanie, które wszystko wyjaśni, ale to tylko ziewanie otwiera jej usta. Chwilę później zasypia.

Poduszka z sofy

Mię budzi zgiełk wywołany przez pracowników Służby Bezpieczeństwa METODY, wyłamujących drzwi do mieszkania. Służba Bezpieczeństwa dysponuje najlepiej wyszkolonymi specjalistami, którzy w ciągu sekundy i zupełnie bezgłośnie umieją otworzyć w zasadzie każdy zamek, jaki można sobie wyobrazić. Jeśli ci ludzie wkraczają do czyjegoś mieszkania przemocą, to dlatego, że tak chcą. Trzej mężczyźni wpadają do środka, mała armia, gnana do przodu impetem własnego ataku. Na sofie leży Mia, która ledwie przed chwilą otworzyła oczy i teraz bez zrozumienia patrzy na napastników. Zamiast idealnej kochanki trzyma w objęciach poduszkę.

Pierwszego agresora trafia nogą w żołądek. Drugiemu podniesionymi pazurami przejeżdża po twarzy, przy czym paznokieć palca wskazującego wnika głęboko pod krawędź jego prawej powieki. Żaden z napastników nie domyśla się, że Mia broni nie siebie, lecz poduszki z sofy, i to z bezwzględnością lwicy, która walczy o swoje nowo narodzone lwiątko. Trzeciemu udaje się schwycić ją za nogi.

Mia zrywa się i gryzie go w szyję, aż czuje w ustach smak krwi. Napastnik krzyczy i uderza Mię w czoło, co sprawia, że kobieta się osuwa; odurzona, ale nadal zdolna do obrony.

Nikt nie odzywa się słowem. Nie mówi: „Przepraszamy za zakłócenie spokoju” ani „Przepraszamy za zaistniałe nieprzyjemności”. To, co odbywa się teraz, to nie aresztowanie, lecz wojna, w której chodzi jedynie o to, aby przysporzyć napastnikowi jak najwięcej szkód, zanim wyniesie stąd swoją zdobycz.

– Włamanie! Gwałt!

– Tak po prostu z brudnymi buciorami do mieszkania!

– Bzdura, moje drogie, patrzcie, to mundury! To urząd.

W całym domu słychać tumult, wystarczająco głośny, żeby sąsiadki w szlafrokach zwabić na schody i do otwartych drzwi mieszkania Mii. W środku stoi, chwiejąc się na nogach i krwawiąc z nosa, pracownik Służby Bezpieczeństwa METODY, który w rękę trzyma naciągniętą strzykawkę i czeka, aż koledzy wreszcie zapanują nad oszalałą kobietą.

– Zabierają Mię!

– To chyba jakaś pomyłka.

– Mia jest bohaterką! Wszystkich gazet!

– Pani Holl stanowi ozdobę naszego domu.

Chociaż pracownik Służby Bezpieczeństwa prawie nic nie widzi napuchniętymi oczami, udaje mu się uchwycić właściwy moment. Strzykawka ląduje w ramieniu Mii.

– Nie!

– Driss, ale to jest urząd.

– Driss, lepiej się w to nie wtrącać.

- Driss, zostań tutaj!

Dopiero gdy ciało Mii wiotczeje, umundurowanym mężczyznom udaje się wyrwać jej z ramion poduszkę, którą krwawiący z nosa pracownik Służby Bezpieczeństwa kopie, odrzucając w tym samym momencie strzykawkę. Kiedy szczupła Driss rzuca się na niego, brutalnie odsuwa ją na bok. Driss uderza się o futrynę drzwi i upada na progu. Umundurowani przechodzą ponad nią, wynosząc Mię z mieszkania.

Statua wolności

Jak bomba! – mówi Rosentreter.

– Masz przy sobie lusterko?

Rosentreter grzebie w aktówce i wyciąga z niej lusterko kieszonkowe. Mia podchodzi do szyby z pleksi, aby się przejrzeć. Znowu jest ubrana w białe papierowe ubranie. Jej czoło zdobi ogromny krwiał. Dolna warga nabrzmiała, oko podbiegło krwią. W lusterku Mia widzi wzrok kogoś, kogo zna. Nie jest to jej własny wzrok. A zatem są to pewnie oczy Moritza.

– Świetnie – mówi Mia. – Papierowe ubranie, areszt izolacyjny, rozkwaszona twarz. Nie mogłabym być bliżej brata.

Rosentreter szybko chowa lusterko.

– Twoja proklamacja odniosła skutek podobny do wybuchu bomby. Dlatego po ciebie przyszli. To oznaka ich słabości. Boją się.

– Jak brzmi oskarżenie?

– Mia, nie ma oskarżenia. Na nakazie aresztowania jest napisane, że istnieje groźba popełnienia samobójstwa.

- Mają poczucie humoru - mówi Mia. - Aparat bezpieczeństwa niczego tak bardzo się nie boi jak ludzi, którzy odebrali sobie życie. Bo to sprawia, że wymykają się kontroli. Zamachowcy samobójcy.

Rosentreter chrząka. Najwyraźniej niezbyt dobrze czuje się w swojej skórze.

- Wniosłem skargę do Sądu Najwyższego METODY - mówi i pociąga się za włosy. - Twoja proklamacja była strzałem w dziesiątkę, od tej chwili jednak powinniśmy być naprawdę ostrożni.

- Opowiedz mi o swoich sukcesach.

Rosentreter się ożywia i wyjmując z aktówki plik gazet. Pierwszą podsuwa stroną tytułową do szyby.

- Patrz. Dziesiątki tysięcy osób demonstrują, domagając się uwolnienia Mii Holl. - Rosentreter odkłada gazetę. - Stoją na zewnątrz z plakatami i krzyczą. Od dziesiątków lat nie widzieliśmy czegoś podobnego. Naprawdę chciałbym, żebyś to usłyszała.

- Słyszę - mówi Mia.

- O tutaj. Pani Holl przyciągnęła mnóstwo frustratów. - Nie zawsze pomysłowi są ci koledzy z prasy. - Albo tu: *METODA pod przymusem legitymizacji*. Napisał ten artykuł niejaki Larwer, który domaga się zasadniczej dyskusji w Radzie METODY. I jest jeszcze przesłanie podpisane przez żądającą prawa do choroby organizację RAK. Jego autorzy deklarują solidarność i grożą różnymi akcjami na wypadek, gdyby METODA publicznie nie wzięła odpowiedzialności za śmierć Moritza Holla.

- RAK ? Powiedz im, że w ogóle ich nie potrzebuję. Nie mam nic wspólnego z zamachami na niewinne osoby.

- Obawiam się, że to już nie jest w twojej mocy. Występujesz teraz w dwóch osobach. Jedna Mia siedzi tu w środku i... krwawi jej warga. - Ostrożnie wskazuje palcem usta Mii, które ona ociera ręką. - Drugą Mię wszyscy, którzy tylko mają na to ochotę, mają na swoich sztandarach.

- Co mówi Kramer?

- Do tej pory niewiele. Na dziś wieczór zapowiedziano jego występ w telewizji. Pan Kramer jest bardzo przybity.

- Cieszy mnie to. Przeliczył się.

- Wskutek tego jest jeszcze bardziej niebezpieczny.

- Wręcz przeciwnie. To go osłabia.

- To prawda. Mia, proszę cię usilnie, żebyś z nim nie rozmawiała.

- Nie mam tu zbyt wielu gości.

- Od samego początku nie pozwalasz sobie nic powiedzieć.

- Rosentreter chowa gazety, ale trzyma aktówkę na kolanach, jakby potrzebował czegoś, co musi obejmować. - Żle cię oceniłem.

- Jak to? Chciałeś wysłać do walki marionetkę, a sam pociągać za sznurki i na koniec z zatroskaniem założyć ręce za głowę. I właśnie to dostałeś.

- Słabości mojego charakteru są niekwestionowane. - Adwokat stara się wytrzymać spojrzenie Mii. - Tymczasem sprawy... potoczyły się trochę inaczej. Nie umiem przewidzieć, co stanie się za chwilę.

- Wyjaśnię ci to. Nazywa się to powstaniem postaci

integracyjnej. Wszyscy sceptycy, niezadowoleni i inaczej myślący, którym przez całe życie towarzyszy przekonanie, że są sami ze swoimi wątpliwościami, nagle doświadczają uszczęśliwiającego poczucia wspólnoty. Ja jestem ekranem, na którym widać to szczęście. Obrazem na białej ścianie. Całym ciałem, nagim, z przodu i z tyłu. Statuą wolności, ukształtowaną z krwi i kości.

Gdy Mia wstaje i wysoko dźwiga niewidzialną pochodnię, siedzący w kącie strażnik Służby Bezpieczeństwa groźnie unosi podbródek, na co aresztantka ponownie siada.

- Kiedy samotne umysły wyczują przynęty wspólnoty, rodzi się potężna moc.

- Wyciągnę cię stąd. - Rosentreter mruga, bo ostatnio jego oczy bywają nadmiernie suche. - To już nie potrwa długo.

- Nie boję się - mówi Mia. - Jeśli ty mnie stąd nie wyciągniesz, zrobią to inni.

Zdrowy rozum

Heinrich Kramer od młodości ma na względzie dobro człowieka.

Głos z offu nie jest głosem Larwera, chociaż program nosi tytuł CO MYŚLĄ WSZYSCY. Na kanapie siedzi tylko jedna osoba, nieruchomo wpatrzona w kamerę. Postać w szarym garniturze sprawia wrażenie tak spokojnej i chłodnej, że człowiek mimo woli zadaje sobie pytanie, czy tego rodzaju zjawy w ogóle ma gruczoły potowe, błony śluzowe i przewód pokarmowy.

- Z powodu najnowszych politycznych zamieszek zaskoczy on nas dzisiaj może najbardziej fundamentalnym przedstawieniem zdrowego rozumu, jakie kiedykolwiek zostało sformułowane. Heinrich Kramer!

Gość w studiu rezygnuje ze wstępu. Pozwala sobie za to na kilka sekund milczenia, a wzrokiem zdaje się gdzieś na zewnątrz, za kamerę, szukać wzroku swojego rozmówcy. Notatki trzyma w ręce jedynie z powodów estetycznych. To, co ma wygłosić, może odczytać z monitora znajdującego się pod pokrywą jego czaszki. Heinrich Kramer umie to

wszystko na pamięć. Przez całe życie odziewał te same idee w coraz to nowe słowa. Nie jest to kwestia ograniczenia jego rozumu, lecz ograniczonej liczby sensownych idei na tej ziemi. Nieustanne powtarzanie rzeczy słusznych to największe bezkrwawe działanie w służbie własnej ojczyźnie.

Kramer mówi dwadzieścia minut, patrząc przy tym dalej nieruchomo w kamerę. Jego poważna mina odzwierciedla znaczenie dzisiejszego występu. Kto by się teraz odważył wstać i trochę powałęsać po mieście, zobaczyłby wymiecione do czysta ulice, jak pół wieku temu w czasie finału mistrzostw świata w piłce nożnej. Ponieważ jednak nikt nie jest gotów zrezygnować z poznania stanowiska Kramera, wyludnienie na zewnątrz pozostaje samo ze sobą. Cały kraj zawisł na wargach dziennikarza streszczającego państwowotwórcze myśli w tezach, z których każda zawsze wynika nieuchronnie z poprzedniej. Ludzie z niecierpliwością wysłuchują tego co zwykle. Że w dobrym życiu chodzi jedynie o czystość i bezpieczeństwo. Że nieczystość jest zbrukaniem jednostki, a brak bezpieczeństwa zbrukaniem społeczeństwa. Że chorobę należy traktować jako wynik braku przekonań i kontroli.

Pod koniec napięcie rośnie. Kramer mówi o wirusach, które potrafią wykorzystać na swoją rzecz nieczystość oraz brak bezpieczeństwa i zawładnąć zarówno jednostką, jak i społeczeństwem. Obecnie, mówi Kramer, najgroźniejsze wirusy nie składają się już z kwasów nukleinowych, lecz z zaraźliwych myśli. Później milknie i nie odzywa się tak

długo, aż na czoła widzów występują krople potu.

METODZIE jako układowi odpornościowemu kraju, ciągnie Kramer po pauzie, udało się właśnie zidentyfikować aktualnie grasującego wirusa. Zostanie on zniszczony. Nikt nie może uchylać się od samouzdrawiających mocy silnego organizmu. *Santé*, panie i panowie, życzę państwu miłego wieczoru.

Ledwie Kramer skończył mówić, kamera najeżdża na pustą sofę, na której jeszcze przed chwilą siedział. Kraj wie: dziennikarz wyszedł, żeby po zapowiedzi walki sprowokować czyny. Nie ma nikogo, kto by nie zrozumiał znaczenia jego słów. Stanowią one początek końca w sprawie Mii Holl.

Bezwonne i przejrzyste

W celi Mii jest ciasno, jakby nieobecność mebli zwężała to kwadratowe pomieszczenie. Przy nieistniejącym stole nie stoją krzesła. Pod oknem rozprzestrzenia się brak pryczy i żadna szafa nawet w połowie nie zasłania brakujących półek. Resztę miejsca w całości zajmuje kliniczna czystość.

Już po czterech dniach spędzonych w tej celi Mia wpuściłaby każdego gościa. Potrzebne jest jej wsparcie w zadaniu istnienia w miejscu, którego unikają nawet meble. Kramer znakomicie się do tego nadaje. Pokój, do którego wkracza, nie jest pusty. Dziennikarz wnosi do niego bowiem posmak umeblowania albo może sam jest umeblowaniem, eleganckim, lecz funkcjonalnym. Mia ze wszystkich sił stara się nie pokazać po sobie radości z odwiedzin Kramera.

- Pan i pańskie tezy - mówi na powitanie - są bezwonne i przejrzyste jak woda destylowana.

- Cieszy mnie, że podobał się pani mój występ. Poza tym to mnie pani zawdzięcza, że pozwolono pani obejrzeć ten program.

- Ten protekcyjny ton zdradza, że pańska proklamacja

nie odniosła takiego sukcesu jak moja.

- Właśnie dlatego jestem tutaj. Oboje posuniemy się dzisiaj spory kawałek we właściwym kierunku.

- My oboje? - Mia nie może powstrzymać się od śmiechu.

- Dlaczego nie? Pani Holl, wpuściła mnie pani. Nie odmawia pani rozmowy ze mną. Czy to nie wspaniałe, że nasze manifesty stoją naprzeciw siebie? Jak dwoje wojowników z podniesioną bronią i opuszczonymi przyłbicami. Rozum przeciw uczuciom. Moja precyzyjna logika przeciw pani wzburzonym emocjom. Można nieomal powiedzieć: zasada męska przeciw żeńskiej.

- Prymitywna alegoria, która obraża zdolności pańskiego umysłu. Poza tym wcale nie opuściłam przyłbicy, tylko ją właśnie podniosłam. I o ile wiem, na zewnątrz ludzie nie krzyczą na pańską cześć, tylko na moją.

- Jednoznacznie. I nie tylko krzyczą. Zapowiadają również zamachy. Czy pani wiedziała, że RAK jest gotów wesprzeć sprawę Mii Holl użyciem przemocy wobec niewinnych osób?

- Panie Kramer, w ten sposób mnie pan nie dostanie. To nie terroryści, lecz właśnie owi niewinni ludzie demonstrują za drzwiami. Mnie nic nie łączy z RAK - iem.

- Jeżeli dojdzie do zamachu, pani będzie odpowiedzialna za jego skutki.

Mia znowu się śmieje.

- Tak łatwo nie da się odwrócić tego moralnego różna. Jego ostrze wskazuje pana. Niechże pan na mnie spojrzy!

- Z chęcią. Do twarzy pani z tą napuchniętą wargą.

Mia, która opiera się o ścianę, rozpościera ramiona, tak że

cała w bieli wygląda jak ukrzyżowany anioł.

- Pańskie ubranie jest z drogiego materiału - mówi - moje z papieru. Ja nie wszczęłam procesu przeciw sobie. Nie zamknęłam siebie w tej celi. Wygłosiłam jedynie osobiste wyznanie, które pan opublikował. Ma pan przyjaciół u samej góry. Panu wolno ot tak, po prostu, wejść tu do środka, a mój obrońca może rozmawiać ze mną wyłącznie przez szybę. Gdyby teraz chodziło o rozdzielenie winy, powiedziałabym, że w mniejszym stopniu leży ona jednak po stronie muchy, w większej zaś po stronie packi.

- Czy to nie ciekawe, że człowiek ciągle skłania się ku zrównywaniu słabości z niewinnością? Niestrudzenie przejawiają się w tym pozostałości myśli chrześcijańskiej. Kiedy Dawid występuje przeciw Goliatowi, plebs trzyma kciuki za Dawida. Jak gdyby podległość była moralną zaletą.

- Gdyby Goliat miał maniery, zorganizowałby jakieś miejsca do siedzenia i coś do picia, żebyśmy mogli rozmawiać ze sobą w sposób cywilizowany. Poza tym jestem głodna. Nie dając mi nic do jedzenia, usiłuje się tu wpływać na moje przekonania.

- Słucham?

Zirytowany Kramer rozgląda się i dopiero teraz zdaje się zauważać, że cela jest kompletnie nieumeblowana. Odpycha się od ściany i znika za drzwiami. Mia z rozkosznie zamkniętymi oczyma nasłuchuje głosów dochodzących z korytarza, jeden z nich, chociaż przytłumiony, charakteryzuje się wręcz diaboliczną surowością. Zaraz potem Kramer wraca, ciągnąc za sobą dwa rozkładane

krzesła.

- Przepraszam panią w imieniu tych barbarzyńców. Gdyby to była moja firma, już dzisiaj byłby to dla połowy personelu ostatni dzień pracy.

- Niech pan da spokój. Oni tylko wykonują swoje obowiązki.

- Ironia to oznaka zdrowia umysłowego. Cieszy mnie, że mimo wszystko jest pani w dobrym nastroju. Proszę, niech pani usiądzie.

Z galanterią podsuwa Mii krzesło, a sam siada w stosownej odległości naprzeciw niej. Usiadłszy, Mia wyciąga nogi, znów je podwija, aż wreszcie zakłada jedną na drugą, ręce zaś krzyżuje za oparciem.

- Nawet siedzenia trzeba się tu uczyć od nowa. Pożyczona szczoteczka do zębów powoduje rano osobliwe uczucie w ustach, do sikania na stojąco niesłychanie trudno przywyknąć, a zmiana tych papierowych ciuchów to wręcz osobna gałąź nauki. Nawet mowa, jeśli używa się jej rzadko, stanowi taniec pełen skomplikowanych figur.

- Tańczy pani wspaniale - odpowiada trzeźwo Kramer. - Chętnie zadałbym pani teraz kilka pytań.

- Niech pan strzela.

- Ostatnio powiedziała pani do swojego adwokata, że jeszcze nigdy nie czuła się pani taka bliska swojemu bratu.

- Ach - mówi Mia, unosząc brwi ze zdumienia - moje rozmowy z adwokatem są podsłuchiwane?

- To nieodzowny środek ostrożności. Wobec wrogów METODY obowiązują ustawy stanu wyjątkowego.

- Nie przebywam tutaj jako wróg METODY, tylko ze względu na groźbę popełnienia samobójstwa.

- To mniej więcej to samo.

- Oczywiście - potakuje głową Mia.

- Czy można powiedzieć, że brat coś pani zostawił?

W drzwiach pojawia się wartownik z tacą, na której znajdują się dwie parujące filiżanki, jak również kilka tubek. Kramer wychodzi mu naprzeciw i bierze od niego tacę, aby osobiście obsłużyć Mię.

- Pani pozwoli.

Z największym szacunkiem kładzie tubki na jej kolanach. Na podłodze stawia gorącą wodę i dodaje do niej cytrynę. Trzy tryśnięcia, jak to zwykła robić Mia. Kobieta pożądliwie obserwuje każdy jego ruch, jakby sam widok tego rytuału mógł zaspokoić głód, gorszy od fizycznego.

- Moritz nie zostawił mi po sobie żadnych rzeczy materialnych, jeśli to pan ma na myśli - mówi wreszcie. - Ale w sensie umysłowym oczywiście bardzo dużo.

- Uważa pani zatem, że jest pani tutaj całkowicie po jego myśli?

Spróbowałszy gorącej wody, Mia odstawia filiżankę i otwiera pierwszą tubkę.

- Moritz przez całe życie walczył o to, żeby przekonać mnie do swoich poglądów.

- I teraz mu się to udało.

- Do pewnego stopnia tak. Można by powiedzieć, że stało się to bardzo późno.

Kiedy Mia otwiera tubkę, opanowanie gdzieś się ulatnia.

Kramer przygląda się ze współczuciem, jak kobieta wyciska do ust całą zawartość.

- Dlatego po śmierci brata raz po raz chodziła pani nad rzekę. Żeby być blisko niego.

- Od dzieciństwa było to miejsce naszych spotkań - mówi Mia z pełnymi ustami. - Była to nasza „katedra”, jak lubił mawiać Moritz.

- Wzruszające. - Kramer macha odmownie ręką, gdy Mia podsuwa mu drugą tubkę. - Czy spotkała pani tam kiedyś kogoś innego?

- Nikogo.

- Bardzo dobrze. Tak myślałem. Ostatnie pytanie. Z dzisiejszego punktu widzenia Moritz jest właściwie swego rodzaju męczennikiem. Nie uważa pani?

- No tak - mówi Mia. - O to chodzi.

- Słucham? - Kramer pochyla się do przodu. - Niedokładnie panią zrozumiałem. Czy mogłaby pani mówić trochę głośniej?

- Jeśli istotnie dojdzie do przewrotu - mówi Mia głośno - Moritz pewnego dnia pojawi się w podręcznikach do historii jako męczennik. To zresztą dziwne wyobrażenie.

- Cudownie. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki Kramer wyjmuje urządzenie nagrywające i wyłącza je. Potem siada na krześle, rozpościera ramiona i poprawia mankiety koszuli.

- W ten sposób mielibyśmy prawie wszystko, czego potrzebujemy. Byłoby miło, gdyby pani mogła jeszcze coś podpisać.

- Co takiego? - pyta Mia i przestaje jeść.

- Przyznanie się do winy. Jak pani wiadomo, METODA w ostatnim czasie miała pewne problemy z brakującymi wyznaniem prawdy.

- O czym pan mówi?

- Mówiłem przecież, że łączy nas współpraca. W pani sytuacji jest to zresztą zdecydowanie najlepsza rzecz, jaka mogła się pani przydarzyć.

- Nic z tych rzeczy, Kramer! To nadal ja ustanawiam zasady!

- Proszę się nie denerwować. Po prostu streszczę jeszcze raz wszystko, co się stało. Wtedy sama pani zobaczy. - Urywa na chwilę, żeby upić łyk gorącej wody i w zamyśleniu rzucić okiem do filiżanki. Następnie zaczyna mówić tonem reportera radiowego: - Służbie Bezpieczeństwa METODY udało się zidentyfikować Moritza Holla jako przywódcę komórki oporu, działającej pod nazwą Ślimaki. Regularnie spotykali się nad brzegiem rzeki w południowo-wschodniej części miasta, a posługując się tajemnym kodem grupy, w „katedrze”.

Do Ślimaków należał między innymi niejaki Walter Hannemann, znany Moritzowi Hollowi jako jego dawca szpiku kostnego, tym samym zaś człowiek, który ocalił mu życie.

Mia robi taką minę, jakby chciała wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Pan już chyba kompletnie oszalał!

- Czy jest pani wiadomo - pyta Kramer - że tymczasem Hannemann skończył tragicznie, odbierając sobie życie?

- Co? Jego też ma pan na sumieniu?

- Nie ja. Pani.

Kramer wyciąga kartkę, po czym rozkłada ją z irytującą powolnością. Ceremonialnie ustawia się w jak najlepszej odległości od Mii i dopiero wtedy zaczyna czytać.

- Proszę uważać, zaczynamy. „Ten plan stworzyłam ja, Mia Holl, wraz ze swoim bratem. Plan był równie prosty, jak genialny. Hannemann zabił Sybille. W oparciu o próbkę dna morderstwem tym, co wcześniej przewidzieliśmy, obciążono mojego brata. Moritz był opętany ideą, żeby umrzeć jako męczennik w walce z METODĄ. Samobójstwo będące gwarancją osobistej wolności stanowi w ogóle istotny składnik ideologii Ślimaków. Po zapadnięciu wyroku skazującego Moritz popełnił w więzieniu samobójstwo. Pomogłam mu w tym”. - Kramer podnosi wzrok i uśmiecha się do Mii. - Istnieją potwierdzające to nagrania wideo. Pani wie, o co chodzi. O żyłkę wędkarską.

Kramer wykonuje w powietrzu taki ruch dłonią, jakby przez maleńki otwór przeciągał coś długiego i cienkiego. Kiedy Mia zrywa się z krzesła, dziennikarz podniesioną w kapłańskim geście ręką przykuwa ją do miejsca.

- Jeszcze chwileczkę. Zaraz kończę. „W ten sposób doprowadziliśmy w sądownictwie do skandalu, który miał wstrząsnąć posadami METODY. Po śmierci Moritza przejęłam przywództwo Ślimaków. Taki był testament mojego brata. Ze względów bezpieczeństwa większość członków grupy nie jest mi znana. W «katedrze» spotykam się regularnie z łącznikiem o kryptonimie Nikt”. - Kramer

znów milknie. – Pamięta pani? Niedawno sama pani mi o nim opowiadała. Za kryptonimem Nikt kryje się zresztą mój młody kolega. Pan Larwer z telewizyjnego programu CO MYŚLĄ WSZYSCY . To godne ubolewania, nad wyraz godne ubolewania.

Mia wstaje. Kiedy chce się rzucić na Kramera, ten zrywa się i w powietrzu chwyta jej uniesione pięści. Przez kilka sekund stoją oboje, niemo walcząc ze sobą. Potem Mia się poddaje i osuwa na Kramera. Wygląda to tak, jakby tulili się do siebie kochankowie.

– Czasem człowiek stwierdza – mówi cicho Mia – że zapach drugiej osoby jest czymś cudownym.

– Dobrze z pani dziecko. – Kramer głaszcze ją delikatnie po głowie. – Dzielne, samotne dziecko.

W tym samym momencie Mia odpycha go od siebie, zdenerwowana skubie papierowe ubranie i przygląda włosy.

– Nigdy pan tego nie przeforsuje!

Kramer kołysze głową, a przy tym wyciąga z kieszeni spodni plastikową torebkę i zakłada sobie jej ucho na nadgarstek prawej ręki.

– Nie wiem – mówi. – Czy nigdy nie zadawała pani sobie pytania, dlaczego Moritz miał randkę w ciemno właśnie z ofiarą swojego dawcy szpiku kostnego?

– Zdarzają się takie okrutne przypadki.

– I to mówi przyrodniczka?

– Pan dobrze wie, że nie krył się za tym żaden plan!

- Dlaczego nie? Taki plan byłby genialny, prawda? Niezwykle przekonujący. - Kramer z uśmiechem zaczyna zbierać do plastikowej torebki puste tubki po żywności, starannie unikając bezpośredniego z nimi zetknięcia. - Mia, niech pani pozwoli zadziałać jadowi wątpliwości. Będzie pani wtedy miała coś, co w wolnym czasie da pani do myślenia.

- Ale z was bestie! Mordercy z zimną krwią! Ludzie na zewnątrz dowiedzą się o tym! - Mia pokazuje w kierunku, w którym, jak myśli, znajdują się drzwi wejściowe do więzienia. - A wtedy rozwalę tę waszą zbrodniczą budę!

- Ci tam na zewnątrz - mówi Kramer, wskazując uprzejmie w przeciwnym kierunku - wierzą zawsze temu, komu akurat chcą wierzyć. Pani Holl, nie podpisze więc pani?

- Spodziewałam się po panu czegoś więcej. Więcej wyrafinowania i mniej prostackich kłamstw. Czuję się urażona, że chce pan zaprząć mnie do tak kiepsko skleconego wozu. Czy naprawdę nie ma pan ani odrobiny sumienia?

Kramer chowa do kieszeni tubki owinięte w plastik. Odwraca się do Mii i robi do niej miłą minę, w której niepodobna dopatrzeć się śladu drwiny ani triumfu.

- Nazwijmy to po prostu poczuciem honoru. Dopiero niedawno sama pani twierdziła, że w istocie jeden system polityczny jest mi równie miły jak inny. Załóżmy, że to prawda. Załóżmy dalej, że w tej kwestii jesteśmy nawet tego samego zdania. W każdym systemie widać zawsze mnóstwo niezadowolonych i niewiele roześmianych twarzy. U nas liczba osób śmiejących się jest dość znaczna. Pani Holl, to

powinno nam wystarczyć.

- I za ten śmiech musiał umrzeć Moritz? - pyta Mia przez zaciśnięte zęby. - A potem Hannemann? I teraz może umrze jeszcze kilkoro innych?

Kramer ignoruje ten zarzut.

- Kto jest zdolny do analitycznego myślenia, musi spędzić życie w próżni albo podjąć stosowną decyzję. Pani zrobiła ten krok dopiero przed kilkoma dniami i z tego powodu nie wie pani, co znaczy taka decyzja wobec wynikających z niej konsekwencji. Ale konsekwencje, Mia, dopadną panią i już nie puszczą. Kto jednak nie chce w tej sytuacji zejść na psy jako oportunistą, potrzebuje przede wszystkim jednego: poczucia honoru. To wiąże mnie ze mną. A panią zwiąże ze sobą.

- Czy właśnie uzasadnia pan, dlaczego nie chcę się podpisać pod pańską skłamaną historią?

- Być może, moja droga - mówi Kramer z lekkim uśmiechem. - Mimo to jednak wrócę tu jeszcze i ponownie poproszę panią o podpis. *Santé*.

Larwer

Sędzia Hutschneider jest brodatym sześćdziesięcioletnim mężczyzną, który ma już za sobą większą część kariery zawodowej. Każde z jego dzieci mówi czterema językami; syn mieszka w Paryżu, a córka w Nowym Jorku. W weekendy Hutschneider wsiada do samolotu linii Cityhopper, aby odwiedzić wnuki, których zdjęcia jego żona nosi w medalionie na szyi. Z zewnątrz medalion jest ozdobiony herbem Hutschneidera, podobnie jak wycieraczka przed wejściem do jego domu. Państwo Hutschneiderowie witają każdego gościa słowami: „Serdecznie witamy w domu Hutschneiderów”, nawet jeśli to tylko monter przychodzi sprawdzić kaloryfery. Hutschneider wie, że zrobił wszystko jak należy. Przekonującymi na to dowodami są wycieraczka, medalion, Paryż i Nowy Jork. Prowadzi spokojne życie, w którym jedno z pewnością nie jest mu do niczego potrzebne: sprawa Mii Holl.

Po tym gdy z powodu stronnictwa wykluczono Sophie z postępowania i wysłano do sądu okręgowego na prowincji, przewodniczącym Sądu Przysięgłych mianowano na stare

lata Hutschneidera. On sam chętnie zrezygnowałby ze związanej z tym podwyżki przyszłej emerytury. Mia Holl nie jest oskarżoną, tylko tykającą bombą. Sędzia musi codziennie przeganiać z wycieraczki przed wejściem stado dziennikarzy, nie witając ich uprzednio serdecznie w domu Hutschneiderów. Do sądu wchodzi tylnym wejściem, choć z biegiem czasu tłum ludzi przed głównym portalem znacznie stopniał. Po biurze sędziego kręcą się bez przerwy urzędnicy Służby Bezpieczeństwa METODY.

Hutschneider jeszcze nigdy tak się nie cieszył, że jego dzieci są daleko stąd. Człowiek łatwo ulega obrażeniom, chociaż dwóch milczących strażników Służby Bezpieczeństwa ze słuchawkami w uszach nie odstępuje go ani na krok. Człowiek pije, oddycha, dotyka różnych rzeczy i wsuwa pokarm do ust. Od kilku dni szerzy się pogłoska, że Ślimaki pod przewodnictwem Mii Holl zaplanowały zakrojony na wielką skalę zamach trucicielski. W tej sytuacji Hutschneider nie zamierza grać bohatera. Żadnym fałszywym ruchem nie narazi swojej rodziny ani spokojnego schyłku życia. Gdyby ktoś go o to zapytał, natychmiast by przyznał, że nie dorósł do takiej terrorystki jak Mia. Postanowił, że w tego rodzaju drażliwej sprawie zaufa radom ludzi, których w tym celu wyszkolono.

Chociaż jednak owi eksperci wielokrotnie go przestrzegali, żeby pod żadnym pozorem nie pozwolił się uwikłać w tę sprawę, Hutschneider czuje zakłopotanie na widok siedzącej przed nim Mii Holl, oddzielonej szybą z pleksi. Ta kobieta o delikatnej figurze i jasnych oczach, które nad zapadniętymi

policzkami sprawiają wrażenie nienaturalnie powiększonych, wcale nie wygląda na potencjalną ludobójczynię. Ale Hutschneider mówi sobie, że mądra Sophie również dała się złapać na lep. Nikt nie potrafi zgłębić duszy drugiego człowieka. I przy całej miłości do natury ludzkiej to jest w porządku.

Hutschneider całkiem niepotrzebnie przyniósł na konfrontację swoje kodeksy, które niczym barierę ułożył na małym biurku.

- Pani Holl - mówi - proszę odsunąć włosy za ucho i z uniesionym podbródkiem spojrzeć na mnie. Dziękuję, tak jest dobrze.

Mia wypełnia jego polecenie, siedzi na stołku wyprostowana, nieomal dumna, i z nieznośnym uporem patrzy sędziemu w oczy. W jej wzroku kryje się mieszanina dziecinnego oburzenia, rozpaczliwej nadziei i strachu w czystej postaci. Po raz pierwszy w życiu Hutschneider pragnąłby mieć okulary przeciwsłoneczne.

- Niech wejdzie świadek koronny - mówi do niewielkiego mikrofonu stojącego na stole.

Nieomal w tym samym momencie otwierają się drzwi i dwóch strażników Służby Bezpieczeństwa wprowadza mężczyznę w kajdankach na rękach. Podobnie jak Mia, ma on na sobie ubranie z białego papieru. Połowę twarzy zasłania mu maseczka na usta. Hutschneider skinieniem daje strażnikowi znak, żeby podprowadził go do szyby.

- Panie Nikt - mówi - rozpoznaje pan tę kobietę?

- To jest Mia Holl - odpowiada bez wahania świadek

koronny.

Jego oczy wędrują nerwowo po pomieszczeniu. Ledwie zerknął na oskarżoną.

- Ojej - dziwi się Mia, patrząc ze współczuciem na spętanego mężczyznę. - Co z panem zrobiono?

- Punkt pierwszy - mówi Hutschneider do dyktafonu. - Oskarżona natychmiast nawiązuje przyjacielski kontakt ze świadkiem koronnym.

- Czy to Kramer wziął pana w obroty? - pyta Mia.

- To jest siostra Moritza Holla - mówi Nikt takim tonem, jakby odczytywał zeznanie z kartki.

- Przecież to pan Larwer, dziennikarz. Praworządne państwo jest jak but, którego się nie czuje, dopóki nie zacznie uwierać. Pan to kiedyś powiedział, prawda? Bardzo mi się podobało.

- Punkt drugi. Oskarżona zna tożsamość świadka koronnego. Podziela jego poglądy.

- Mia Holl przejęła po Moritzu Hollu przywództwo Ślimaków - ciągnie Larwer.

- Pan nie musi tego mówić - odpowiada smutno Mia.

- Jako łącznik wielokrotnie spotykałem się z tą osobą w „katedrze”.

- Punkt trzeci. Świadek koronny identyfikuje oskarżoną jako przywódczynię stowarzyszenia wrogiego METODZIE .

Nikt odwraca się w stronę sędziego.

- To wszystko - oświadcza.

- Larwer - mówi Mia - pisząc swój artykuł, pewnie pan intensywnie o mnie myślał? O niewinnej osobie w szponach

METODY ?

- Chciałbym teraz wyjść - prosi Nikt . - Natychmiast.

- Wyobrażał pan sobie, że rozmawia pan ze mną. O wszystkim, co pan od lat rozważał tylko w myślach. Czy zastanawiał się pan, jak pięknie byłoby podczas takiej rozmowy patrzeć sobie wzajemnie w oczy?

- Punkt czwarty. Oskarżona traktuje świadka koronnego jak człowieka o podobnych zapatrywaniach.

Nikt rozgląda się jak zaszczuty i skrępowanymi rękami usiłuje przyzwać do siebie wartownika.

- Złożyłem zeznanie! - woła. - To ja, Larwer! To są moje oczy. To jest mój głos. Jeśli podejdzie pani bliżej do szyby, będzie pani nawet mogła mnie poczuć!

- Punkt piąty - mówi Hutschneider. - Konfrontacja jest zakończona.

- Opowiadam się za tym, co pan naprawdę myśli! - woła Mia. - Opowiadam się za tym, co myślą wszyscy ! Larwer, ja jestem *corpus delicti*! Niech pan powtórzy te wszystkie swoje kłamstwa, patrząc mi prosto w oczy!

- Odprowadzić - mówi Hutschneider.

Nikt rzuca Mii szybkie spojrzenie, po czym wartownicy chwytają go i wyprowadzają. Sędzia w wielkim pośpiechu pakuje swoje rzeczy.

- Ponieważ życie jest takie bezsensowne, a mimo to trzeba je jakoś wytrzymać - przywołuje Mia własne słowa - mam nieraz ochotę zespawać ze sobą miedziane rury. W dowolny sposób. Aż się może upodobniać do żurawia. Albo po prostu będą tylko splecione jak siedlisko larw. Czy to nie jest

śmieszne, panie sędzio? Niech się pan śmieje razem ze mną!

Kiedy Hutschneider chowa swoje księgi i zamyka aktówkę, Mia nadal się śmieje. Śmieje się, jak myśli sędzia, absolutnie jednoznacznie z niego, który szybkim krokiem wychodzi z pomieszczenia.

Żadna miłość świata

Rosentreter jest złym aktorem. Wie również, że ona wie, że on wie – i tak dalej, aż po wieki wieków. Jeszcze nie wkroczył do pomieszczenia dla gości, a już czuje się zdemaskowany. Od kiedy dowiedziono niewinności Moritza, Mia patrzy osobliwym wzrokiem. Wydaje się on przenikać wszystko na wskroś, jakby cały świat zbudowany był ze szkła. Jest to spojrzenie, które boli i na które człowiek wystawia się niechętnie, zwłaszcza gdy musi przekazać złe wieści. A głowa Rosentretera, jego ręce, kieszenie koszuli i spodni aż pęcznieją od złych nowin. Adwokat ma wrażenie, że sam stał się złym newsem. Budzący zaufanie wyraz twarzy, który przybiera przed przekroczeniem progu, przyprawia jego policzki o ból. Oczywiście Mia już tam jest. Rosentreter nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek widział ją wchodzącą przez drzwi. Zawsze, kiedy on wkracza do pomieszczenia dla gości, Mia już siedzi lub stoi na właściwym miejscu, jakby ją tam wcześniej zainstalowano i ustawiono do wykorzystania w zaplanowanej scenie. Może ma jakieś przyciski na plecach albo miedziany zwój w brzuchu. Od wielu dni Rosentreter

uzmysławia sobie, że coraz bardziej jej nienawidzi. Wstydy się tego uczucia, a także tego, że dobrze mu ono robi. Upraszcza sytuację. Zupełnie bezpodstawna, a mimo to płynąca z głębi duszy nienawiść do Mii przynosi Rosentreterowi ulgę.

Mia patrzy na niego i czeka bez ruchu, żeby zajął miejsce za szybą z pleksi. Twarz kobiety się zapadła, toteż adwokat zadaje sobie pytanie, czy dają tu Mii za mało do jedzenia. Mówiąc szczerze, wcale nawet nie chce tego wiedzieć. Najchętniej zakończyłby całą tę historię. Od jego wielkiego sukcesu sądowego w sprawie Moritza Holla wszystko toczy się nie tak jak powinno. Jest to wina Mii. To ona bowiem odmówiła zastosowania się do jego rady i uparła się, że będzie prezentować stanowisko radykalne. Ta jej osobliwa gotowość do otwierania drzwi i bram takiemu drapieżnikowi jak Kramer! W oczach Rosentretera wygląda to na obsesję, masochizm, aby nie powiedzieć: zaburzenie umysłowe. Oczywiście to on spowodował wszystkie te wydarzenia i przekuł je w prawdziwy sukces. Potem jednak Mia wyjęła mu cugle z rąk, aby zrealizować własne pokrętne plany. Teraz Rosentreter nie potrafi już nic więcej dla niej zrobić. W żargonie prawniczym nazywa się to wyprzedzającym związkiem przyczynowym. Zwykły problem poczytalności. Mia chciała sama coś spowodować i tym samym jest również osobiście odpowiedzialna za konsekwencje. Adwokat nie ma najmniejszego powodu aby czuć wyrzuty sumienia.

Kiedy już Rosentreter siedzi przed aresztowaną kobietą, jej twarz się rozjaśnia.

- Hej - mówi Mia.

Najwyraźniej cieszy się na jego widok, za co Rosentreter nienawidzi jej jeszcze bardziej. Swoją stan emocjonalny usprawiedliwia w skrytości ducha zakłopotaniem. Czuje, że zawiódł na całej linii. Nie ma nawet pojęcia, w jaki sposób zacząć tę rozmowę, nie mówiąc już o tym, co powinien zrobić w następnym ruchu. Mia przychodzi mu z pomocą.

- To bardzo proste - mówi, a zmartwiony Rosentreter zadaje sobie pytanie, czy Mia umie czytać w myślach. - Nabierasz powietrza do płuc, napinasz podniebienie miękkie i głośno, pozwalasz, żeby musnął je oddech, a przy tym poruszasz językiem i wargami. Innymi słowy: opowiadaj!

Mia się uśmiecha. Była to z jej strony najwyraźniej próba żartu. Teraz na pociechę przykłada jeszcze rękę do szyby, a Rosentretera ogarnia taka rozpacz, że daje mu to wystarczająco dużo siły, aby się wreszcie wziąć w garść.

- Sąd Najwyższy METODY odrzucił twoją, czyli naszą skargę. - Chrząka. - Nie widząc szans na sukces.

- To znaczy, że zostanę tutaj?

- Na to chyba wygląda. Wniosek o uznanie sprawy za wyjątkową został również ostatecznie oddalony. Będą kontynuować proces przeciw tobie.

- To nas chyba nie zaskakuje?

- Nie.

- Przyniosłeś gazety? Przeczytaj mi.

- Naprawdę?

- Koniecznie.

Rosentreter wyciąga niewielki plik prasy codziennej. Stara

się wybrać jedynie najłagodniejsze artykuły.

- „Nowa wiedza w sprawie Holl – czyta. – Znalezienie botuliny rzuca nowe światło”.

- Botuliny? – pyta Mia.

- Chyba chciałaś, żebym ci przeczytał?

- Jasne. Co się dzieje?

- Może lepiej sam ci opowiem. – Rosentreter odkłada gazety na bok i wyciąga chusteczkę do nosa, aby wytrzeć dłonie. – W twoim mieszkaniu znaleziono kultury bakterii. W tubkach z żywnością.

- W moim mieszkaniu? – Mia zastanawia się przez chwilę. Potem cień pada na jej twarz. – O rany! A więc po to były Kramerowi potrzebne te tubki.

- Znajdowały się na nich twoje odciski palców. A w środku pięćdziesiąt gramów botuliny.

- Wystarczyłoby do unicestwienia połowy kraju!

- Ktoś z twojego laboratorium zeznał, że botulina była ci potrzebna do pracy.

- To było dziesięć lat temu. Chodziło o stworzenie nowego leku.

- Mia, to nie odgrywa żadnej roli. Służba Bezpieczeństwa METODY zeskanowała wszystkie twoje dane. Zapamiętane rozmowy telefoniczne, wyniki podsłuchów twojego mieszkania, korespondencję elektroniczną.

- I co?

- Na twoim liczniku były dane z planami zaopatrzenia w wodę pitną.

- Mieszkam w „domu pod opieką”. Mam również plany

zaopatrzenia w prąd i plany kanalizacyjne.

- Zatrucie botuliną byłoby katastrofą.

- Ty wiesz, że to nonsens?

- Tak.

- I co zrobimy?

- Natychmiast wniosłem zażalenie na czynność przeszukania domu. Ale oni się pilnowali. Wszystko było doskonale. Uzasadnienie prokuratora. Zarządzenie sędziego. Znaleźisko zostało potwierdzone przez neutralnych świadków. Przez niejaką panią Pollsche i niejaką panią Lizzie.

- A to się ucieszyły.

- Trudno dowieść błędów Służbie Bezpieczeństwa METODY. Aby nie powiedzieć, że jest to niemożliwe.

Mia powoli kiwa głową. Wreszcie przekrzywia ją, jakby czegoś nasłuchiwała.

- Ludzie na zewnątrz już nie krzyczą?

- Nie - odpowiada z ubolewaniem Rosentreter. - Na zewnątrz nikt nie stoi.

- Dziwne. Nadal słyszę wołania.

- I tak jest dobrze! - Rosentreter uderza dłonią w oparcie plastikowego krzesła. - Nie poddamy się.

Wniosę nową skargę do Sądu Najwyższego METODY. I wystosuję do Rady METODY petycję, w której przedstawię nasze stanowisko. Poza tym znam młodego dziennikarza, który...

Mia unosi głowę.

- Chciałbyś się pozbyć mojej sprawy?

- Czy ja tak powiedziałem? - protestuje adwokat. - Jakim cudem przychodzi ci to na myśl?

- Byłabym ostatnią osobą, która z tego powodu pogniewałaby się na ciebie. Jeśli chcesz się wycofać, powiedz lepiej od razu.

Oboje milczą przez chwilę, zajęci własnymi myślami. Potem Rosentreter prostuje się i uprząta gazety. Oczywiście, że wolałby złożyć ten mandat. I już nigdy nie spotkać się z Mią. Ale nie może tego zrobić właśnie dlatego, że ona to zaproponowała. Są ludzie, myśli Rosentreter, którzy nie nadają się ani na bohaterów, ani na przestępców. Zawsze jest ich zbyt wielu. Kiedy odpowiada Mii, brzmi to ku jego własnemu zdumieniu bardzo zdecydowanie.

- Nie - mówi. - Przejdziemy przez tę sprawę razem.

- Jak uważasz.

Mia nie wygląda na osobę, która by się ucieszyła z jego decyzji. Może, myśli dalej Rosentreter, już jej zubożyło, czy będzie miała obrońcę. Może już dawno zrozumiała swoją sytuację lepiej niż on. Może ocenia własny los tak, jak to wynika z jej osobowości: trzeźwo, precyzyjnie, bez cienia sentymentalizmu. I wie już, że nie chodzi o potyczki, o strategię procesowe czy o petycje do Rady METODY. Nie chodzi o znalezienie botuliny, lecz o fakt, że ścieżka danych człowieka zawiera miliony poszczególnych informacji, z których można ułożyć dowolną mozaikę. Skoro METODA myśli, że w osobie Mii Holl ma przed sobą kogoś, kto jej zagraża, to również widzi kogoś takiego. A Rosentreterowi wystarczy tylko spojrzeć na Mię lekko

z ukosa, tak że jej nos z profilu ostro wystaje i oczy szczególnie głęboko spoczywają w oczodołach – żeby sam to zobaczył. Patrzy tak długo, aż wreszcie Mia oburącz odgarnia włosy do tyłu i uśmiecha się do niego.

– A ty? – pyta lekkim tonem. – Jak się tobie wiedzie?

– No cóż – zaczyna Rosentreter. Już od wielu dni sam sobie zadaje to pytanie. Bez przerwy. Ale bez rezultatu. – Rozstałem się ze swoją... znajomą.

– Co ty mówisz? – Tą wiadomością Mia jest wzburzona bardziej niż wszystkimi poprzednimi. – Z kobietą, która działała na ciebie jak zimna woda na oparzenie? Dlaczego, u licha?

– Tak było lepiej. Tylko się spieraliśmy. Całymi tygodniami. O ciebie.

– Ale ona chyba nie myśli, że my...

– Nie, co to, to nie. – Adwokat śmieje się gorzko. – To nie byłoby jeszcze takim problemem. Ona nie mogła zrozumieć, dlaczego przez twoją sprawę sam narażam się na niebezpieczeństwo. Zarzucała mi karierowiczostwo. W końcu musiałem jej powiedzieć, o co chodzi z tym twoim procesem. Że nie wytrzymałem, że czułem się jak uciekający morderca, i to tylko dlatego, że spotkałem kobietę swojego życia. Że chciałem dać znak. Że musiałem się bronić, gdy nadarzyła się okazja. – Rosentreter zasłania twarz; jego głos brzmi głucho. – Kiedy to zrozumiała, po prostu puściły jej nerwy. To jest łagodna istota, ale nigdy wcześniej tak na mnie nie nakrzyczała. Jak wpadłem na pomysł, że nasza miłość mogłaby być ważniejsza niż całe państwo? Żadna miłość

świata, krzyczała, nie usprawiedliwia obrony terrorystki.

- Terrorystki?

- Musiałem na tym poprzestać. Nie mogłem jej nawet wyjawiać prawdy, rozumiesz? Dla jej własnego bezpieczeństwa. Ona prowadzi normalne życie. Jak większość normalnych ludzi nie wierzy w nic... oprócz tego, co piszą w gazetach. Nie mam prawa niszczyć jej świata. Nie mam prawa jej w to wciągać.

- To mocny cios - mówi Mia. - Tym samym straciłeś równocześnie powód i cel podróży. Perfidna metafora nonsensu. Cieszę się, że nie jestem w twojej skórze.

Rosentreter opuszcza ręce i zaczerwienionymi oczami spogląda na Mię.

- Uważasz, że twoja sytuacja jest lepsza od mojej?

- Ależ oczywiście. W każdej sekundzie mogę sobie powiedzieć, że Moritz by tego chciał. I tego również. A tego tutaj wciąż jeszcze by chciał. Moja przewaga polega na tym, że on nie może zaprotestować.

Rosentreter podnosi się w nagłym pośpiechu i zbiera swoje rzeczy. Każdy człowiek ma własną granicę bólu. Ostatnie zdania ją przekroczyły.

- Wybacz - mówi. - Muszę już iść.

- Podejdź do szyby - szepcze Mia.

Przykładają z obu stron dłonie do plesi.

- Przyniosłeś to? Tę jedyną rzecz, o którą cię kiedykolwiek poprosiłam.

Rosentreter wkłada lewą rękę do kieszeni marynarki i chowa między palcami coś, co, markując pocałunek przez

szybę, wsuwa następnie przez jeden z otworków w membranie.

- Dziękuję.

Mia zamyka ten przedmiot w pięści. Nie jest to żyłka wędkarska, lecz długa igła.

Średniowiecze

Opublikuję sprostowanie. – Spłoszony wzrok Mii wędruje tam i z powrotem między oczami Kramera. – Wszystko zdementuję: botulina w tubkach! Śmiechu warte! Czy pan wie, że kultury bakterii nie mogą się rozmnażać w pojemnikach próżniowych? Skorygujemy kilka przyrodniczych szczegółów pańskiego planu. Znow jest mi pan potrzebny jako tuba. Proszę wziąć kartkę i długopis.

– To nie jest dobry moment na dalsze proklamacje. Sprawy toczą się świetnie. My oboje przez chwilę zachowamy absolutny spokój, a zawstydzeni rewolucjonisci hobbyści wrócą do domów.

– Pan, jeśli chce, może sobie zachowywać spokój. Ja nie. Ja chcę przemówić do swoich ludzi.

– Mia, bardzo mi przykro.

– Proszę wziąć kartkę i długopis!

Mia dopada go susem i wystawia pazury, jak to już kiedyś zrobiła wobec strażników METODY. Do przemocy człowiek przyzwyczaja się najszybciej.

– Mnie jest wszystko jedno – woła – i to sprawia, że jestem

groźna!

- Przede wszystkim niech się pani nie ośmiesza.

Kramer nawet nie próbuje się bronić. Wobec jego twardej postawy atak Mii kończy się bez efektu. Pewnie łatwo jest, drapiąc i kopiąc, bronić się w obliczu brutalnej napaści. Ale zaatakowanie człowieka, który trzyma ręce w kieszeniach spodni i w niedbałej pozie opiera się o ścianę, to coś dla zaawansowanych.

- Okay - mówi Kramer, używając słowa, które rzadko słyszy się z jego ust.

Gdyby Mia знаła go lepiej, dałoby to jej do zrozumienia, że przez chwilę naprawdę się wystraszył. Kobieta całkiem opada z sił.

- Jeśli już można, to chętnie przeszedłbym do interesów. - Kramer strzepuje z rękawów marynarki minione sekundy i jak prelegent zaczyna spacerować przed Mią tam i z powrotem. - Mówiliśmy ostatnio o przyznaniu się do winy i jego roli w postępowaniu karnym. Kiedy go brakuje, potrzebny jest precyzyjny łańcuch dowodowy, zeznania świadków, odciski palców, nagrania magnetofonowe i tym podobne rzeczy. Subiektywna prawda oskarżonego zostaje niejako zastąpiona prawdą w miarę obiektywną.

- Nader ulubioną metodą są testy DNA - szepcze Mia, co Kramer ignoruje.

- W pani sprawie łańcuch dowodowy wydaje się pozbawiony luk. A mimo to METODA jest bardzo zainteresowana tym, żeby się pani przyznała do winy. Proponują pani rozliczne przywileje.

- Przywileje?

Mia bez zrozumienia unosi głowę. Wystarczy krótkie spojrzenie w oczy Kramera, żeby się zorientować, co zawiera masa przetargowa. Państwo, które opiera się na METODZIE, czyli na bezwarunkowym poszanowaniu życia ludzkiego, nie może wydawać wyroków śmierci. W zamian za to istnieje śmierć pozorna... i związana z nią szansa, że kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, w zmienionych warunkach politycznych skazaniec zostanie zrehabilitowany. Mądre rozwiązanie, a mimo to dla osoby skazanej nieprzyjemne. Jak zwykł mawiać Moritz: „Kto umiera, ten się wymyka. Kto zostaje zamrożony, ostatecznie staje się własnością systemu. Jako myśliwskie trofeum”.

- Doprawdy posuwacie się do najdalszych granic - przerywa Mia ciszę. - A ja nawet nie wiem, co mi się zarzuca.

- Owszem, wie pani. Dawniej powiedziano by: zdradę stanu.

- A dzisiaj?

- Mia, Służba Bezpieczeństwa METODY wstawiła się za panią. Na usilną prośbę ekspertów prokurator Bell i sędzia Hutschneider oświadczyli, że jeśli przyzna się pani do winy, będą gotowi uznać okoliczności łagodzące. Kara pozbawienia wolności zamiast zamrożenia. A po kilku latach może łagodniejsze warunki jej odbywania. Jest pani jeszcze młoda.

- Naprawdę pan chce, żebym przyznała się do wymyślonej przez pana bzdury z botuliną? Żebym stwierdziła, iż śmierć mojego brata była inscenizacją w wykonaniu fikcyjnej grupy

ruchu oporu? Panie Kramer, pan oszalał.

- Wydaje mi się, że powinna pani zastanowić się nad tym w spokoju.

- Ani mi się śni. Zabraliście mi wszystko, co było dla mnie ważne. Brata, mieszkanie, pracę. Wiarę w coś takiego jak sprawiedliwość, jeżeli kiedykolwiek ją miałam. Czy pan wie, co zostaje na sam koniec?

- Czy teraz znowu posłuży się pani jakimś anachronizmem rodem z dwudziestego wieku?

- Zostaje dusza - mówi Mia. - Umysł. Godność. Skoro zamrożenie mnie sprawi wam przyjemność, zróbcie to.

- Tego pani brat z pewnością by nie chciał.

- Panie Kramer! - krzyczy Mia. - Niech pan nigdy więcej nie mówi o Moritzu. Jeśli jeszcze raz w pana ustach pojawi się jego imię, moim życzeniem będzie, aby się pan nim udławił!

- Ależ, ależ! Coś takiego! - Kramer z udawanym przerażeniem wykonuje w powietrzu znak krzyża. - Klątwa czarownicy. *Vade retro!* Proszę wybaczyć. To taki żarcik. A teraz z powrotem do powagi sytuacji. Sprawa Moritza to ciężki cios dla naszego kraju. METODA po raz pierwszy okazała się omylna. Pani wie, że istniały groźby terrorystyczne?

- Myślałam, że rewolucjoniści hobbysci rozeszli się do domów!

- RAK nabrał rozpędu. Stosowne władze zgłaszają przypadki, kiedy to ludzie bez wytłumaczalnego powodu zaczęli uchylać się od swoich obowiązków względem zdrowia

i higieny. Mia, musi pani zdać sobie z tego sprawę. – Pochyla się do przodu i usiłuje chwycić Mię za rękę w tak oczywisty sposób, jakby tymczasem okoliczności się ze sobą pobrały. – W dzisiejszych czasach nikt już nie ma funkcjonującego bez zakłóceń układu odpornościowego. Jeśli przestaniemy wspólnie pracować nad bezpieczeństwem i czystością, za kilka tygodni będziemy mieli epidemię.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Każdy ruch oporu będzie się w przyszłości powoływał na pani brata. Historia poucza nas, w jaki sposób poszczególne wydarzenia prowadzą do krwawych katastrof. Defenestracja praska, szturm na Bastylię, zamordowanie następcy tronu w Sarajewie. Skazanie Moritza Holla. Apeluję do pani rozumu. Skoro pani, jak sama mówi, znalazła swoje prawdziwe Ja, powinna pani zadać sobie również pytanie, w jaki sposób owo Ja ma unieść ciężar takiej odpowiedzialności.

– Ciężar? – Mia wzrusza ramionami. – Nic nie czuję.

Kramer robi krok w jej stronę.

– Czy gdyby pani mogła, nie cofnęłaby pani zabójstwa arcyksięcia Franciszka Ferdynanda?

– Może – odpowiada Mia z wahaniem.

– Tego, co się stało, nie można niestety cofnąć. Ale tego, co ma się wydarzyć w przyszłości, pani Holl, da się uniknąć. Czy w obronie własnej „godności” chce pani zagrozić systemowi, od którego zależą miliony osób? Czy „godne” jest stawianie swojej osoby ponad wszystko inne? Pani Holl, co jest najważniejsze? Kim, wobec pani godności, jest człowiek?

- Nie mam pojęcia - mówi Mia przekornie.
- Niechże więc pani łaskawie się nad tym zastanowi! Daję pani dobę.
- Nie potrzebuję. Nie zdradzę ani swojego brata, ani siebie samej.
- Czy to pani ostatnie słowo?
- To bardzo proste. Panu się wydaje, że może mnie przekonać, bo nie mam żadnych argumentów. Ale jest wręcz przeciwnie. Ja nie potrzebuję argumentów. Im mam ich mniej, tym staję się silniejsza.
- Mia... - Kramer zaciera ręce, chowa je do kieszeni i znowu wyjmuje. Nagle do pewnego stopnia przypomina Rosentretera. Najwyraźniej walczy z jakąś bolesną myślą. - METODA składa pani propozycję. Ale nie prosi. Czy pani to rozumie?

Ponieważ Mia nie odpowiada, Kramer znów podejmuje spacer po celi.

- Jeszcze nie skończyliśmy tej rozmowy. Muszę panią poinformować, że historia prawa karnego przy całym postępie nie jest niczym zupełnie skończonym. W sytuacjach o szczególnym znaczeniu i wysokiej drażliwości, a zatem kiedy istnieje zagrożenie dla ogółu, zdarza się, że trzeba sięgnąć po dawno zarzucone środki.

Mia przez kilka sekund patrzy mu nieruchomo w oczy, niezdolna powiedzieć ani słowa.

- Jasny tekst, Kramer - mówi wreszcie zduszonym głosem.
- Co się panu roi w głowie?
- Jeśli chodzi o szczegóły techniczne, niewiele się zmieniło.

Prawdę mówiąc, wszystko tu funkcjonuje jak przed pięćdziesięciu laty. Postawią panią na skrzyni, nagą, rozumie się, i naciągną pani na głowę czarny kaptur. Do palców u rąk i nóg oraz do narządów płciowych zostaną przymocowane kontakty, przypominające klamerki do suszenia prania. – Otwiera i zamyka dłonie, jakby uruchamiał takie klamerki. – W sposób stały zacząć zwiększać moc prądu. Dwóch dobrze wykształconych lekarzy z kliniki uniwersyteckiej zadba o to, żeby pani przy tym nie... zeszła.

Mia kręci przecząco głową, wybucha śmiechem, odwraca się i biegnie do drzwi. Są zamknięte. Kilka razy szarpie za klamkę, a potem po prostu stoi, podnosi palec wskazujący i przesuwając nim po chłodnym metalu, jakby chciała zbadać jakość powierzchni.

– A więc to tak. A więc nic nie jest nieodwracalne, mimo wszelkiego postępu! – Odwraca się ze śmiechem. – W istocie wszyscy to wiedzieliśmy, prawda, Kramer? Pan tak czy owak. Ale ja również. Nic się nie zmieniło. Nigdy nic się nie zmienia. Jeden system jest równie dobry, jak drugi. Średniowiecze nie jest epoką. Średniowiecze to nazwa ludzkiej natury.

– Mocne słowa i niezupełnie chybione. Czy zatem przemyśli pani ponownie swoją decyzję?

– Nie. Będzie pan przy tym?

– Niechętnie. – Kramer chrząka. – Mój żołądek nie jest w najlepszym stanie. Skoro jednak pani nalega...

Trzeba, można, wolno

To tylko moje ciało. Ciało. Tylko ciało.

Po głosie Mii słysząc, że już od wielu godzin rozmawia w ten sposób sama ze sobą.

- Moje palce u nóg są częścią ciała. Moje palce u rąk są częścią ciała. Moje genitalia są częścią ciała. Ręce i nogi są częścią ciała. Żołądek jest częścią ciała. Serce jest częścią ciała. Mój mózg... - Urywa na chwilę; jej ramiona wzdrygają się od konwulsji, głowa kilkakrotnie uderza o ziemię. - Również mój mózg jest częścią ciała. Materia, która gapi się sama na siebie. To mogą mieć. Moritz by tego chciał.

Znowu przebiega ją dreszcz, próbuje więc podłożyć rękę pod prawą skroń, aby ochronić czoło. Jakby nadal była podłączona do maszyny. W pewnym momencie usunięto skrzynię oraz przewody i zostawiono Mię na podłodze. Zwinięta jak embrion leży teraz w swojej małej celi i pomijając regularne konwulsje, już od bardzo dawna się nie rusza. Podłoga jest wykafelkowana, dlatego też chłodna i twarda. Z tego punktu widzenia Mia ma szczęście, że siebie nie czuje. Większych problemów niż podłoga przysparza jej

migotanie światła.

Ściśle mówiąc, włącza się ono i wyłącza w regularnych odstępach, co półtorej sekundy. Ciało Mii ogarnia rozżarzona jasność, a potem jest ono rzucone w ciemność. Włącza się i wyłącza. Trzeba migotać. Wolny człowiek przypomina niesprawną lampę. Tak kiedyś wyraził się Moritz.

Światło przeszkadza Mii spać. Przeszkadza jej myśleć. Każdy nowy błysk światła niczym nóż wdziera się w mózg. Nie ma spokoju. Nie ma nieświadomości. Nie ma zanurzania się w łaskawe zapominanie. Mię albo to, co z niej zostało, skazano na czuwanie.

- Dobrze w siostrze jest to, powiedziałeś kiedyś do mnie, że nie trzeba w nią wierzyć. I że to różni mnie, twoją siostrę, od Boga, od ciebie samego i od wszystkiego, o czym myślisz lub co czynisz. Twierdziłam, że poza Bogiem nikt nie jest taki głupi, żeby nieustannie żądać dowodów na jego istnienie. Spoważniałeś i odparłeś, że istnienie Boga jest już od dawna udowodnione, i to dzięki zdaniom: „Boga nie ma” albo „Bóg umarł”. Ponieważ nie chciałam tego zrozumieć, musiałeś mi to wytłumaczyć. Gdyby coś naprawdę nie istniało, powiedziałeś, nie musielibyśmy temu zaprzeczać ani uznawać tego za martwe. W przeciwnym razie mielibyśmy nieskończenie wiele zdań w rodzaju: „Kazematów nie ma” albo „Tarenka umarła”. Co to są „kazematy”?, zapytałam. I kto to jest „tarenka”? Wtedy ty zacząłeś się śmiać. I to jak! Widzisz, wykrzyknąłeś, coś takiego rzeczywiście nie istnieje! Dobrze, że nie jesteśmy zdani na bezustanne negowanie tego, co nie istnieje, aby powstrzymać to od zaistnienia.

W przeciwnym razie całymi dniami nie mielibyśmy nic innego do roboty. Wówczas skończyłeś właśnie dwanaście lat.

Kiedy Mią wstrząsają kolejne konwulsje, udaje się jej wsunąć obie ręce pod głowę i trochę się przekręcić, już prawie na plecy.

- Oczywiście, że śmiałam się razem z tobą. To było piękne. Lubiliśmy się razem śmiać, zwłaszcza gdy byliśmy dziećmi, a ty odkrywałeś dla siebie filozofię. Filozofia była przedmiotem niekończącego się śmiechu. „Trzeba”. „Można”. „Wolno”. Co to w ogóle znaczy? Czy za tymi słowami kryje się jakiś ktoś lub jakieś coś? „Trzeba”, „można”, „wolno” – co to w ogóle znaczy? Tak potrafiłeś pytać. Co można? Komu lub co trzeba? Komu, czemu wolno? Bogu? Skoro tak, to Bóg jest kwestią przypadku. I formą nieosobową. A więc to tylko problem gramatyczny.

Mia wydaje z siebie odgłos, który przy dobrej woli można by zinterpretować jako mieszaninę śmiechu i kaszlu.

- Byłeś taki mądry. Już nigdy nie mogłam powiedzieć „trzeba”, „można”, „wolno”, nie uśmiechając się przy tym. Czy pada? Jaką w ogóle mamy porę roku? Każdy człowiek powinien mieć za oknem ciemną koronę drzewa albo czarny dach łupkowy po drugiej stronie ulicy, coś, na co mógłby się gapić, aby dowiedzieć się, czy pada. Potrzebujemy fundamentalnego prawa do czerni. Będę o to walczyć. Noc została wymyślona po to, żebyśmy po trochu przyzwyczajali się do ciemności. Sen został wymyślony po to, żebyśmy noc w noc przyzwyczajali się do śmierci. Wyłącz światło. Czasem

z długich toków myślowych wynika jedynie to, że jest jesień.

Przez chwilę Mia leży w milczeniu i w takt włączania się i wyłączania światła stuka zwiotczając stopą o podłogę, aż wreszcie umysł znów się zachwaszcza wskutek nieprzerwanej, dojmującej, niepotrzebnej produkcji myśli. Nieprzenikniony gąszcz argumentów. Mowa to proces karczowania.

- Twoje kolana są moim jedynym krzesłem. Twoje plecy moim stołem. Twoje oczy moimi oknami. Twoje usta są szklanką, z której piję. Twoje serce jest moim pożywieniem, twój puls zegarkiem, twoje życie czasem. Twój oddech jest moim powietrzem. Twoja twarz księżycem, kiedy nocą pochylasz się nade mną, i słońcem, gdy w ciągu dnia śmiejesz się do mnie. Twój puls jest moim zegarkiem, twoje życie moim czasem. Twoja śmierć jest moją śmiercią.

Konwulsje gwałtownie wracają, powodując, że Mia rzuca głową tam i z powrotem, jakby w ten sposób mogła niczym muchy przegonić uprzykrzone myśli. Kiedy jej skroń kolejny raz spotyka się z podłogą, prawdopodobnie przez prawe ucho wnika ból, który niczym kwas rozprzestrzenia się wzdłuż podbródka, powoduje drętwienie warg i zamyka jej prawe oko. Mia widzi przed sobą własną głowę w postaci kopca mrówek składającego się z samych delikatnych korytarzy, wypełnionych żrącą cieczą. Potem wreszcie zapada ciemność.

Rozrzedzone powietrze

Plusk; nieregularne, jasno brzmiące szemranie; zbyt głośne jak na deszcz, zbyt kropliste jak na rzekę. Na dodatek czuć octem. Kiedy Mia otwiera oczy, patrzy prosto w twarz Kramera. I nawet się temu nie dziwi. Od dawna jest tak, jakby jego konterfekt namalowano po wewnętrznej stronie jej powiek.

- Co pan tu robi? - pyta.

- Pracuję nad pani zmartwychwstaniem. - Kramer zanurza ąbkę w misce i przesuwą nią po czole Mii. - Jak się pani czuje?

- Znakomicie. Za minutę będę wystarczająco silna, aby rozwalić panu łeb.

- To by mnie ucieszyło - mówi Kramer.

Nagle Mia konwulsyjnie rzuca głową i wytrąca Kramerowi miskę z ręki.

- Przepraszam - mówi. - To uszkodzenia towarzyszące. Ale prawdopodobnie i tak już nie o to chodzi.

- O tym chciałem z panią porozmawiać.

Kramer przyniósł dwa krzesła, na których już kiedyś

siedzieli i gawędzili z Mią, a które po jego ostatniej wizycie natychmiast wyniesiono z celi. Musi podnieść Mię z podłogi, aby przetransportować ją na jej miejsce. Przez chwilę stara się ułożyć części ciała kobiety w pozycji siedzącej i przywrócić jej równowagę, żeby natychmiast znowu nie osunęła się z krzesła.

- Dawniej - zaczyna Mia - kiedy kobiety oskarżone w procesach czarownic przeżyły tortury, puszczano je wolno.

- Nasze odwołanie do średniowiecza niestety nie sięga tak daleko.

- Niech pan stanie tam w kącie - mówi Mia, wskazując podbródkiem.

- Co?

Kramer, który właśnie zamierzał usiąść, zatrzymuje się.

- Proszę wyświadczyć mi tę uprzejmość.

Dziennikarz odwraca się i idzie we wskazane miejsce.

- Wie pani - pyta - co jest dla mnie najbardziej wstrząsające?

- Niech pan uklęknie.

Rzuciwszy badawcze spojrzenie na bezwładną postać Mii, Kramer opada na kolana i z tej pozycji mówi dalej. Wygląda przy tym staroświecko. Jak modlący się chrześcijanin.

- Od wczoraj - mówi - nieustannie o tym rozmyślam. Zawsze wydawało mi się, że już w młodych latach zgłębiłem wszystkie ważne kwestie. Właściwie prowadzone życie dzieli się na cztery etapy. Przez pierwsze dwadzieścia lat jest się człowiekiem myślącym, przez następne dwadzieścia

mówiącym. W trzecim etapie się działa, a w czwartym wraca do rozmyślań. Niedawno przeszedłem od mówienia do działania.

- Niech pan wbije paznokcie w fugę między kaflami posadzki - mówi Mia.

Kramer posłusznie wykonuje polecenie i obmacuje podłogę.

- A wtedy pojawia się pani, żeby ponownie dać mi do myślenia!

Wygląda na to, że dziennikarz jest w dobrym nastroju. Na klęczkach obraca się w stronę Mii, jakby chciał sprawdzić, czy również ona cieszy się z jego umysłowej diety odchudzającej. Ale Mia jest zainteresowana bardziej konkretnymi sprawami. Resztką sił prostuje się na krześle i mruży oczy, żeby lepiej widzieć.

- Znalazł pan to?

- Czy o to chodzi?

Kramer wstaje. W palcach trzyma długą igłę.

- Świetnie - mówi Mia. - Proszę się zbliżyć.

Kramer posłusznie podchodzi do niej.

- W ogóle nie interesuje pani przedmiot moich rozmyślań?

Mia odbiera od niego igłę i konwulsyjnie potrząsa głową, co w tym wypadku istotnie ma oznaczać przeczenie.

- Nazwała mnie pani fanatykiem - mówi Kramer. - A tymczasem to przecież pani chce umrzeć za swoje nowe jak spod igły przekonania. Czy to nie dziwne?

- Niech pan się pochyli.

Kramer zgina się w pasie i niczym bramkarz opiera ręce na

kolanach, aż jego twarz znajduje się tuż przy twarzy Mii. Kiedy tak patrzą sobie z bardzo bliska w oczy, Mia podnosi igłę i celuje nią w prawą źrenicę Kramera.

- Nie umiem sobie odpowiedzieć na to pytanie - ciągnie dalej dziennikarz. - Co odróżnia fanatyka od męczennicy? Czy to nie ja jestem męczennikiem, ponieważ już przed laty zdecydowałem się na wybór jednej strony i wszystko temu poświęcam? I ponieważ chcę służyć jej również w przyszłości czymś najcenniejszym, co człowiek posiada, a mianowicie swoim życiem? Podczas gdy pani na oślep biegnie przeciw potężnej władzy, a przy tym bezwarunkowo chce pani pójść na śmierć! To jest fanatyzm. Może nie?

Mia coraz bardziej zbliża igłę do oka Kramera.

- W ogóle się pan nie boi?

- Nie - odpowiada Kramer.

- Widzi pan, a ja tak. Mój fanatyzm jest po prostu marną odnóżką pańskiego. - Opuszcza rękę. - Proszę sobie wyobrazić, że zorganizowałam sobie tę igłę specjalnie po to, żeby wbić ją panu przez oko do mózgu. Tyle był pan dla mnie wart. Z biegiem czasu jednak zmądrzałam. Najostrzejszą broń człowiek kieruje przeciw sobie.

Kramer nawet nie stara się ochronić oka przed ostrym narzędziem Mii. Nie usiłuje też powstrzymać jej przed dalszymi działaniami. Zyskuje tylko trochę dystansu i z obrzydzeniem wykrzywia twarz, gdy Mia podciąga lewy rękaw papierowego ubrania, obmacuje ramię i uderza. Ani odrobina wahania nie hamuje rozmachu jej ręki. Igła na centymetr wnika pod skórę kobiety.

- Które z nas - pyta Kramer, odwracając się - popełnia większe przestępstwo?

- Jeżeli ogarnia pana zwątpienie w siebie - mówi Mia z zaciśniętymi zębami - proszę być absolutnie pewnym jednej rzeczy: największą świnią pozostanie zawsze pan.

Krew spływa po ręce Mii. Czerwone plamy rozprzestrzeniają się na papierowym ubraniu. Odwracając głowę jak najbardziej w bok, aby móc lepiej widzieć, Mia trzyma igłę mocno w palcach i obraca ją w ranie, starając się poszerzyć jej brzegi.

- To, co pan tu widzi - mówi - to pańskie dzieło. Pan jest igłą, ramieniem i krwią. Pan jest prawnym właścicielem tych żalosnych szczątków, które niegdyś były czymś na kształt szczęśliwej kobiety. Panie Kramer, czy pan właściwie wsłuchuje się jeszcze w siebie? Najpierw mnie pan niszczy, a potem zarzuca mi pan, że nie mam już nic do stracenia. Jest w tym pewna doza humoru. - Mia znowu gwałtownie potrząsa głową. - Ile w panu dumy z tego, że nie jest pan fanatykiem! Jak starannie pilnuje pan racjonalnej przewagi, analitycznego dystansu! Ale uwaga, puenta dopiero nastąpi. Pan jest znacznie gorszy niż wszyscy fanatycy. Pan jest fanatykiem, który wstydzi się własnego fanatyzmu. Czy chce pan wiedzieć, co jest w tym szczególnie ohydne?

- Chętnie. Gdyby tylko mogła pani przestać wiercić sobie tą igłą w mięśni. Rozumie pani... mój żołądek.

Mia jednak wcale nie zamierza zaprzestać poszukiwań w krwawiącej dziurze.

- Fanatyk - mówi - czepia się danej idei niczym dziecko

matczynej spódnicy. Całe swoje szczęście opiera na tym, że jest największym ukochaniem mamy. Ale panu, Kramer, to nie wystarcza. Pan nie tylko chce być ukochaniem mamy, pan jeszcze pragnie patrzeć na mamę z góry. Pan żongluje pojęciami, aby wystylizować się na wolnomyśliciela. – Mia się śmieje. – Albo od razu na męczennika!

– Słowo „mama” zdaje się w tej chwili wiele dla pani znaczyć.

– Błąd, Kramer. To dla pana wszystko tutaj znaczy całe mnóstwo. Pańską mamą jest METODA, trzęsie się pan więc z żądy odzyskania najlepszego miejsca u jej piersi. Najwyraźniej moje ostatnie zadanie na ziemi polega na tym, żeby pokazać panu, co znaczy dorosłość. Proszę podejść bliżej i spojrzeć. Tu jest to świństwo.

Mia jeszcze trochę bardziej pochyla głowę nad swoim ramieniem i grzebie paznokciami w ranie.

– Mówi pani jak ktoś, kto nie umie przegrywać – zauważa Kramer, ale bez dotychczasowej siły przekonywania.

– Niech pan nie kombinuje. Ani nad panem, ani nade mną nie istnieje żadna instancja, która mogłaby nas osądzić. Prosi pan nicość o wyrok! Nikt panu nie powie, czy jest pan fanatykiem, czy też męczennikiem. Wspięliśmy się zbyt wysoko, wszystkie burze szaleją pod nami, powietrze się rozrzedziło. Kiedy krzykniemy, nie odpowie nam nawet echo własnego pytania. Woli pan wierzyć, że mimo wszystko jest pan dobrym człowiekiem, przede wszystkim zaś lepszym ode mnie? Proszę bardzo. Wszechświatowi jest to obojętne. Mnie zresztą również.

- Mnie nie chodziło o problem moralny, tylko o...

- Proszę, Kramer. Oto prezent dla pana.

Na wyciągniętej dłoni Mia podsuwa mu zakrwawiony chip, który wyjęła sobie z ramienia.

- Niech pan go weźmie. To ja. Pana pełnoprawna własność. Niech pan sobie każe dorobić do niego złoty łańcuszek.

- Dziękuję - mówi Kramer, wyciąga białą chusteczkę i zawija w nią chip.

- Reszta zostaje tutaj i nie jest niczyją własnością. - Mia osuwa się z krzesła na ziemię. - A tym samym własnością wszystkich. Wydaną na łaskę i niełaskę, a więc absolutnie wolną. Święty stan. Niech pan teraz idzie. Reszta chciałaby odpocząć.

Kramer chce jeszcze coś powiedzieć, ale milknie, widząc, że Mia już zamknęła oczy. Przez chwilę przygląda się jej spokojnej twarzy, a potem wzrusza ramionami.

- Duma męczenniczki - mówi, ale sam zdaje się nie do końca wierzyć pogardzie, którą wkłada w te słowa.

Patrz wyżej

Wybacz mi, Mia! Wybacz!

Są tam wszyscy. Przed zamglonym wzrokiem Mii sala nie ma końca; tłum widzów sięga po horyzont. Wśród czarnych manekinów Mia na próżno szuka tego z jasnym końskim ogonem. Pośrodku stołu sędziowskiego odkrywa za to brodatego starca, z którym już podczas ostatniego spotkania nie wiedziała, co począć.

Wzburzenie panujące w dużej sali rozpraw tak bardzo ją zaabsorbowało, że prawie nie zwróciła uwagi ani na ręce, które jeszcze przed chwilą obejmowały od zewnątrz pręty jej klatki, ani na głos, który raz po raz prosił ją o wybaczenie. Głos i ręce należały niewątpliwie do Rosentretera, który teraz znów zniknął jej z pola widzenia. Może ktoś go odciągnął. Mia uważa, że zamknięcie w klatce jest nawet przyjemne. W ten sposób może oglądać ten cały spektakl jak z łoża teatralnej. Przeszkadza jej tylko syk rozpylaczy umieszczonych w rogach klatki i co kilka sekund spryskujących ją środkiem dezynfekcyjnym. Przerwy przypominają błyski światła w celi, gdzie Mia, jak

przypuszcza, postradała ostatnie resztki rozumu. Wszystko, co słyszy lub widzi, zdaje się powstawać w wyobraźni osoby obłąkanej. Czarne manekiny królują nad rozwrzeszczanym tłumem ludzkim. Jeśli Mia dobrze rozumie, ludzie żądają jej głowy, nie potrafi jednak pojąć, co zamierzają zrobić z tą pustą puszką. Siedzący na przedzie brodacz, który dzisiaj wygląda na jeszcze większego nieszczęśnika niż zwykle, wali młotkiem w stół.

Wreszcie zalega cisza. Zbliża się lekarz w białym fartuchu. Ponieważ znajdująca się w klatce Mia cofa się przed nim, jakby przyszedł zamocować jej na palcach rąk i nóg przewody elektryczne, strażnicy zapędzają ją długimi drągami w róg klatki. Lekarz wkłada rękę między pręty i skanerem przesuwając po lewym ramieniu Mii. Spojrzenia wszystkich kierują się na ekran, na którym widać jedynie pusty świecący kwadrat. Mia się śmieje. Aparat do dezynfekcji syczy. Skaner wytwarza przeraźliwy sygnał ostrzegawczy. Lekarz znajduje strup na ramieniu Mii, po czym biegnie naprzód, żeby coś szepnąć sędziemu przewodniczącemu. Ten potakuje głową.

- Otwieram rozprawę - mówi Hutschneider. - METODA przeciw Mii Holl.

Jeden z czarnych manekinów wstaje i zwraca się twarzą w stronę Mii. Jest to prokurator. Podczas gdy Bell szykuje się do odczytania niemającej końca listy czynów karalnych, Mia z wolna zaczyna rozumieć, co tu się odbywa.

- Kierowanie grupą terrorystyczną - mówi Bell. - Pomoc w zabójstwie Sybille Meiler. Podżeganie narodu. Opór wobec

urzędników organu wykonawczego.

Wszyscy protagoniści mają okazję wystąpić po raz ostatni, niczym aktorzy, którzy przy końcowych brawach wychodzą przed kurtynę. Mia uważa, że tak trzeba. Piękny pomysł.

- Sabotaż wrogi METODZIE . Szkalowanie METODY i jej symboli. Nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów zagrażających pokojowi. Ataki na organy i przedstawicieli METODY . Publiczne nawoływanie do czynów karalnych. Zakłócanie spokoju publicznego.

Mia unosi ręce i przygotowuje się do klaskania.

- Planowanie zamachu na urządzenia do zaopatrywania w wodę pitną. Zdrada stanu. Przygotowywanie wojny terrorystycznej. Prokuratura wnioskuje o najwyższy wymiar kary. Zamrożenie oskarżonej na czas nieokreślony.

Kiedy Bell kończy, klaszcze tylko Mia. Z miejsc dla publiczności zrywa się jakiś widz.

- Nieuczciwy proces! - woła. - Niszczycielska kampania! Polowanie na czarownice!

Osoby siedzące obok niego usiłują usadzić mężczyznę z powrotem na krześle. Kilka głosów zwraca mu uwagę pomrukiwaniem, większość go zakrzykuje. Sędzia Hutschneider robi użytek ze swojego młotka.

- Spokój! - krzyczy. - Proszę o zaprowadzenie porządku!

Przybiegają dwaj strażnicy, chwytają wicherzyciela za ramiona i wywlekają go z sali. Za tę akcję przeprowadzoną bez zakłóceń Mia przyznaje im w myślach najwyższą liczbę punktów.

Na przedzie podnosi się następny czarny manekin,

w którym Mia rozpoznaje swojego adwokata, stwierdza jednak, że Rosentreter z przesadną emfazą gra sam siebie. obrońca wstaje o wiele za długo. Nerwowo targa włosy, jakby chciał zedrzeć sobie z głowy skalp niczym czapkę. Umiar byłby bardziej wskazany.

- Wysoki Sądzie - mówi Rosentreter - biorąc pod uwagę przytłaczający ciężar dowodów, obrona rezygnuje ze złożenia sprzeciwu.

Sala odpowiada poszeptywaniem. Tym razem Rosentreter nie przyniósł ze sobą, jak zwykle, stosu dokumentów. Wygląda pojedynczą kartkę i odczytuje z niej tekst niczym uczeń, który przed całą klasą ma zadeklamować wiersz:

- Ten, kto broni kogoś, kto zagraża METODZIE , nie musi od razu stać się jej wrogiem. Taki oskarżony ma możliwość bronić się osobiście. Niech żyje METODA . *Santé*.

Za ten marnie przygotowany tekst Mia krytykuje go, bucząc. Tymczasem Rosentreter siada z powrotem. Do buczenia dołącza się ktoś z ław dla publiczności.

- To przecież jakaś oszukańcza manipulacja! - słysząc z rogu sali głos, który po chwili milknie. Strażnicy ustawili się ze wszystkich stron i omiatają publiczność spojrzeniami.

- Obrona powołuje się na prawo do ochrony w procesie karnym - mówi głośno sędzia Hutschneider. - Sąd wpisuje to do protokołu. Zaczynamy postępowanie dowodowe. Proszę Heinricha Kramera, aby zajął miejsce dla świadków.

Nie wstaje żaden czarny manekin, tylko szczupła, wysoka postać o dumnym profilu i czarnych jak noc oczach, która od wielu dni, od tygodni, ach, może nawet od zawsze odgrywa

w życiu Mii rolę jedyne go prawdziwego człowieka. Podążając wzrokiem za Kramerem, który zmierza naprzód, jej oczy zaczynają płonąć wcale nie od środków dezynfekcyjnych. Brakowało jej go.

- Przysięgam na METODĘ , że będę mówił prawdę i tylko prawdę - Kramer wygłasza formułkę przysięgi i siada. - Ten kraj potrzebował dziesiątków lat, aby zbudować system gwarantujący każdemu z nas długie i szczęśliwe życie. Wrogów szczęścia jest bardzo wielu, toteż trudno ich ogarnąć. Ale walka trwa dalej! Uda się nam obronić nasze wartości.

Publiczność samorzutnie zaczyna bić brawo. Kramer kiwa głową, uspokajając ludzi, i przykładą palec do ust. Bell donośnym głosem usiłuje znaleźć się znów w centrum wydarzeń.

- Panie Kramer, prokuratura wzywa pana do oceny stanu rzeczy...

- Nikt nie zna oskarżonej lepiej ode mnie - przerywa Kramer.

- To prawda - przytakuje czule Mia.

- Pani Holl jest inteligentna, wykształcona i ma dużą samoświadomość. To silna osobowość.

- Dziękuję, Heinrich - mówi Mia.

- Przestępczyni z przekonania. Dawniej wierna zwolenniczka METODY , dzisiaj nad wyraz niebezpieczna fanatyczka. Jest gotowa oddać życie za swoje idee. Skazując ją na najwyższy wymiar kary, przychylamy się do jej woli. Kara jest zaszczytem dla przestępcy!

Publiczność ponownie zaczyna bić brawo, a najgłośniej klaszcze Mia.

- Brawo! - woła ktoś.

- Proszę o spokój - mówi Hutschneider.

Mia kiwa potakująco głową, kręci nią, klaszcze, płacze i tak gwałtownie wyraża uznanie, że nie dociera do niej, o czym jeszcze mówi się na przedzie. Nieruchomieje dopiero w chwili, gdy na ekranie ukazują się kolejne postaci. Trzy kobiety w białych fartuchach niepewnym krokiem podchodzą do stołu sędziowskiego i cofają się to tu, to tam, jakby czuły się zewsząd atakowane. Strażnik prowadzi je wszystkie do miejsca dla świadków.

- Złożą panie przysięgę, że zgodnie z najlepszą wolą będą panie mówiły prawdę i tylko prawdę, i że niczego panie nie zatają - wyjaśnia Hutschneider. - Proszę podnieść ręce.

- Przysięgamy - mówi Lizzie.

- Tak nam dopomóż Bóg - dodaje Driss.

- Tylko nie Bóg - syczy Pollsche.

- Drogie panie - poucza je Hutschneider - muszą panie poświadczyć, że podczas przeszukania domu...

- Szefie, byliśmy przy tym - oznajmia Lizzie.

- Mia jest męczennicą! - woła Driss.

- Zwariowałaś - szepcze Pollsche.

Sala szemrze. Tymczasem cała armia strażników Służby Bezpieczeństwa obstawia publiczność. Kilku z nich zbliża się do miejsca dla świadków.

- Driss uważa - mówi szybko Lizzie - że pani Holl jest terrorystką.

- To przecież to samo - odzywa się Driss - męczennik i terrorysta!

- Jeszcze jedna!

Z miejsc dla publiczności podnosi się jakiś mężczyzna.

- Zatkajcie jej gębę!

Wstaje drugi.

- Do pioruna - warczy Hutschneider w kierunku strażników. - Proszę natychmiast usunąć tych wichrzycieli.

Driss spogląda niebieskimi oczami na umundurowanych strażników.

- Pisały o tym wszystkie gazety - mówi do nich. - Ale ja wiedziałam pierwsza. Mia jest dobrą terrorystką!

- Wrogowie METODY !

- Usuńcie ich!

- Proszę przerwać rozprawę i opróżnić salę - wzywa ławnik Hutschneidera.

- Ani mi się waż - krzyczy Kramer z ławy prasowej. - To trzeba dzisiaj doprowadzić do końca.

- Spokój! - wrzeszczy Hutschneider.

- METODA to morderstwo! - wraca odpowiedź echem.

Mężczyzna, który wykrzyknął to zdanie, jest niskiego wzrostu, ma głowę w kształcie kuli i rzadkie włosy. Mia podejrzewa, że pracuje on jako programista. Kiedy sąsiad z ławki powala go ciosem pięści na podłogę, a paru innych go kopie, widać po jego minie, że po raz pierwszy w życiu doznaje fizycznego bólu. Trzej strażnicy torują sobie drogę między szeregami krzeseł, po czym za ręce i nogi wloką do wyjścia kulistogłowego mężczyznę.

- Składacie Mię Holl na ołtarzu waszego zaślepienia! - woła jakiś nieznajomy w chwili, gdy wynoszą niskiego mężczyznę.

- Otóż to! - krzyczy Driss.

Kiedy kilku mężczyzn z pierwszych rzędów szykuje się do przeskoczenia przez barierki, strażnicy biorą Driss w środek. Jeden zakłada jej kajdanki, a inni, podniósłszy pałki, bronią jej przed napastnikami. Kiedy wloką Driss obok klatki do drzwi, Mia zdaje sobie sprawę, że nadszedł moment na jej wystąpienie. Ponieważ Moritz nie może tu być, nie ma pojęcia, na kogo jeszcze miałyby przyjsć kolej. Obejmuje rękami prety i tak mocno nimi potrząsa, że cała klatka zaczyna huczeć.

- Stop! Teraz ja!

Ludzie wokół wykonują coraz wolniejsze ruchy, głowy zwracają przed siebie. Nagle zalega cisza.

- Podpalcie ten kraj - mówi Mia. - Zburzcie ten budynek. Przynieście gilotynę z piwnicy, zabijcie setki tysięcy! Plądrujcie, gwałćcie! Głodujcie i marznijcie! A jeśli nie jesteście do tego gotowi, dajcie spokój. Możecie nazwać siebie ludźmi tchórzliwymi lub rozumnymi. Uważajcie się za osoby prywatne, zaślepionych zwolenników lub sympatyków systemu. Za niepolitycznych lub za indywidualistów. Za zdrajców ludzkości lub za wiernych obrońców tego, co ludzkie. Nie ma różnicy. Zabijajcie albo milczcie. Wszystko inne to teatr.

- Dziwna fanatyczka - odzywa się jeden z ławników, przerywając milczenie, które zapada.

- Czy to wszystko? - pyta Mia. - Gdzie są brawa dla mnie?

- Wystarczy. - Wyczerpany Hutschneider ociera pot z czoła i karku. - Wystarczy. Oskarżona szydzi z sądu. Zamykam rozprawę. Prawo wymaga, żebym zapytał oskarżoną, czy chce podać nazwisko osoby, która ma być obecna przy wykonaniu wyroku.

- Heinrich Kramer - mówi bez namysłu Mia.

- Zgadza się - odpowiada Kramer.

- Świetnie - mówi Hutschneider. - Przechodzę do odczytania formuły wyroku.

Wyciąga z akt kartkę napisaną najprawdopodobniej już przed rozpoczęciem rozprawy. Mia siada w swojej klatce i zamyka oczy.

- Mimo to... - mówi cicho i uśmiecha się. - Mimo to zwyciężyłam.

- Rzymskie jeden. Oskarżona jest winna zachowań wrogich METODZIE w zbiegu z przygotowaniem wojny terrorystycznej, rzeczowo zbieżnej z zagrożeniem pokoju państwowego, posiadania substancji toksycznych i celowej odmowy poddania się obowiązkowym badaniom, co nie służy powszechnemu dobru. Rzymskie dwa. Dlatego też zostaje ona skazana na zamrożenie na czas nieokreślony. Rzymskie trzy. Oskarżona ponosi koszty postępowania i nawiązki. A to z powodów...

Patrz wyżej. Patrz znów i znów, i wciąż na nowo, patrz na początku wieku, pod koniec wieku i w środku stulecia - wyżej.

Na koniec

Może jest to najspokojniejsza chwila od wielu tygodni. Może nawet miesięcy. Leżanka jest wygodna, pomieszczenie czyste, powietrze klimatyzowane. Umyto Mię, wymasowano i nakarmiono. Wsadzono ją w ubranie z neoprenu, mające chronić jej skórę przed niekorzystnymi wpływami mrozu. Mia została wniesiona i ułożona na urządzeniu, które ze szklanymi płytami i rurami wygląda tak niefrasobliwie jak rozstawione w solarium łóżko. Również Hutschneider i Kramer nie sprawiają teraz wrażenia groźnych, a już na pewno nie wyglądają na mężczyzn nadnaturalnej wielkości. Kramer chłodzi czoło Mii wilgotną chusteczką, dba o to, żeby wygodnie leżała, i podaje jej filiżankę, z której ma upić łyk gorącej wody. Niewiele brakuje, a okryłby ją grubą, białą, świeżo pachnącą pierzynką z puchu. Mia jest zmęczona. Schłodzić. Piękne słowo. Bez lęku myśli o spowolnieniu uderzeń serca, o coraz rzadszych oddechach, a nawet o zapadnięciu się oczu, czyli o owej utracie ludzkiego spojrzenia, którego pozostający przy życiu tak bardzo się boją, chociaż odpowiedzialne jest za to trwające zaledwie

kilka sekund wyschnięcie płynu w workach łzowych. Po co komu spojrzenie, skoro nie ma już na co patrzeć? Nawet gwałtowne kręcenie głową dopada ją teraz bardzo rzadko. Po co komu kręcenie głową, skoro wcale nie wiadomo, do kogo lub czego miałyby się jeszcze powiedzieć „nie”?

- Protokołuję - mówi Hutschneider. - Skazaną przygotowano do egzekucji i zgodnie z paragrafem 234 ustawy o ochronie zdrowia pouczono ją o wszystkich szczegółach medycznych. Obecni są: sędzia Hutschneider i Heinrich Kramer jako mąż zaufania publicznego. Oskarżona zostaje zapytana o ostatnie życzenie. Pani Holl, jak brzmi pani ostatnie życzenie?

Mia jest w stanie tak przyjemnej senności, że dopiero po dłuższej chwili dociera do niej, iż ktoś ją o coś pyta.

- Naprawdę istnieje coś takiego?

- Bardzo klasycznie - mówi Kramer.

- Wobec tego i ja zachowam się klasycznie. Chciałabym zapalić papierosa.

Kramer się cieszy; mało brakowało, a byłby zaklaskał.

- Widzi pan! - woła. - Wiedziałem.

Wyjmuje z kieszeni srebrną papierośnicę i eleganckim gestem częstuje Mię papierosem.

- Ale przecież nie może pan... - zaczyna sędzia.

- Hutschneider, pan jest mięczakiem - odpowiada Kramer z zadowoleniem i podaje Mii ogień.

Mia zaciąga się głęboko.

- Skazana... - Hutschneider bazgrze coś w protokole. - Przecież ja tak nie mogę... - Podnosi wzrok. - A zatem

oskarżona postanawia nie wyrażać ostatniego życzenia.

Hutschneider zapisuje to, a następnie daje znak niewidocznej osobie, która za lustrzaną szybą obsługuje urządzenia techniczne.

- To o gilotynach bardzo mi się zresztą podobało - mówi Kramer. - Zabijajcie lub milczcie. Zacytuję to we wspomnieniu o pani, które przygotowuję dla dziennika NA ZDROWY ROZUM . Jak pani się czuje?

- Dobrze - odpowiada Mia. - Pachnie Moritzem.

- W imieniu METODY - mówi Hutschneider.

Pokrywa aparatury powoli opada. Mia zaciąga się jeszcze raz i oddaje papierosa Kramerowi.

- Udaję się więc na wygnanie - mówi cicho.

Pokrywa się zamyka. Widać już tylko stopy Mii. Zimna mgła z sykiem dobywa się ze szczelin w aparaturze. Kramer i Hutschneider cofają się, aby z należytej odległości czuwać nad przebiegiem całej procedury.

Byłby to dobry moment na zakończenie. Dobrze ostatnie zdanie. Ponadto najspokojniejsza chwila od wielu tygodni czy miesięcy. Ale drzwi się gwałtownie otwierają i do środka wpada zdyszany i zdenerwowany Bell. W rękach trzyma dokument zwinięty w rulon i zapieczętowany w staroświecki sposób.

- Muszę - sapie - przerwać procedurę.

- Stop! - krzyczy Hutschneider.

Syk natychmiast ustaje, zimna mgła zaczyna się rozpraszać.

- METODZIE niech będą dzięki - mówi Bell. - Stało się to

dosłownie w ostatniej sekundzie.

- Co się dzieje?

Hutschneider jest tak zdenerwowany, że o mały włos wyrwałby Bellowi z ręki dokument. Podczas gdy prokurator łamie pieczęć, Kramer w dobrze znanej pozie, z założonymi na piersi rękami i zadowolonym uśmiechem, opiera się o ścianę.

- Przewodniczący Rady METODY - czyta Bell - na wniosek obrony i na życzenie najwyższej instancji postanawia ułaskawić skazaną.

Pokrywa wyzwała się z zakotwiczenia.

- Jakie to wspaniałe - mówi Kramer do Mii. - Jest pani ocalona.

Skazana prostuje się z trudem.

- Co? - pyta bezdźwięcznie.

Na widok jej bezrozumnej miny Kramer wybucha donośnym i serdecznym śmiechem, od którego aż zapiera mu dech w piersi.

- Proszę posłuchać - mówi wzburzony Hutschneider. - Nie rozumiem, co...

Kramer nie może się powstrzymać, żeby nie wskazać palcem Mii.

- Niech pan spojrzy na skazaną! - wykrztusza, gdy odzyskuje mowę. - To przerażone spojrzenie! Ona naprawdę myślała, że METODA uczyni z niej męczennicę. Choć przecież jedynie nieudolni władcy ofiarowują wzburzonemu narodowi kultowe postaci. Jezusa z Nazaretu, Joannę d'Arc; śmierć daje jednostkom nieśmiertelność i potęguje siłę

oporu. Pani Holl, pani się to nie przydarzy. Proszę wstać. Proszę się ubrać. Niech pani idzie do domu. Jest pani... – atak śmiechu wraca – ...wolna!

– Nie – szepcze Mia.

Bell, który powoli zaczyna rozumieć, w czym rzecz, szczyrzy zęby w szerokim uśmiechu.

– Wystarczy już – Hutschneider patrzy wściekle na Kramera, który ociera z oczu łzy śmiechu i odzyskuje równowagę ducha.

– Nie! – krzyczy Mia. – Nie możecie tego zrobić! Musicie mnie tu zatrzymać! Jesteście mi to winni!

– Opieka psychologiczna – mówi Bell do Hutschneidera. – Zapewnienie osoby nadzorującej. Umieszczenie w zakładzie resocjalizacyjnym. Kontrola medyczna. Codzienny trening.

– Zatroszczę się o to – obiecuje Hutschneider.

– Sposoby odbudowujące zaufanie. Szkolenie polityczne. Doktryna METODY.

Nie przerywając rozmowy, obaj panowie wychodzą z pomieszczenia. Również Kramer trzyma rękę na klamce. Rzuca Mii papierośnicę i zapalniczkę.

– Powodzenia, pani Holl – mówi.

Mia zostaje sama. Kręci głową.

Bo dopiero teraz jest ona... dopiero teraz ta gra... dopiero teraz to wszystko naprawdę się skończyło.

Recenzje

Po przeczytaniu *Corpus delicti* śmiało można nazwać Zeh współczesnym George'em Orwellem w żeńskim wydaniu.

Deutschlandradio

Antyutopia trafiająca w samo sedno problemów współczesnego społeczeństwa.

„Frankfurter Allgemeine Zeitung”

Juli Zeh przypomina, że przyszłość zaczyna się tu i teraz.

„Die Zeit”

Dyskurs dotyczący kwestii egzystencjalnych, pokazujący stan współczesnych społeczeństw, osłabionych przez nihilizm i utratę wartości.

„Frankfurter Neue Presse”

Olśniewająca krytyka „zdrowego rozumu”.

„Der Spiegel”

¹ *Hexe* (niem.) – czarownica, w średnio-wysoko-niemieckim: *hecse*, *hesse*, w staro-wysoko-niemieckim: *hagzissa*, *hag(a)zus(sa)*; najprawdopodobniej spokrewnione ze słowem *Hag*, które oznacza demoniczną istotę przebywającą albo jeżdżącą na plotach lub żywopłotach (przyp. tłum.).